

Andre Norton

Kamień nicości

Tytuł oryginału: The Zero Stone

Przekład: Konrad Brzozowski

Data wydania polskiego: 2000

Data wydania oryginalnego: 1968



Rozdział pierwszy

W cuchnącej odrażająco alei panował tak gęsty mrok, że można było niemal pochwycić cienie i odgarnąć je na boki niczym zasłony w oknie. Ten świat nie znał księżyca, a na niebie migotały jedynie ogniki gwiazd. Mieszkańcy Koonga ustawiali lampy tylko na większych ulicach miasta — siedliska wszelkiego plugastwa.

W powietrzu unosił się fetor równie intensywny, co otaczające całe miasto ciemności. Śliski chodnik pokrywała warstwa mułu i błota, i dlatego, choć strach podpowiadał mi szybką ucieczkę poruszałem się powoli, ostrożnie badając drogę przed sobą. Przebywałem w tym mieście zaledwie od dziesięciu dni. Nie zdążyłem więc jeszcze zapoznać się z jego topografią i słabo orientowałem się w terenie. Gdzieś przede mną, jeśli naprawdę sprzyjało mi szczęście, powinny znajdować się drzwi ozdobione wizerunkiem głowy jednej z bogiń czczonych na tej planecie. W nocy oczy bogini wabiły zapraszającym światłem, bo za drzwiami ustawiano lampy, które paliły się przez całą noc. Każdy, kogo ścigano za jakiegokolwiek przestępstwo przez choćby pół miasta, po przekroczeniu tych drzwi znajdował pewne schronienie i mógł umknąć swoim prześladowcom.

Szedłem, opierając się lewą ręką o wilgotną ścianę i czułem, jak zimny szlam okleja mi palce. W prawej trzymałem laser, który dawał mi cień szansy, że się obronię, gdyby mnie teraz osaczono. Oddychałem ciężko. Ucieczka i koszmar, jaki zmusił mnie do niej, przytłoczyły mnie i wyczerpały — tym bardziej, że ani ja, ani Vondar nie zasłużyliśmy sobie na to.

Vondar — świadomie odsuwałem od siebie wszystkie myśli z nim związane. Nie miał szans już wtedy, gdy Zielone Szaty weszły chyłkiem do tawerny, ustawiły swój kołowrotek i puściły go w ruch. Złowroga igła wirująca na jego czubku miała wskazać kolejną ofiarę, demona, którego przychylność należało sobie zjednać. Wszyscy zbledli ze strachu.

Siedzieliśmy bez ruchu, przykuci do ziemi osłupieniem, w jakie wprawiwały nas obrzędy odprawiane w tym przeklętym świecie. Każdy, kto podczas wirowania igły zrobiłby choć najmniejszy ruch, zginąłby natychmiast, zgodnie z obowiązującym prawem, z ręki najbliższej znajdującej się osoby. Okrutna loteria, od której nie ma ucieczki. Nie czuliśmy jednak strachu, nigdy bowiem się nie zdarzyło, żeby igła obróciła się przeciwko przybyszowi z innego świata. Zielone Szaty wołały nie zadzierać ze strażnikami ani z potęgą z innej planety.

Wiedziały dobrze, że bóg posiada największą moc tam, gdzie w niego wierzą, i łatwo może ugiąć się pod ciosem żelaznej ręki niewiernych, zwłaszcza jeśli ów cios spadnie z nieba.

Vondar odważył się nawet pochylić trochę do przodu. Z właściwą sobie ciekawością studiował twarze zebranych. Był zadowolony, jak zwykle po udanym dniu: zdołał ustalić dostęp do źródła kryształów i ubić intratny interes, a potem zjadł obiad dobry na tyle, na ile pozwalały kulinarne umiejętności tych barbarzyńców.

Poza tym udało mu się wykryć oszustwo Hamzara, który próbował sprzedać nam sześciokaratowy kamień ze skazą! Vondar zmierzył kamień i udowodnił, że uszkodzenie jest nieodwracalne, a kryształ, na którym Hamzar, mając do czynienia z mniej doświadczonym kupcem, mógłby zbić majątek, nie jest więcej wart niż nabój do lasera.

Laser — ścisnąłem go mocniej w dłoni. Oddałbym teraz cały worek drogich kamieni za jeden dodatkowy nabój. Życie człowieka, przynajmniej dla niego samego, zawsze warte jest więcej niż osławione skarby Jaccardy.

Vondar przyglądał się więc spokojnie tubylcom zebranym w tawernie, oni zaś pilnie śledzili ruch igły, która mogła przynieść śmierć każdemu z nich. Chwilę później igła zwolniła obroty i zatrzymała się. Nie wskazywała nikogo z zebranych; wymierzona była w wąski przeswit między mną a Vondarem. Vondar uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Wygląda na to, że ich demon nie może się dzisiaj zdecydować, Murdoc.

Powiedział to w języku międzygalaktycznym, ale ktoś musiał go zrozumieć. Nawet wtedy jednak nie okazał strachu, i nie sięgnął po broń, choć wiedziałem, że zawsze był czujny. Każdy handlarz drogimi kamieniami musi mieć oczy dookoła głowy, laser gotowy do strzału i zmysł, który ostrzeże go przed nadchodzącym niebezpieczeństwem.

Może demon rzeczywiście był niezdecydowany, ale nie jego wyznawcy. Zaatakowali nas. Wyciągnęli ukryte w długich rękawach rzemienie, którymi zazwyczaj kępowali więźniów rzuconych później na pożarcie swemu panu. Pierwszego z Zielonych Szat udało mi się trafić. Strzeliłem przez stół, w którym mój laser wypalił dziurę. Vondar też próbował się bronić, ale zareagował o ułamek sekundy za późno. Jak mawiają Wolni Kupcy, jego szczęście się ulotniło. Mężczyzna po prawej rzucił się na niego, zepchnął pod ścianę i unieruchomił mu rękę tak, że Vondar nie mógł wyciągnąć broni. Wszyscy dookoła pokrzykiwali na nas gniewnie. Zielone Szaty wycofały się. Nie było sensu się narażać, skoro mógł nas obezwładnić rozwścieczony tłum.

Zobaczyłem kolejnego napastnika, który zbliżał się właśnie do Vondara. Bałem się strzelić, bo nie wiedziałem, czy nie trafię przez przypadek mojego nauczyciela. W chwilę potem usłyszałem krzyk Vondara zdławiony przez krew wypływającą mu z ust. Napastnicy rozdzielili nas. Przeciskałem się wzdłuż ściany i próbowałem namierzyć któregoś z Zielonych Szat. Nagle — nie znalazłem za sobą oparcia, ściana się skończyła, a ja zatoczyłem się do tyłu i wypadłem przez boczne drzwi na ulicę.

Zacząłem biec na oślep. Po chwili jednak przystanąłem, skryty za jakimiś drzwiami. Za sobą słyszałem odgłosy pościgu. Nie miałem dokąd uciekać, bo na drodze do portu kosmicznego znajdowali się goniący mnie ludzie. Na krótką chwilę przycupnąłem na progu. Nic poza stoczeniem ostatniej, desperackiej walki nie przychodziło mi do głowy.

I wtedy... zupełnie nie wiem skąd, zaświtała mi w głowie ta myśl. Przypomniałem sobie o świątyni, do której trzy lub cztery dni temu zabrał nas Hamzar. Wróciła do mnie jego opowieść o tym miejscu, choć teraz nie bardzo wiedziałem, w którym kierunku iść.

Spróbowałem okiełznać własny strach i uzmysłowić sobie, gdzie się obecnie znajduję. Odpowiednie wyszkolenie wielokrotnie ratowało ludzi z tarapatów i podobnie było teraz w moim przypadku. W czasie żmudnego treningu wyćwiczono mi pamięć. Doświadczenie zdobyte przy moim ojcu i nauczycielu, Hywelu Jernie, zaprocentowało.

Stopniowo przypomniałem sobie, którędy uciekałem, i postanowiłem zawrócić. Wiedziałem, iż ścigający mnie ludzie są przekonani, że mają w ręku wszystkie atuty i że jeśli tylko zdołają utrzymać mnie z dala od portu, stanę się łatwą zdobyczą w labiryncie ulic wrogiego miasta.

Wyszedłem z cienia i ruszyłem w kierunku północno-zachodnim, czyli dokładnie w przeciwną stronę, niż spodziewali się tego moi prześladowcy. Dotarłem do tej smrodliwej alei, brnąc przez przyprawiający o mdłości szlam.

Na pierwszy punkt orientacyjny wybrałem wieżę portową. Świeciła jasno na tle czarnego, bezksiężycowego nieba. Starąłem się mieć ją cały czas po prawej stronie. Drugim punktem była strażnica Koonga, która co chwila ukazywała się i znikwała między budynkami. Była niezwykle wysoka, a zbudowano ją, by ostrzegać mieszkańców miasta przed niespodziewanymi atakami dzikich morskich najeźdźców, którzy w ciężkich czasach Wielkiej Zimy przybywali tu z północy.

Aleja kończyła się murem. Z laserem w zębach wspiąłem się na jego szczyt. Tam przykucnąłem i rozejrzałem się dookoła, by w końcu stwierdzić, że teraz pójde po murze, który biegł poza budynkami i choć wąski, pozwalał poruszać się ponad poziomem ulicy. Światła górnych pięter wskazywały mi drogę.

Gdy co jakiś czas przystawałem, dobiegały mnie odgłosy pościgu. Napastnicy opuścili już główne ulice miasta i rozbiegli się po mniejszych alejkach. Poruszali się jednak bardzo ostrożnie, ponieważ perspektywa napotkania ściganego, który może cziąć się gdzieś w ciemnościach z laserem gotowym do strzału, nie była zbyt zachęcająca. Czas i tak pracował na ich korzyść. Jeśli bowiem nie udałoby mi się dotrzeć do sanktuarium przed świtem, zdradziłby mnie mój strój i zostałbym szybko schwytyany. Miałem na sobie zmodyfikowaną wersję załogowego ubioru, dopasowanego do sezonowych lotów kosmicznych i dostosowanego do warunków spotykanych w wielu różnych światach, choć w innym kolorze niż stroje załogi statku kosmicznego.

Vondar ubrany był w tunikę w jednostajnie oliwkowozielonym kolorze. Odznaka na jego piersi mówiła, że jest ekspertem od drogich kamieni. Ja miałem podobną, jednak moją przecinały dwa paski, które potwierdzały mój uczniowski status. Ubrania, jakie nosiliśmy pod tuniką, były jednocześnie, jak u członka załogi w czasie służby, a nasze buty, przystosowane do poruszania się po statku kosmicznym, miały namagnesowane podeszwy. Dlatego łatwo było mnie rozpoznać w świetle, w którym wszyscy nosili długie, zdobione frędzlami szaty i kręcące się, ufarbowane czupryny. Niewiele mogłem teraz zrobić, by upodobnić się do mieszkańców Koonga, choć wypadało z pewnością pozbyć się tuniki ze zdradzającymi mnie dystynkcjami. Zrobiłem więc to. Balansując ostrożnie na szczycie muru, ponownie przytrzymałem laser w zębach, poluzowałem sprzączkę, zdjąłem tunikę i zwinąłem ją. Zataczając się niebezpiecznie, wyrzuciłem zawiniątko w cierniste krzewy, do ogrodu poniżej. Następnie podpełzłem po szczycie muru wzdłuż kolejnych czterech budynków, aż dotarłem do miejsca, gdzie mój szlak kończył się ścianą jakiegoś domu. Stąd mogłem wybrać między drogą w ogrodzie po jednej a kolejną alejką po drugiej stronie. Wybrałbym raczej alejkę, gdyby nie dźwięk, który usłyszałem w ciemnościach. Przywarłem do ściany domu. Coś poruszyło się w mroku i na pewno nie była to grupa pościgowa.

Usłyszałem człapanie stopy lub stóp na zabłoconym chodniku i zdawało mi się, że słyszę nawet czyjś świszający oddech. Ostrożność, z jaką zachowywał się ów ktoś czający się w ciemnościach alei, utwierdziła mnie w przekonaniu, że nie ma on nic wspólnego z goniącymi mnie ludźmi.

Zbadałem rękami ścianę domu i poczułem pod palcami wypukłości i wgłębienia. Zdałem sobie sprawę, że dotykam geometrycznych wzorów, którymi ozdabiano co znamienitsze budowle. Gdy zacząłem badać część ściany nade mną, zorientowałem się, że być może jej ozdobny fragment ciągnie się po sam dach, co otwierało przede mną jeszcze jedną drogę ucieczki.

Po raz kolejny ukląknęłam, zdjąłem buty i przytwierdziłem je do paska. Zanim zacząłem wspinaczkę, przystanąłem na chwilę, by ponownie wsłuchać się w dźwięki dobiegające z alei. Oddalały się.

Znów przydały się umiejętności nabyte podczas szkolenia. Piąłem się w górę, wykorzystując każdą szczelinę w murze. W końcu dotarłem do zdobionego parapetu, na którym wryto głowy demonów mających odstraszyć wrogie siły natury.

Znalazłem się na dachu. Po drugiej stronie budynku opadał on w dół w stronę wewnętrznego dziedzińca, gdzie trzy piętra niżej, ujrzałem niewielki zbiornik, do którego wiosną musiała z dachu spływać woda przyniesiona przez burze. By ułatwić deszczówce drogę, dach był idealnie gładki. Dlatego też poruszałem się po parapecie, przytrzymując się wystających elementów dekoracji. Poruszałem się szybko i sprawnie. Coś mi mówiło, że cel mojej wędrówki jest już bardzo blisko.

Z tej wysokości widziałem również port kosmiczny. Stały w nim dwa statki. Pierwszy — pasażersko-handlowy, na którym miejsca dla nas tego ranka załatwił Vondar, znajdował się tak daleko, że nie było szansy, aby tam dotrzeć. Tym bardziej, że napastnicy wiedzieli o naszych zamiarach i z pewnością pilnie strzegli dostępu do statku. Drugi prom, stojący nieco z boku, należał do Wolnych Kupców. Z nimi jednak nikt nie wchodził w żadne układy i ja również nie miałem na to ochoty. Zresztą, nawet jeśli uda mi się teraz dotrzeć do sanktuarium, co dalej? Nie było sensu martwić się o to w tej chwili. Przyjrzałem się więc uważniej drodze, która wiodła do wrót świątyni. Wiedziałem, że będę musiał zejść niżej, na oświetloną ulicę. Ściana budynku była bogato zdobiona i zejście po niej wydawało się rzeczą łatwą, oczywiście pod warunkiem, że nikt mnie nie zauważy. Niestety, w przeciwieństwie do mniejszych alejek, w których kryłem się do tej pory, ulica była oświetlona tak jasno, że przypominała poczekalnię portu kosmicznego na jednej ze znanych mi planet.

Rzadko kto jednak przebywał poza domem o tej godzinie, a w pobliżu nie słyszałem też odgłosów pościgu. Widocznie szukano mnie bliżej portu. Zresztą zaszedłem już zbyt daleko, żeby się teraz wycofać. Po raz ostatni zerknąłem na pustą ulicę i ruszyłem w dół.

Szukając oparcia dla rąk i nóg, powoli schodziłem coraz niżej. Na wysokości najwyższego piętra dotarłem do okna, którego parapet posłużył mi za oparcie dla stóp. Stałem tam, niepewnie przytrzymując się rękami, i patrzyłem na ogarnięte ciemnością wnętrze budynku. Nagle z pomieszczenia, do którego zaglądałem, dobiegł głośny krzyk. Zaskoczyło mnie to tak bardzo, że o mały włos spadłbym na ulicę.

Zanim dotarło do mnie, jak bliski byłem upadku, krzyk rozległ się ponownie, a potem jeszcze raz. Przez głowę przemknęło mi, ile mam czasu, zanim obudzą się wszyscy domownicy i zanim hałas przyciągnie uwagę kogoś z ulicy. Skoczyłem w dół i potoczyłem się po pustej alei. Nie tracąc czasu na założenie butów, pobiegłem najszybciej, jak mogłem. Nie oglądałem się za siebie. Zamieszanie, które wywołałem, mało mnie obchodziło.

Trzymałem się w cieniu, blisko ścian okolicznych domów. Za plecami słyszałem jakieś krzyki. Osoba, którą przestraszyłem, musiała, w najlepszym wypadku, obudzić wszystkich mieszkańców budynku. Znalazłem się na rogu ulicy i okazało się, że pamięć mnie nie zawiodła! Na drzwiach przed sobą zobaczyłem świecące w ciemnościach oczy bogini. Ciężko dysząc, pobiegłem w ich kierunku. W rękę trzymałem laser, a buty, wciąż przypięte do pasa, obijały mi się o biodra. Przerazała mnie myśl, że teraz, tak blisko celu, ktoś nagle mógłby wyrosnąć na mojej drodze. Tak się jednak nie stało i po chwili dotarłem do drzwi, szukając w ciemności otwierającego je pierścienia. Gwałtownym ruchem przyciągnąłem go do siebie. Początkowo, wbrew moim nadziejom, drzwi ani drgnęły, w chwilę później jednak ustąpiły, a ja znalazłem się w korytarzu. Paliły się tu świece, których blask widać było z zewnątrz w oczach bogini.

Zapomniałem zamknąć za sobą drzwi. Myślałem tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w środku i zostawić za sobą hałasy ulicy. Potknąłem się i upadłem na kolana, by jednak za

moment błyskawicznie odzyskać równowagę i z laserem gotowym do strzału rozejrzeć się dookoła. Drzwi zamknęły się same, odgradzając mnie od pościgu.

Dysząc ciężko, przyjrzałem się drzwiom, po czym usiadłem, by choć przez chwilę odetchnąć. Dopiero teraz, gdy wszystko przycichło, poczułem, jak bardzo wyczerpała mnie ta nagła ucieczka. Poczułem wielką ulgę na myśl, że nie muszę dalej biec.

W końcu odetchnąłem na tyle, żeby założyć, buty i rozejrzeć się dookoła. Niewiele wiedziałem o tym miejscu. Z tego, co powiedział mi Hamzar, wynikało, że nawet najgorszy łotr mógł liczyć tu na pewne schronienie. Dlatego też spodziewałem się znaleźć za tymi drzwiami coś w rodzaju świątyni. Zaskoczyło mnie więc, że znalazłem się teraz w zwykłym korytarzu, który w niczym nie przypominał świętego miejsca. Nie było tu żadnych drzwi, oprócz wejściowych, przy których dostrzegłem kamienny postument z osadzonymi na nim świecami. To właśnie ich światło widać było na zewnątrz w oczach bogini. Wstałem i gotów na odparcie ataku ze strony tych, którzy zapalili te świece, zbliżyłem się do drzwi. Stałem tyłem do światła i zerknąłem w głąb korytarza. Na jego odległym końcu tańczyły cienie, które mogły kryć w sobie wszystko. Nie widząc innej drogi, ruszyłem jednak przed siebie.

W przeciwieństwie do różnych świątyń, jakie udało mi się zwiedzić w Koonga, ściany tej nie były pomalowane. Miały naturalny, żółtawy kolor kamienia, jakim wykładano główne ulice miasta. Z podobnego materiału wykonano również podłogę i, o ile wzrok mnie nie mylił, także sufit.

Kamienie na posadzce były mocno wytarte, jakby ktoś stąpał po nich od wieków. Gdzieś na ścianach dostrzegłem ciemne plamy o nieregularnych kształtach. Z przykrością pomyślałem, że widocznie większość tych, którzy znaleźli tu schronienie, musiała odnieść jakieś rany podczas ucieczki, a ludzie sprawujący pieczę nad tym miejscem nie widzieli wyraźnego powodu do usunięcia tych ponurych śladów.

Dotarłem do końca korytarza, który teraz gwałtownie skręcał w prawo. Po lewej stronie miałem litą ścianę. Za zakrętem było prawie tak ciemno, jak w wąskich i nieoświetlonych uliczkach miasta. Starłem się dostrzec coś w ciemnościach, żałując, że nie mam przy sobie choćby kaganka. Włączyłem laser na najmniejszą moc. Jego promień, choć osmalał ściany, dawał nieco potrzebnego światła.

Nowy pasaż miał zaledwie kilka metrów długości. Gdy go przemierzyłem, znalazłem się w kwadratowym pomieszczeniu, gdzie w świetle lasera dostrzegłem wygaszoną świecę. Podpaliłem ją i wyłączyłem laser. Pokój przypominał izby, jakie napotkać można w tanich oberżach. Przy jednej ze ścian stała kamienna misa, do której cienką strużką sączyła się woda. Jej nadmiar spływał niewielką rynienką do otworu w ścianie.

Poza tym w pokoju stało łóżko ze słomianym materacem wyścielanym aromatycznymi liśćmi. Niezbyt wygodne, ale zawsze lepsze od twardej posadzki. Dostrzegłem też nieduży stolik i dwa stołki, a wszystko to pozbawione jakichkolwiek ozdób i mocno zużyte. W ścianie po przeciwnej stronie znajdowała się niewielka nisza; ustawiono w niej metalowy dzban oraz

wiadro i dzwonek. Pokój nie miał innych drzwi poza wejściem, przez które tu trafiłem. Zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że tak naprawdę ta oaza była zakamuflowanym więzieniem dla kogoś, kto nie miał dość odwagi, by ponownie stawić czoło ludziom, którzy zapędzili go w to miejsce.

Wyjąłem świecę z lichtarza na ścianie i zacząłem uważnie badać cały pokój — ściany, sufit i podłogę. W końcu, zrezygnowany, odłożyłem ją na swoje miejsce. Moją uwagę przykuł teraz dzwonek. Wziąłem go do ręki. Z pewnością nie umieszczono go tu przypadkowo, a jego dźwięk miał coś sygnalizować. Być może przywoływał kogoś lub coś, co dałoby mi odpowiedź na pytania kłębiące się teraz w mojej głowie. Potrząsnąłem dzwonkiem najsilniej jak potrafiłem, jednak dźwięk, który wydał, był słaby i przytłumiony. Powtórzyłem tę czynność kilkakrotnie. Odpowiedź nadeszła dopiero wtedy, gdy zrezygnowany odłożyłem go z powrotem na półkę.

Tak mnie to zaskoczyło, że zerwałem się na równe nogi, z laserem gotowym do strzału. Usłyszałem głos, który dobywał się gdzieś z pokoju, jakby tuż koło mnie.

— Przeszedłeś do Noskalda, a Głos Jego trwać będzie dopóty, dopóki nie wypali się ostatnia z czterech świec.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że słowa te wypowiedziano nie w przypominającym seplenieniu języku Koonga, lecz w mowie międzygalaktycznej. Mówiący musiał być przybyszem z zewnątrz!

— Kim jesteś? Pokaż się! — moje słowa, w przeciwieństwie do słów mego rozmówcy, poniosło echo.

Odpowiedziała mi cisza. Spróbowałem ponownie, obiecując nagrodę w zamian za pomoc w dotarciu do portu. Później zagroziłem konsekwencjami, jakie nastąpią, jeśli ktokolwiek skrzywdzi przybysza z zewnątrz, choć zdawałem sobie sprawę, że mój rozmówca wiedział, jak puste są te groźby. Wciąż nie było żadnej odpowiedzi. Być może głos, który słyszałem, nagrano na taśmę. Nie wiedziałem, kto zarządzał tym miejscem, może kapłani? Albo sprzymierzeńcy Zielonych Szat, których pomoc ograniczała się jedynie do pewnych zasad narzuconych im przez odwieczną tradycję?

W końcu rzuciłem się na łóżko i zasnąłem. Śniłem bardzo wyraźne sny, jednak nie były one fantazjami nieprzytomnego mózgu, lecz wspomnieniami z przeszłości. Przed oczami stało mi moje całe, niezbyt długie życie. Tak zwykło się mawiać o umierających. Z najwcześniejszych lat pamiętałem tylko Hywela Jema, który w swoim czasie znany był na wielu planetach i który w miejscach, gdzie nawet członkowie patrolu zachowywali najwyższą ostrożność, cieszył się ogromnym poważaniem.

Mój ojciec miał przeszłość równie mętłą, jak mętne są wody Hawaki po letnich sztormach. Wątpię, czy ktokolwiek oprócz niego samego mógłby z grubsza opisać jego dzieje. My na pewno nie. Choć od śmierci ojca minęło wiele lat, wciąż jeszcze odkrywam rzeczy, które stawiają go w coraz to innym świetle. Nawet w czasach mojej młodości, gdy

jakiś nieznanymi impulsami ożywił na moment jego serce, nawet wtedy, gdy opowiadał o przygodach, które musiały być jego udziałem, mówił o nich z perspektywy aktora, osoby stojącej z boku. Te opowieści miały zawsze pouczający charakter, a słuchacze mogli zdobyć na ich podstawie nowe doświadczenia dotyczące handlu lub radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Wszystkie historie przez niego opowiadane traktowały raczej nie o ludziach, którzy byli zawsze przypadkowi, ale o rzadkich i cennych przedmiotach, jakie stały się ich własnością.

W wieku lat pięćdziesięciu piastował urząd głównego taksatora pod nadzorem wiceprezydenta Estampha oraz zarządzał jednym z sektorów kontrolowanych przez Bractwo Złodziei. Nigdy nie starał się ukryć swych powiązań z tymi ostatnimi. Właściwie był raczej dumny z tych znajomości. Dzięki swemu talentowi do oceny wartościowych dóbr, talentowi, który rozwinął poprzez samodoskonalenie, był wyjątkowo cenną osobą dla ludzi zajmujących się nielegalnym handlem. Równocześnie albo brakowało mu ambicji, by wspinać się wyżej w tej hierarchii, albo też był na to zbyt mądry i nie chciał stać się celem w ambitnych planach innych.

Później jednak w Estampha natknął się na pozbawioną kory roślinę z gatunku Wiertaczy. Ktoś, kto ukrył ją w swej prywatnej kolekcji kwiatów egzotycznych, w sposób dosyć gwałtowny wyzionał ducha. Mój ojciec zdecydowanie wycofał się wtedy z wszelkich układów. Wykupił się z Bractwa Złodziei i wyemigrował do Angkor.

Przez krótki czas, o ile pamiętam, żył spokojnie. Jednak przez cały ten okres poznawał zarówno planetę, jak i kryjące się tam możliwości prowadzenia lukratywnych interesów. Był to skromnie urządzone świat, na jednym z dopiero odkrywanych poziomów. Nie przyciągał jeszcze wtedy uwagi ani możnych i bogatych, ani tych z Bractwa. Być może jednak już wtedy mój ojciec przewidywał to, co miało nastąpić później.

Po jakimś czasie ojciec zainteresował się jedną z miejscowych kobiet. Była córką właściciela lombardu i leżącego tuż przy porcie sklepu, w którym można było kupić prawie wszystko. Niedługo po ślubie ojciec panny młodej zmarł na chorobę, przywiezioną na planetę przez statek, który rozbił się w jej pobliżu. Epidemia gorączki wkrótce przetrzebiła również szeregi tutejszych władz. Jednak Hywel Jern i jego żona ocaleli i nadal prowadzili wspólny interes. Ich pozycja stała się o wiele mocniejsza po, niż przed epidemią.

Pięć lat później Kartel Fortuna włączył galaktykę Vultoriańską do międzygalaktycznego handlu i Angkor nagle zatętniło życiem jako port przeladunkowy. Interesy mojego ojca szły dobrze, choć nie zmienił działalności, przez cały czas prowadząc ten sam sklep. Dzięki szerokim pozaplanetarym kontaktom, zarówno legalnym, jak i poza prawem, radził sobie świetnie, choć na zewnątrz nigdy tego nie okazywał. Wszyscy podróżnicy, prędzej czy później, wchodzili w posiadanie przedmiotów i wartościowych, i interesujących. Zaufany i niezbyt ciekawski kupiec był niczym skarb na planecie, gdzie stoły do gry i inne uciechy szybko wyciągały z kieszeni ostatnie pieniądze.

Ten cichy dobrobyt trwał przez długie lata i zdawało się, że taki stan rzeczy odpowiadał
mojemu ojcu najbardziej.

Rozdział drugi

Jeśli nawet Hywel Jem zdecydował się na małżeństwo z rozsądku, to należało je uznać za bardzo stabilne i udane. W domu, oprócz mnie, było jeszcze dwoje dzieci — Faskel i Darina. Ojciec niewielką uwagę poświęcał córce, ale włożył wiele wysiłku w wykształcenie moje i brata, choć Faskel nie wykazywał nadzwyczajnych zdolności w dziedzinie, która dla ojca była najważniejsza.

Wieczorami gromadziliśmy się w pokoju na zapleczu (mieszkaliśmy w pomieszczeniach nad i za sklepem), by wspólnie zjeść kolację. Mój ojciec pokazywał nam wówczas któryś z klejnotów i prosił, abyśmy ocenili jego wartość, wiek i zastosowanie. Klejnoty były największą pasją ojca i dlatego uczyliśmy się o nich tak, jak inne dzieciaki zdobywały ogólną wiedzę z filmów i podręczników. Ku uciesze ojca okazałem się bardzo pojętnym uczniem. Wkrótce też całą swoją uwagę zaczął poświęcać mnie, bo Faskel, albo z braku odpowiednich zdolności, albo przez zwykłą przekorę, nie mógł pojąć pewnych rzeczy i popełniał błędy, które całkowicie studziły dydaktyczne zapędy ojca.

Nigdy nie widziałem, by Hywel Jern stracił panowanie nad sobą, ale jego niezadowolenie było już wystarczającą karą. Nie bałem się jednak krytyki, bo rzeczy, których mnie uczył, naprawdę mnie fascynowały. Już w dzieciństwie wolno mi było oceniać wartość zastawu przynieszonego przez klientów. A gdy którykolwiek z nich pojawiał się w sklepie, ojciec zawsze przedstawiał mnie jako swego najzdolniejszego ucznia.

Tak więc z upływem lat nasz dom podzielił się na dwa fronty. Po jednej stronie stała matka wraz z Faskelem i Dariną, po drugiej ojciec i ja. Z innymi dziećmi również miałem ograniczony kontakt. Ojciec wolał, bym wolny czas spędzał na nauce rzemiosła w sklepie. W ciągu tych lat przez nasze ręce przewinęło się wiele dziwnych i pięknych przedmiotów. Część z nich została sprzedana oficjalnie, inne trzymano w specjalnych skrytkach. Przeznaczone były bowiem do prywatnych transakcji. W tych ostatnich rzadko miałem okazję uczestniczyć.

Były to przedmioty wydobyte z ruin i grobowców obcych, wykonane jeszcze zanim nasza galaktyka pojawiła się we wszechświecie. Widziałem rzeczy zagrabione w krajach, które zginęły w mroku historii tak dawno, że nie istniały już nawet planety, na których niegdyś żyli ich mieszkańcy. Były też nowe klejnoty z fabryk w wewnętrznym systemie, gdzie wszystko produkuje się po to, by zwrócić uwagę któregoś z nieprzyzwoicie bogatych wiceprezydentów.

Mój ojciec najbardziej lubił jednak te starsze klejnoty. Często brał do ręki naszyjnik lub bransoletę, która ze względu na swe rozmiary nie mogła raczej służyć człowiekowi, i długo zastanawiał się nad jej pochodzeniem i poprzednimi właścicielami. Od ludzi, którzy dostarczali mu precjoza, oczekiwał w miarę możliwości dokładnych informacji odnośnie ich pochodzenia. Informacje te skrupulatnie gromadził na taśmach.

Myślę, że sama kolekcja taśm była niezwykle cenna dla poszukiwaczy i miłośników tej dziwnej wiedzy. Zastanawiam się, czy Faskel kiedykolwiek zdał sobie sprawę z jej wartości. Niewykluczone, że do czegoś mu się przydała; był z natury praktyczniejszy od ojca.

Podczas któregoś z naszych wieczornych spotkań ojciec pokazał nam jedną z takich tajemniczych ciekawostek. Tym razem jednak nie dał nam jej do rąk. Zamiast tego położył ją na gładkim, ciemnym blacie stołu i wpatrywał się w nią niczym fakir, który z układu rozsypanych ziaren stara się przepowiedzieć przyszłość gospodyni domowej.

Był to pierścień lub raczej coś, co przypominało go swym kształtem. Jego obwód mógł spokojnie pomieścić dwa ludzkie palce. Metal, z jakiego go wykonano, miał jednolity kolor i był chropowaty, jakby pierścień liczył sobie wiele lat.

Przytwierdzono do niego klejnot wielkości ludzkiego paznokcia, który wymiarami pasował do obręczy. Kamień, podobnie jak cała reszta, był jednostajnie bezbarwny i jakby martwy — nie odbijał się w nim ani jeden promień światła. Im dłużej się w niego wpatrywałem, tym bardziej przypominał mi zaledwie powłokę, martwy cień tego, czym mógł być wcześniej — symbolem życia i piękna. Gdy ujrzałem ten pierścień po raz pierwszy, myśl o dotknięciu go napawała mnie wstrętem, choć zawsze lubiłem badać wnikliwie wszystkie przedmioty, które podsuwał mi ojciec.

— Kolejny skarb z grobowca? Wolalabym, żebyś nie stawiał ich na stole! — głos matki zabrzmiał o wiele ostrzej niż zwykle. Uderzyło mnie natychmiast to, że nawet ona, odporna na wszelkie przesady i wymysły, równie szybko jak ja skojarzyła ten artefakt ze śmiercią. Ojciec ani na chwilę nie spuścił wzroku z pierścienia. Odezwał się natomiast do Faskela tonem żądającym natychmiastowej odpowiedzi.

— Co o tym myślisz?

Mój brat wyciągnął rękę w stronę klejnotu, po czym szybko ją cofnął.

— Pierścień, zbyt duży, aby go nosić. Może to ofiara złożona w świątyni jakiemuś bóstwu. Ojciec nie odpowiedział. Zamiast tego zwrócił się do Dariny.

— A ty co powiesz?

— Zimny... jest taki zimny... — cienki głos uwiązał jej w gardle. — Nie podoba mi się — dodała, odsuwając się od stołu.

Na końcu ojciec zwrócił się do mnie.

— A ty?

Niewykluczone, że stworzono ten pierścień z myślą o wizerunku jakiegoś boga w świątyni. Podobne rzeczy widziałem już wcześniej u ojca w sklepie. Niektóre z nich miały w sobie coś

nieprzyjemnego, ale ten... ten pierścień był inny. Nie wierzyłem, żeby stworzono go z myślą o posągu jakiegoś boga. Poza tym Darina miała rację, był zimny i kojarzył się ze śmiercią. Im bardziej mu się jednak przyglądałem, tym bardziej mnie fascynował. Chciałem go dotknąć, ale wciąż odczuwałem dziwny lęk. I choć na pozór przypominał jedynie zniszczony przez czas kawałek metalu z martwym kamieniem, to zafascynował mnie bardziej niż wszystkie klejnoty, które dotychczas pokazał mi ojciec.

— Nie wiem — odparłem — ale wydaje mi się, że kryje w sobie jakąś moc!

Powiedziałem to głośniej niż zamierzałem i moje ostatnie słowa donośnym echem rozeszły się po pokoju.

— Skąd pochodzi? — zapytał szybko Faskel, pochylając się i wyciągając rękę w kierunku pierścienia. Jego palce przesunęły się nad klejnotem, ale go nie dotknęły. Pomyślałem, że naśladował teraz zachowanie handlarzy, którzy kładą rękę na towarze tylko wtedy, gdy zamierzają go kupić. Faskel natychmiast cofnął dłoń.

— Z kosmosu — odparł ojciec.

Istnieją we wszechświecie klejnoty, za które prymitywne narody gotowe są zapłacić wysoką cenę. Nie wiadomo jednak, kto tworzy te przedmioty. Ogólnie przyjęta teoria mówi, że powstają w wyniku zderzenia jakiegoś meteorytu o odpowiednim składzie z atmosferą którejśkolwiek planety. Wśród kosmicznych kapitanów panowała moda na pierścienie z takiego materiału. Widziałem kilka tego rodzaju starych ozdób, które musieli nosić jeszcze pierwsi kosmiczni podróżnicy. Ten klejnot, jeśli w ogóle nim był, nie przypominał jednak żadnego z nich. Nie był ani ciemnozielony, ani brązowy, ani czarny, lecz krystalicznie bezbarwny, o chropowatej powierzchni, jakby porysowanej przez piach.

— Nie wygląda na kawałek meteorytu... — powiedziałem nieśmiało.

Ojciec potrząsnął głową.

— Kosmos nie uformował go, a jedynie tam go znaleziono — rozparł się wygodnie na krześle i popijając w zamyśleniu herbatę, przyglądał się pierścieniowi. — Dziwna historia...

— Niedługo mamy gości, radnego Sandsa z małżonką — przerwała mu matka tak, jakby знаła tę opowieść bardzo dobrze i nie chciała słuchać jej po raz kolejny. — Robi się późno. — Zaczęła zbierać naczynia ze stołu i uniosła ręce, by kłaśnięciem przywołać Stafflę, naszą służącą.

— Dziwna historia — powtórzył ojciec, nie zwracając na nią uwagi. Jego pozycja w domu była tak silna, że matka nie przywołała Staffli. Zamiast tego usiadła niespokojnie, wyraźnie niezadowolona.

— Ale prawdziwa, tego jestem pewien — ciągnął ojciec. — Przyniósł to dzisiaj pierwszy oficer z „Astry”. Mieli awarię instalacji elektrycznej i zatrzymali się, by dokonać naprawy. Okazało się, że to nie wszystko. Znaleźli też dziurę, którą zrobił spadający odłamek meteorytu. Musieli więc załatać poszycie.

Opowiadał to inaczej niż zwykle, mówił monotonnym głosem, w sposób bardzo oszczędny relacjonując fakty.

— Kjor naprawiał właśnie poszycie, gdy zobaczył coś, co unosiło się na wodzie. Wyłączył krótkofalówkę i wyciągnął ciało na brzeg. To coś... — ojciec zawahał się, gdyż Kjor powiedział mu, że nigdy wcześniej nie widział takiej rasy — ...nosiło kombinezon. Musiało leżeć tam od dłuższego czasu. Na dłoni okrytej rękawicą miało ten klejnot.

Jern wskazał na pierścień.

Na rękawicy skafandra — dziwna rzecz. Rękawice przystosowane były do prac naprawczych poza statkiem lub do podróży po planetach o toksycznej atmosferze. Po co więc ktoś miałby nosić tego rodzaju ozdobą nie pod, lecz na rękawicy? Chyba musiałem zapytać o to głośno, bo ojciec znów zaczął mówić:

— Właśnie, po co? Z pewnością nie dla ozdoby. Wydaje się, że pierścień miał dla właściciela ogromną wartość. Choćby z tego powodu chciałbym wiedzieć o nim coś więcej.

— Można go zbadać — zaproponował Faskel.

— To szlachetny kamień, ale jaki, nie wiem. W skali Moha dostał dwanaście...

— Diament ma dziesięć...

— A Jawsit wart jest jedenaście — kontynuował ojciec — do dzisiaj to on był wyznacznikiem skali. Nasza wiedza nie wystarcza, by ocenić ten pierścień.

— Instytut... — zaczęła matka, ale ojciec wyciągnął rękę i zabrał pierścień, jakby kryjąc go przed nami. Wsunął go do niewielkiej torby, którą schował w wewnętrznej kieszeni tuniki.

— Ani słowa o tym! — powiedział ostrym tonem.

Wiedział, że od tej chwili nikt w domu nawet nie wspomni o pierścieniu. Wychował nas bardzo dobrze. Jednak ani nie wysłał pierścienia do instytutu, ani, tego jestem pewien, nie starał się na własną rękę zdobyć o nim jakichś dodatkowych informacji. Wiedziałem jednak, że zbadał go na wszystkie możliwe i znane sobie sposoby, a było ich wiele.

Przywykłem już do tego, że ojciec często siedział przy biurku w pracowni i wpatrywał się w rozłożony na czarnym materiale pierścień tak, jakby siłą własnej woli chciał przeniknąć sekret klejnotu. Jeśli ozdoba ta należała kiedyś do pięknych, cały jej urok musiał zniknąć wraz z upływem czasu i licznymi podróżami kosmicznymi, w których pierścień zapewne uczestniczył.

Tajemnica owego klejnotu frapowała również i mnie. Od czasu do czasu ojciec wspominał coś na temat różnych teorii, które z nim wiązały. Wyrażał przekonanie, że klejnot nie był tylko ozdobą i że pełnił również jakąś inną ważniejszą rolę. To właśnie stanowiło klucz do zagadki.

Od chwili gdy ojciec przejął sklep, wybudował w jego wnętrzu rozmaite skrytki. Z czasem, ponieważ sklep coraz lepiej prosperował, rosła również ich liczba. Większość była nam znana i otwierała się za dotknięciem dłoni któregośkolwiek z domowników. Jednak o kilku skrytkach wiedzieliśmy tylko ojciec i ja. W jednej z nich, w pracowni, znajdował się pierścień. Ojciec zmienił jej kod, by reagowała jedynie na jego i mój kciuk. Wielokrotnie też kazał mi otwierać

i zamykać ową skrytkę, zanim uznał, że potrafię ją obsługiwać. Później przywołał mnie do siebie.

— Jutro przybędzie tu Vondar Ustle — zaczął dosyć zaskakująco. — Ma oficjalne pozwolenie na przyjęcie ucznia. Chcę, żebyś do niego przystał...

Nie wierzyłem własnym uszom. Jako najstarszy syn nie mogłem terminować, chyba że u ojca. Jeśli można było kogoś wysłać, powinien to być Faskel. Zanim jednak zdążyłem o cokolwiek zapytać, ojciec pośpieszył z wyjaśnieniami, jak zawsze skąpymi.

— Vondar piastuje urząd starszego znawcy klejnotów. Jednak zamiast osiąść na którejś z planet, dużo podróżuje. Nie znajdziemy w tej galaktyce dla ciebie lepszego nauczyciela. Wiem, co mówię. Posłuchaj mnie uważnie, Murdoc, ten sklep to nie miejsce dla ciebie. Masz talent, a ktoś, kto nie wykorzystuje swego talentu, jest jak osoba jedząca suchy chleb, gdy przed nią suto zastawiono stół, lub jak ktoś, kto ma na wyciągnięcie ręki diament, a wybiera cyrkonie. Sklep zostaw Faskelowi...

— Ale on...

Ojciec uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie, on z pewnością nie należy do najzdolniejszych w tej dziedzinie, zna się jedynie na najprostszycy sprawach. Handlarz to handlarz, to zajęcie nie dla ciebie. Długo czekałem na nauczyciela, któremu bez obaw będę mógł cię oddać na praktykę. Za moich czasów znano mnie jako specjalistę od wyceny, wdałem się jednak w podejrzone interesy. Ty nie możesz wiązać się w ten sposób. Jedyne, co powinieneś teraz zrobić, to odciąć się od nazwiska, pod którym znają cię tu, w Angkor. Powinieneś też podróżować, zobaczyć inne światy, jeśli masz zostać tym, na kogo się zapowiadasz. Wiadomo, że pola magnetyczne planet mają istotny wpływ na ludzkie zachowanie i powodują, że zmienia się nasza psychika. Zmiany te wyostrzają zmysły i wrażliwość, usprawniają pamięć i odświeżają umysł. Chcę wiedzieć o wszystkim, czego dowiesz się w ciągu pięciu lat spędzonych z Ustle'em.

— Wszystko z powodu pierścienia?...

Przytaknął.

— Jestem już za stary, żeby podróżować, ty — przeciwnie. Zanim umrę, chcę wiedzieć, jaki sekret kryje w sobie ten pierścień i co robi lub mógłby zrobić człowiekowi, który go założy!

Po raz kolejny wstał, wyciągnął torbę z pierścieniem, wyjął klejnot i obracał go w dłoni.

— Jest taki stary przesąd — powiedział z namysłem — iż zostawiamy część siebie na przedmiotach, które należały do nas za życia, pod warunkiem jednak, że miały swój istotny udział w budowaniu naszego losu. Łap...

Nagle ojciec rzucił pierścień w moim kierunku. Zaskoczył mnie tym zupełnie, ale zdołałem złapać klejnot. Wtedy też, choć przedmiot ten znajdował się już u nas od paru ładnych miesięcy, dotknąłem go po raz pierwszy.

Metal był chłodny i chropowaty. Im dłużej go trzymałem, tym wydawał się zimniejszy. Podniosłem pierścień do oczu i uważnie przyjrzałem się kamieniowi. Jego mętna powierzchnia była równie chropowata jak powierzchnia samej obręczy. Jeśli kiedykolwiek w sercu tego kamienia płonął ogień, musiało to być bardzo dawno temu. Zastanawiałem się, czy nie można by odcepić klejnotu od obrączki, przepołować i sprawdzić, czy wewnątrz zachował dawny blask. Wiedziałem jednak, że ojciec nigdy by się tego nie podjął. Ja zresztą też. Wszystko w tym pierścieniu zdawało się być tajemnicą. Nie sam pierścień jednak, lecz to, co kryło się w nim, stanowiło jej istotę. Plany mojego ojca co do mnie nabrały teraz sensu. Miałem rozwiązać tę łączącą nas obu tajemnicę.

I tak zostałem uczniem Ustle'a. Okazało się, że ojciec miał rację. Takiego nauczyciela nie spotykało się co dzień. Mój mistrz bez wysiłku mógłby zbić olbrzymi majątek, gdyby tylko zdecydował się osiąść na jednej z bogatszych planet i zająć się projektowaniem lub sprzedażą klejnotów. Zamiast sprzedawać, wolał je jednak odnajdywać w najrozmaitszych zakamarkach galaktyki. Czasami projektował, głównie w czasie podróży, a swoje pomysły sprzedawał innym, mniej uzdolnionym ludziom. Jednak jego największą pasją było odkrywanie tajemnic nowo poznanych światów i handel z tubylcami, od których kupował rozmaite, często świeżo wykopane, kamienie i bryły.

Wyśmiewał fałszerzy, których udało mu się zdemaskować. Zanurzali oni niewiele warte kamienie w ziołach i chemikaliach, aby upodobnić je do najcenniejszych klejnotów, albo opalali w ogniu, żeby zmieniły kolor. Nauczył mnie wielu dziwnych rzeczy, dzięki którym można było zjednać sobie szacunek u prostaków i czerpać z tego korzyści. Dzięki niemu wiedziałem na przykład, że ludzki włos owinięty dookoła szmaragdu nie spali się, nawet jeśli przyłożyć do niego zapaloną zapałkę.

Czas na planetach mierzy się latami. W kosmosie sprawa nie jest już tak prosta. Człowiek, który podróżuje po wszechświecie, starzeje się wolniej od ludzi mieszkających w jednym miejscu. Nie wiedziałem dokładnie, jak stary był Vondar, ale jeśli mierzyć jego wiek zakresem wiedzy, którą posiadał, to musiał być sporo starszy od mojego ojca. Opuściliśmy Angkor, udając się w daleką drogę. Powróciliśmy tu jednak po jakimś czasie, choć nie miałem żadnej, nawet najdrobniejszej, informacji o pierścieniu.

Nie upłynął nawet dzień od mojego powrotu do domu, gdy zorientowałem się, że coś jest nie tak. Faskel postarzał się. Gdy patrzyłem w gładko wypolerowanym lustrze mojej matki na swoją i jego twarz, wydawało mi się, że to on urodził się pierwszy. Stał się też bardziej pewny siebie. Jako pomocnik ojca często podejmował decyzje bez konsultacji z nim. A Hywel Jern nie robił nic, żeby wybić mu z głowy tę zarozumiałość.

Moja siostra była już mężatką. Dzięki okazałemu posagowi została synową radnego, co zresztą bardzo ucieszyło matkę. Choć Darina wyniosła się z domu tak, jakby nigdy tu nie mieszkała, matka cały czas mówiła o niej, wciąż powtarzając, że córka jest „żoną syna radnego”.

Ja również nie byłem już częścią tego domu. Chociaż Faskel nigdy nie dał mi wprost do zrozumienia, że nie cieszy go mój powrót, usilnie starał się pokazać, że to on zarządza sklepem. Bał się, że straci swoją pozycję, choć nigdy nie uczyniłem nic, co mogłoby o tym świadczyć. Kiedyś uważałem sklep za najważniejszą rzecz w moim życiu, ale po podróżach z Vondarem otworzyło się dla mnie tyle dróg, że teraz zajęcie to wydawało mi się wyjątkowo nudne i zastanawiałem się, dlaczego ojciec obrał taką drogę.

Hywel zarzucił mnie pytaniami o miejsca, które odwiedziłem. Dlatego też większość czasu spędzałem w jego gabinecie, opowiadając mu o tym, czego się nauczyłem.

Szybko jednak zorientowałem się, że ojciec próbował usłyszeć rzeczy, których nie powiedziałem. Choć był zainteresowany tym, co miałem mu do powiedzenia, wyczułem, że w głębi ducha zajmowało go coś, co nie miało nic wspólnego ani ze mną, ani z moimi odkryciami. Nie wspominał ani słowem o pierścieniu z kosmosu, a ja nie poruszałem tego tematu, czując ku temu wyraźną niechęć. Ani razu też nie wyciągnął klejnotu, by przyjrzeć się mu dokładnie, jak zwykł czynić to wcześniej.

Dopiero po czterech dniach zacząłem dostrzegać powody napięcia, które wyczułem natychmiast po powrocie. Nasz sklep, podobnie jak inne, był zamknięty w czasie świąt. Tradycja nakazywała rodzinom spotykać się z krewnymi i przyjaciółmi. Moja matka z dumą mówiła, że jesteśmy zaproszeni do Dariny, gdzie będziemy bawić się z rodziną i znajomymi radnego na jego prywatnej barce. Gdy o tym wspomniała, ojciec potrząsnął głową i powiedział, że zostaje w domu. Nigdy wcześniej nie widziałem, by matka sprzeciwiła mu się, jednak przez ostatnie lata musiała stać się bardziej pewna siebie, bo teraz nie wytrzymała. Powiedziała ojcu, iż to jego wybór, ale reszta rodziny uda się na przyjęcie. Ojciec zgodził się z tym i zdałem sobie sprawę, że przede mną kolejna nudna impreza. Poza tym matka miała również swój ukryty cel. Od dawna już Faskel interesował się siostrzenicą radnego, choć z moich obserwacji wynikało, że panna rzucała spojrzenia kilku młodzieńcom, a do mojego brata trafiały te najmniej czułe. Zgodnie jednak z życzeniem matki towarzyszyłem jej na spotkaniu i chyba była nawet ze mnie dość zadowolona, bo radny, wiedząc o moich podróżach, raz czy dwa wziął mnie na stronę i zapytał o to i owo.

Barka podążała w dół rzeki, a ja nie mogłem opanować niepokoju i przestać myśleć o ojcu. Przed wyjściem wyznał mi, że zostaje w domu, bo chce spotkać się z kimś bez świadków. Zastanawiałem się, kim była ta tajemnicza osoba.

Od kiedy pamiętam, ojciec przyjmował w sklepie klientów, których nie znaliśmy. Niektórzy z nich przychodzili ubrani tak, żeby nikt ich nie rozpoznał. Władze musiały wiedzieć, że nie wszystkie towary, którymi handlował ojciec, pochodziły z legalnego źródła. Jednak nikt nigdy o nic go nie oskarżył. Ręce Cechu Złodziei sięgały bardzo daleko, a ojciec znajdował się pod jego ochroną. Co prawda oficjalnie wycofał się z rady wiceprezydentów, ale czy ktokolwiek może zerwać całkowicie z Cechem Złodziei? Podobno to niemożliwe.

Ale tym razem w zachowaniu ojca dostrzegłem coś dziwnego, jakby czekał na to spotkanie i zarazem lękał się go. Im dłużej o tym myślałem, tym wyraźniej docierało do mnie, że Jern bardziej bał się niż cieszył z tajemniczej wizyty. Być może, tak jak przewidywał ojciec, podróże kosmiczne wyostrzyły moje zmysły tak, że zdolny byłem dostrzec więcej niż inni domownicy.

Tak czy inaczej, wyszedłem ze spotkania u radnego wcześniej. Matka nie uwierzyła, że muszę spotkać się Vondarem. Zresztą nie miało to wcale znaczenia. Wynająłem jedną z małych łódek i kazałem wioślarzowi, aby najszybciej jak potrafi płynął z powrotem do portu. Niestety, prąd był tak silny, że posuwaliśmy się w ślimaczym tempie. Siedziałem jak na szpilkach, mocno zaciskając dłonie na deskach burty.

Już na brzegu przepychałem się niecierpliwie przez zatłoczone ulice. Ktoś obrzucił mnie przekleństwami, ktoś inny ochlapał wodą. Frontowe drzwi sklepu zamknięto jeszcze przed naszym wyjściem. Wszedłem więc od tyłu, wąskimi drzwiami od strony ogrodu.

Przyłożyłem kciuk do czytnika w zamku, żeby otworzyć drzwi, i dopiero wtedy, z całą siłą, poczułem strach, który wyrósł z trapiącego mnie przez cały czas niepokoju. W domu było chłodno i panowała ciemność. Nasłuchując, zatrzymałem się przy drzwiach prowadzących do sklepu. Wiedziałem, że ojcu nie spodoba się, jeśli przeszkodzę mu w spotkaniu z tajemniczym klientem. Nie słyszałem jednak żadnych odgłosów rozmowy. Gdy zapukałem głośno do drzwi pracowni, odpowiedziało mi jedynie echo.

Popchnąłem drzwi, które ustąpiły tylko nieznacznie, tak że musiałem otworzyć je, używając całej siły. Usłyszałem odgłos drewna sunącego po podłodze. Zajrzałem do środka i zorientowałem się, że drzwi blokowało odwrócone do góry nogami biurko ojca. Wdarłem się gwałtownie do pokoju.

W fotelu siedział ojciec. Liny, którymi go skrepowano, ociekały krwią. Wpatrywał się we mnie, jakby nie wierząc w to, co go spotkało. Jego wzrok był jednak martwy, podobnie jak i on sam. W pokoju panował straszny bałagan, po podłodze walały się porozbijane pudła. Ktoś, kto szukał tutaj czegoś, musiał wyładować na nich złość.

Na różnych planetach istnieje wiele przesądów i wierzeń dotyczących śmierci i tego, co później dzieje się z człowiekiem. Skąd wiadomo, że część z nich nie jest prawdą? Nie można ani potwierdzić, ani podważyć ich wiarygodności. Mój ojciec nie żył już, gdy do niego podszedłem. Został zamordowany. Jednak albo siła jego woli, albo chęć zemsty unoszące się w tym pokoju podpowiedziały mi, co kryje się za tym zabójstwem, równie wyraźnie, jakby to on sam o wszystkim mi opowiedział.

Przeszedłem więc koło niego i znalazłem niewielkie nacięcie w ścianie. Przyłożyłem do niego kciuk tak, jak nauczył mnie tego ojciec. Otworzyła się niewielka szufladka, pokonując pewien opór; ojciec musiał długo nie korzystać z tej skrytki. Wyjąłem ze schowka torbę. Przez materiał czułem kształt pierścienia. Z zawiniątkiem w ręce stanąłem przed ojcem tak, jakby wciąż mógł zobaczyć, że je zabieram. Obiecałem mu, że będę dalej szukał tego, czego

on szukał i że, być może, uda mi się przy okazji odnaleźć ludzi odpowiedzialnych za jego śmierć. Jednego byłem pewien. Pierścień stanowił klucz do rozwiązania zagadkowej śmierci Hywela.

Nie było to jedyne przykre i szokujące doświadczenie, jakie spotkało mnie na Angkor. Gdy zjechały się władze i rodzina poddana została przesłuchaniu, ta, którą zawsze uważałem za matkę, wskazała na mnie i tonem nie znoszącym sprzeciwu rzekła:

— Od dziś rządzi tu Faskel. On jest moim prawdziwym dzieckiem i potomkiem mego ojca, pierwotnego właściciela tego sklepu. Tak przysięgnę przez trybunałem.

O tym, że zawsze faworyzowała Faskela, wiedziałem od dawna, ale teraz w jej głosie usłyszałem coś, co mnie przeraziło, a czego nie rozumiałem. Wyjaśniły mi to jej dalsze słowa.

— Jesteś dzieckiem z urzędu, Murdoc. Choć nikt nie zarzuci mi, że opiekowałam się tobą gorzej niż innymi. Nikt!

Byłem dzieckiem z urzędu — jednym z tych sprowadzonych na tę mało zaludnioną planetę z innego, przeludnionego świata, by urozmaicić materiał genetyczny. Na każdej planecie znajdowało się wielu takich jak ja. Nigdy jednak nie zaprzętałem sobie nimi głowy. W sumie nie miało dla mnie większego znaczenia, że to nie ona mnie urodziła. Jednak zabolalo mnie okrutnie to, że nie byłem dzieckiem Hywela! Wydaje mi się, że odgadła moje myśli, bo odsunęła się ode mnie. Nie powinna mieć powodów do obaw. Odwróciłem się i opuściłem ten pokój, potem dom i w końcu tę planetę, zabierając ze sobą jedynie swoje dziedzictwo — pierścień zrodzony gdzieś w kosmosie.

Rozdział trzeci

Gdy się obudziłem, świeca, którą zapalono w sanktuarium jeszcze przed moim przybyciem, dopalała się właśnie. O czym mówił głos? Że mogę pozostać tu, dopóki nie wypalą się cztery świece. Spojrzałem na posadzkę. Leżały tam jeszcze trzy świece. Wstałem, by wyjąć dogasającą i umieścić na jej miejscu nową.

Co się stanie, gdy pozostałe trzy się wypalą? Co potem? Czy zostanę po raz kolejny wyrzucony na ulice Koonga? Stopniowo badałem ściany pomieszczenia. Przeszukałem je dwukrotnie, szukając jakiegoś zmyślnie ukrytego wyjścia. Czułem narastającą gorycz i frustrację. Według mojego zegarka spędziłem tu już sporą część nocy i trochę dnia. Cztery świece powinny w sumie, jak wynikało z obliczeń, palić się przez około trzy doby. Statek, którym mieliśmy podróżować wraz z Vondarem, odlatywał dużo wcześniej. A kapitan nie będzie się zbytnio przejmował brakiem dwóch pasażerów. Gdy statek nie był w powietrzu, pasażerowie odpowiadali sami za siebie. Kapitan mógłby wyciągnąć z tarapatów kogoś z załogi, która z reguły była zżyta niczym rodzina, ale nie obcych. Nie, im nie musiał pomagać.

Jakie więc miałem szanse? Czy mnie obserwowano? Skąd ludzie opiekujący się tym miejscem będą wiedzieć, że dopaliła się ostatnia świeca? Może z upływem lat doszli już do takiej wprawy, że potrafią ocenić to na oko? Jakiej jednak mają zamiary? Jakiej korzyści przynosi im taka służba? Sanktuarium z pewnością przyjęłoby dar dla boga. A dla mnie miejsce to wciąż miało jakiś religijny charakter.

Wróciłem do łóżka i położyłem się twarzą do ściany. Nieznacznie poruszyłem rękami. Wierzyłem, że ktoś mnie obserwuje. Gdyby nie to, zupełnie straciłbym nadzieję. Namacałem dwie kieszonki w pasie bezpieczeństwa. W palcach wyczułem gładkość klejnotów, które miałem przy sobie. Ukryłem je w dłoni i leżałem bez ruchu. Chciałem, by myśleli, że usnąłem.

Vondar najcenniejsze okazy zamknął już w skrytce na statku. Przynajmniej one dotrą do sklepu jubilera, dokąd zostały zaadresowane. Tam też będą czekać na kogoś, kto już nigdy się o nie nie upomni.

Te, które miałem przy sobie, uważano, szczególnie na innych planetach, za mniej wartościowe. Tylko tutaj dwa z nich mogły stać się gratką dla oglądających. Oba były owocem transakcji, które przeprowadziłem osobiście. Pierwszy przedstawiał demoniczną niedużą głowę z oszlifowanego kryształu, z rubinami w miejsce oczu i o szpiczastych zębach

wykonanych z żółtych szafirów — dziwna rzecz. Toporność szlifu mogła uchodzić w tym świecie za coś atrakcyjnego. Drugi, wykonany z czerwonego szmaragdu, to był „kamień uspokajający”, jeden z tych, które mężczyźni z Gambool noszą na palcu podczas załatwiania ważnych interesów. Ich dotyk rzeczywiście dostarcza miłych wrażeń i być może nieprzypadkowo ludzie ci używają tych kamieni wówczas, gdy potrzebują odpoczynku.

Ile warte jest ludzkie życie? Mogłem oddać całą zawartość pasa, choć wiedziałem, że jeśli mój plan miał się powieść, musiałem zachować część na później. Wydawało mi się, że wybrałem najlepiej jak tylko potrafiłem. Obróciłem się więc i usiadłem. Nowa świeca dawała mocniejsze światło od poprzedniej.

Spojrzałem na stół, po czym wstałem, podszedłem do niego, położyłem na blacie część kamieni i usiadłem na jednym z rozchwianych stołków. Nie podniosłem głosu. Starłem się zachować spokój kupców, handlujących kamieniami na rynku.

— Mówi się — zacząłem tak, jakbym zwracał się do kogoś siedzącego po przeciwnej stronie stołu — że wszystko ma swoją cenę. Są handlarze i ci, którzy pragną coś kupić. Jestem obcy tu, w kraju Tanth. Ścigano mnie nie z mojej winy. Mój mistrz i przyjaciel nie żyje, zabity również bez powodu. Czy bowiem kiedykolwiek Zielone Szaty wybrały na ofiarę dla swego pana kogoś spoza tego świata? Czy nie mówi się, że ofiara złożona pod przymusem jest mniej miła potędze, której się ją składa?

— Prawdą jest, że zabiłem, ale tylko w obronie własnej. Gotów jestem przelać swoją krew na ołtarzu. Pamiętajcie jednak, że nie pochodzę z waszego świata. Nie dotyczą mnie wasze prawa, przynajmniej do chwili, gdy nie złamię ich z premedytacją. W każdym innym przypadku odpowiadam tylko przed moimi zwierzchnikami.

Czy ktoś w ogóle mnie słyszał? Czy Tanth leżało tak daleko od innych cywilizowanych światów, że autorytet Konfederacji można było traktować tutaj z takim lekceważeniem? Co tutejszych kapłanów obchodziły prawa ustanowione gdzieś daleko stąd? Schlebiałbym sobie również twierdząc, że moje zniknięcie i śmierć Vondara wywołają jakąkolwiek reakcję ze strony naszych zwierzchników. Podobnie jak Wolni Kupcy, musieliśmy godzić się na ryzyko wpisane w dalekie gwiazdne podróże.

— Gotów jestem zapłacić krwią — powtórzyłem. Starłem się okiełznać narastające we mnie napięcie i mówić spokojnym i beznamiętnym głosem. — Oto kamień spokoju. Ten, kto trzyma go w dłoni, myśląc lub mówiąc o sprawach wielkiej wagi, odkryje w sobie równowagę i opanowanie umysłu... — Naśladowując tutejszą mowę, zawiesiłem głos. Takie drobne zabiegi często pomagały osiągnąć zamierzony efekt.

— To kamień władzy — odsłoniłem oszlifowany kryształ. — Dołożę też ten talizman. Wryto na nim podobiznę Umphala... (blefowałem. Kamień pochodził z planety, gdzie nie znano tego demonicznego bóstwa, jednak do złudzenia przypominał figurki Umphala, które miałem okazję tu oglądać). Wystarczy umieścić go na piersi i potęga czerwonookiego demona przestaje być groźna. Na widok własnego oblicza Umphal czmychnie w popłochu. Oba te

kamienie, jeden dający mądrość, a drugi ochronę przed tym, który gna północne wichry, to cena dwukrotnie przewyższająca wartość mojej krwi.

Odsunąłem od siebie myśl, że mogę zwracać się tylko do głuchych ścian, i mówiłem dalej.

— W waszym porcie stoi statek Wolnych Kupców. Za cenę mojej krwi, chcę jedynie porozmawiać z jego kapitanem.

Siedziałem w ciszy, wpatrując się w leżące na stole kamienie i nasłuchując najdrobniejszego dźwięku, który zdradziłby mi, że nie jestem sam. Nie mogłem uwierzyć, aby wszyscy desperaci, którzy znaleźli się tu przede mną, kończyli swą ucieczkę w tym miejscu.

Czy usłyszałem stuknięcie? Czy ośmielę się uwierzyć, że tak? Zdawało się, jakby dźwięk dobiegł zza moich pleców. Oczekałem chwilę, po czym wstałem i podszedłem do niszy, udając pragnienie. W niewielkim koszyku obok butelki z wodą znalazłem coś, czego nie było tam wcześniej — nieduże ciastko. Po raz kolejny uniosłem dzwonek, żeby dać sygnał, gdy moją uwagę przykuł koszyk. Ślady kurzu na półce świadczyły, że przesunięto go nieco do przodu. Wyglądało na to, jakby ściana tuż za nim przesunęła się nieznacznie.

Z całą więc pewnością nie myliłem się co do dźwięku. W ścianie musiała być szczelina, przez którą mnie obserwowano. Tą drogą również podano mi jedzenie. Ciastko było kruche i pachniało najwykleszym serem, którym je posmarowano. Dla przybysza z zewnątrz nie było zbyt smaczne, ale zjadłem je. Głód może pokonać wiele przeciwności.

Poddano mnie teraz ciężkiej próbie oczekiwania. Druga świeca dopalała się i właśnie miałem zapalić trzecią, gdy w drzwiach, którymi wcześniej przyszedłem, pojawił się bez żadnego ostrzeżenia mężczyzna. Sięgnąłem po laser, ale uprzedził mnie, zanim jeszcze zdążyłem dotknąć broni.

— Spokojnie! — przemówił w języku międzygalaktycznym. Zbliżył się o parę kroków. Był w mundurze załoganta statku, a na kołnierzu jego ubrania dostrzegłem naszywkę nadzorca transportu. — Trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Z pewnością był przybyszem z zewnątrz. Po mundurze poznałem, że jest Wolnym Kupcem. Wziąłem głęboki oddech. Czyżby aż tak wysoko powędrowała moja oferta?

— Złożyłeś pewną propozycję... — Przyglądał mi się spod nieco przymkniętych powiek. W jego wzroku nie dostrzegłem serdeczności. — Mów, o co chodzi — wyrzucił to z siebie nagłym tonem, zupełnie jakby znajdował się tu nie z własnej woli i czyhało na niego jakieś niebezpieczeństwo.

— Chcę wydostać się z tej planety — odparłem krótko.

Oparł się o ścianę i przyglądał mi się uważnie. Nadzorca transportu w związku Wolnych Kupców nie zażąda byle czego. Należało się z nim liczyć. Choć oficjalnie był kupcem, a nie żołnierzem, z pewnością nie obrastał w tłuszcz i nie był powolny.

— Szuka cię połowa miasta. Jak chcesz w tej sytuacji pojawić się na ulicach? — ciągnął. Nie opuścił lasera, który przez cały czas trzymał wymierzony prosto we mnie. Na jego twarzy

nie widać było żadnego współczucia. Wolni Kupcy żyli w klanach. Ich domem był statek. Byłem dla nich obcy.

— Powiedz mi, nadzorco... — jak dotąd nie udało mi się przełamać lodów między nami. Teraz jednak musiałem przekonać go do swoich racji. Stawką było moje życie. — ...co o mnie słyszałeś?

— Że uderzyłeś jednego z kapłanów, a drugiego zabiłeś...

— Handluję klejnotami, jestem uczniem Vondara Ustle'a. Słyszałeś o nim?

— Słyszałem. Wiele podróżuje. Co to ma do rzeczy? Czy to umniejsza twoją winę tutaj?

— Jestem niewinny. — W jaki sposób miałem go przekonać? — Czy zdrowy na umyśle człowiek wsadza rękę w gniazdo os? Siedzieliśmy w tawernie „Pod Łaciatym Krukiem”. Skończyliśmy wszystkie interesy i niedługo mieliśmy odlecieć na „Voyringerze”. Pojawiły się Zielone Szaty i ustawiły ten swój kołowrotek. Wydawało się, że nam, obcokrajowcom, nic nie grozi. Gdy strzałka zatrzymała się, mogę przysiąc, że wskazywała miejsce dokładnie między nami. A oni rzucili się na nas...

— Po co? — Widziałem, że mi nie wierzył. — Nie igrają w ten sposób z przybyszami z zewnątrz.

— Nam też się tak wydawało, nadzorco. A jednak rzucili się na nas. Zasztyletowali Vondara, gdy próbował się bronić. Zabiłem jednego z nich i uciekłem. Słyszałem wcześniej o tej świątyni, więc...

— Powiedz mi, jaki znak rozpoznawczy miał Vondar Ustle? Ostrzegam cię, że go widziałem. — Pytanie było szybkie i celne, niczym strzał z lasera.

— Pieczęć w kształcie półksiężyca z opalu, a pomiędzy jego rogami głowa Gryfa wykonana z krzemienia — udzieliłem mu błyskawicznej odpowiedzi. Zastanawiałem się jednocześnie, skąd ów człowiek mógłby znać godło kogoś, kto pokazywał je wyłącznie równym sobie.

Mężczyzna przytaknął i schował laser.

— Jakich wrogów narobił sobie tutaj Vondar?

Ta myśl dręczyła i mnie, szczególnie gdy miałem chwilę czasu, by się nad tym zastanowić. Niewykluczone, że śmierć mojego mistrza ukartowano z chęci zemsty. Choć wybór ofiary miał z zasady odbywać się drogą losowania, plotka głosiła, że często pomagano ślepemu losowi wskazać osobę, z której śmierci cieszyłoby się nie tylko samo bóstwo i Zielone Szaty, ale i ktoś jeszcze. Jednak w czasie naszego tutaj pobytu nie doszło do jakiegokolwiek zatargu. Odwiedziliśmy Hamzara, obejrzelśmy towar i Vondar kupił parę rzeczy, które uznał za wartościowe. Wymienili przy tym kilka handlowych plotek, to wszystko. Odwiedziliśmy też bazar włóczęgów i potargowaliśmy się o nieoszlifowane kryształy ze słonej pustyni, zawsze jednak obie strony były zadowolone. Nie widziałem powodu do żadnej awantury. Dałbym wiele, żeby znaleźć jakiś pretekst, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

— To może być ktoś z zewnątrz — powiedział nadzorca. Obserwował mnie, jakby oczekiwał, że wymienię nazwiska i przyczyny. Po chwili jednak mówił dalej. — Niektóre ciosy dosięgają nas z daleka. Jeśli chcesz poprzysiąc zemstę zabójcom swego mistrza, to twoja sprawa. Pod warunkiem oczywiście, że wyjdiesz z tego żywy. Czego oczekujesz od nas? Chcesz się stąd wydostać... jak?

— A co proponujesz? — zapytałem. — Dobrze zapłacę za możliwość opuszczenia tej planety i transport do portu drugiej kategorii na każdej innej. I nie mów mi tylko... — Odważyłem się teraz trochę go przycisnąć. W końcu nie miałem nic do stracenia — ... że nie dasz rady mnie wyprowadzić. Możliwości Wolnych Kupców są ogólnie znane.

— Umiemy o siebie zadbać, ale ty nie jesteś jednym z nas.

— Dbacie też o swój towar. Potraktuj mnie zatem jak ładunek, wyjątkowo cenny ładunek.

Niespodziewanie na jego usta przybłąkał się uśmiech.

— Ładunek, tak? — uśmiech zniknął z jego warg. Patrzył teraz wnikliwie, jakby chciał wzrokiem zmienić mnie w pudło lub pakunek, który mógłby załadować na statek. — Mówiłeś coś o cenie? — powiedział ożywiony. — Jakiego rodzaju zysk miałeś na myśli? Jak duży?

Odwrociłem się i odszukałem mój pas. Pokazałem mu klejnoty, które zaiskrzyły w świetle pochodni. Były owocem mojej półrocznej pracy, targowania się i wymiany. Dwa z nich pasowały do siebie idealnie — Oczy Kelem. Miały szkarłatnozłoty kolor. Gdzieniedzie dostrzec można było odcienie zieleni. Gdy patrzyło się na nie odpowiednio długo, kolory zaczynały falować i zmieniały się. Kamienie te nie należały do bezcennych. Ale zaoferowane na odpowiednim rynku, warte były długiej podróży dla handlarza o zmiennym szczęściu. Nie miałem nic cenniejszego i on chyba to odgadł.

Nie próbował się nawet targować ani ograniczyć moich żądań. Czy w jakimś, niewielkim choćby stopniu, litował się nade mną, tego nie wiem. Patrzył jednak to na kamienie, to na mnie, kiwał głową i wyciągał rękę w ich kierunku, pokazując, że zna kupieckie zwyczaje. Wolni Kupcy wyczuleni są na każdy towar i kupują rozmaite rzeczy.

— Chodź!

Ruszyłem za nim, zostawiając za sobą ten pokój i stół, na którym leżała moja oferta. Wystarczyło mi, że oni dotrzymują swojej części umowy. Znaleźliśmy się znów w holu przy drzwiach, gdzie uprzednio paliły się dwie świece. Teraz obie były wygaszone, a przez otwory w drzwiach sączyło się światło dnia. Nadzorca pochylił się i podniósł z ziemi zawiniątko. Był to mundur i czapka załoganta.

— Przebierz się.

Zaśmiałem się, nieco głupkowato.

— Wygląda na to, że przyszedłeś tu przygotowany — powiedziałem, naciągając tunikę i zapinając klamry przy kołnierzu i pasku. Ubranie było na mnie trochę za ciasne.

— Tak... — Zawahał się. — Wieści szybko się rozchodzą. Nasz kapitan znał Vondara. Gdy dotarła do nas wiadomość, był na tyle zainteresowany, by mnie wysłać.

Z jego twarzy wyczytałem, że na ten temat nic więcej nie powie. Czułem się tak szczęśliwy, iż przyszedł tu przygotowany, by mnie wyciągnąć, że gotów byłem wyjść stąd choćby głównym wyjściem.

On jednak nie skierował się w tę stronę. Podszedł natomiast szybko do ściany po lewej stronie i przyłożył do niej dłoń. Wydawało się, że nie poruszy to ciężkiego kamienia, a jednak ściana rozstała się, odsłaniając wąskie przejście, w które wszedł bez wahania. Podążyłem za nim. Gdy ściana zamknęła się za nami, ogarnęła nas całkowita ciemność. Przypomniały mi się alejki, którymi jeszcze niedawno uciekałem.

Przejście było tak wąskie, że ramionami ocieraliśmy się o ściany. Wpadłem na mojego przewodnika, który gwałtownie się zatrzymał. Usłyszałem drobne stuknięcie i oślepił mnie strumień słonecznego światła.

— Chodź! — wysunął rękę, by mnie wyciągnąć. Mrużyłem oczy i mrugałem, oślepiiony słońcem. Znajdowaliśmy się w jakiejś alejce zastawionej dookoła pojemnikami na śmieci. W błocie co chwilę coś czmychało spod naszych butów. Mój kompan zaklął soczyście, kopiąc przy okazji jakieś stworzenie, które głośno na niego zasyczało. Kilka dłuższych kroków zaprowadziło nas do następnego, dużo czystszej przejścia. Zwalczałem w sobie chęć rzucenia się do gwałtownej ucieczki lub rozglądania się za pościgiem. Należało jednak przybrać obojętną postawę i dostosować krok do tempa współtowarzysza.

Dotarliśmy do bramy portu. Tak jak przewidywałem, „Voyringera” już nie było. Na wypalanej przez silniki ziemi stał jedynie statek handlowy. Nadzorca chwycił mnie za rękaw.

— Kłopoty...

Już wcześniej dostrzegłem ludzi w jasnych ubiorach, którzy kręcili się przy statku. Zatem komitet powitalny czekał. Może tylko dlatego, że nie widzieli innej drogi ucieczki dla przybysza z zewnątrz.

— Pijany... jesteś pijany! — syknął mi do ucha nadzorca. Jego głos brzmiał podobnie do dźwięków, jakie słyszałem przed chwilą w alei. — Powinno się udać!

Zupełnie mnie zaskoczył. Zdażyłem tylko zobaczyć jego uniesioną pięść. Nie udało mi się uniknąć ciosu. Poczulem tępy ból, i musiałem prawie natychmiast stracić przytomność, bo to ostatnia rzecz, którą pamiętam z Tanth.

Słyszałem stukot jubilerskich młotków, które okuwały mi głowę żelazną obręczą. Nie mogłem nawet ruszyć ręką. Potem poczułem na twarzy coś mokrego. Krztusząc się, złapałem haust powietrza. Na moment dudnienie w mojej głowie ustało. Otworzyłem oczy.

Zobaczyłem nad sobą dwie twarze. Jedna znajdowała się bardzo blisko, druga, rozmazana, gdzieś dalej. Ta bliżej była włochata, ze szpiczastymi uszami i zielonozłotymi oczami. To coś otworzyło ciemne usta i w środku zobaczyłem ostre zęby i ruchliwy, chropowaty język. Cała twarz nie była zbyt duża.

Teraz zbliżyła się i ta większa. Próbowałem przyjrzeć się jej trochę lepiej. Typowy załogant — twarz bez wyrazu, krótko ścięte włosy, kosmiczna opalenizna, trudny do określenia wiek.

Usłyszałem słowa.

— No, ocknąłeś się wreszcie...

Wreszcie? Powoli zacząłem przypominać sobie wydarzenia. Czyżbym z powrotem wyłądował w sanktuarium? Nie! Próbowałem usiąść. Zakręciło mi się w głowie i poczułem mdłości. Czyjeś ręce zdecydowanym ruchem położyły mnie z powrotem na plecach. Poczulem jednak wibracje, których nie mógłbym wyczuć w pomieszczeniach świątyni. Znajdowaliśmy się na statku i, co więcej, byliśmy w powietrzu. Ta świadomość przyniosła mi ulgę. Pograżyłem się ponownie w letargu.

Tak więc znalazłem się na pokładzie „Vestris”, choć moje pierwsze dni tutaj były inne, niż w przypadku zwykłych pasażerów. Nadzorca transportu znieczulił mnie, by wnieść na pokład jako swego pijanego pomocnika. Okazało się jednak, że jestem nieco słabszej konstrukcji niż ci, którzy z jego pięściami mieli kiedykolwiek do czynienia. Ku zaniepokojeniu lekarza pokładowego, byłem półprzytomny dłużej niż by sobie tego życzył. Leżałem w ciasnej kajucie dla obłożnie chorych, tuż przy gabinecie lekarza. Minęło trochę czasu, zanim przesłuchał mnie kapitan Isuran. Był typowym podróżnikiem, urodzonym i wychowanym na statku, i bardziej przywiązany do tej maszyny, niż do jakiegokolwiek planety. Nie znałem nigdy bliżej żadnego Wolnego Kupca i teraz również nawiązanie bliskiego kontaktu z tymi ludźmi wydało mi się dziwne. Opowiedziałem mu swoją historię. Wysłuchał mnie uważnie. Spytał, kto mógłby życzyć Vondarowi Ustle’owi śmierci, ale nie potrafiłem udzielić mu żadnej odpowiedzi. Byłem pewien, że w przeszłości coś musiało łączyć tego człowieka z moim nauczycielem. Jednak Isuran nie przyznał się do tego, a ja nie śmiałem pytać. Wystarczyło mi, że zgodził się zabrać mnie na inną planetę. Stamtąd może zdołam skontaktować się z ludźmi, którzy znali mnie jako ucznia Vondara.

Miałem teraz dużo czasu na myślenie o przyszłości. Podróże kosmiczne same w sobie są bowiem dość monotonne. Załoganci, by zabić nudę, zajmowali się różnymi rzeczami. Mnie pozostawały jedynie własne rozważania, których nieprzyjemny charakter szybko mnie jednak zniechęcił.

Ustle miał szerokie znajomości i żywiłem nadzieję, że ktoś z jego znajomych da mi pracę. Sprawę komplikowało to, że wprawdzie znałem się na klejnotach jako sprzedawca, ale nie wiedziałem nic o ich obróbce i nie miałem zawodowego doświadczenia. Zbyttno zasmakowałem też w życiu, jakie prowadził Vondar. Mój pas z kamieniami był teraz wyjątkowo lekki. Powiniennem dotrzeć do jakiegoś portu, w którym mógłbym resztkę zapasów wymienić na pieniądze, bo moje oszczędności znacznie stopniały. Nie dałbym rady sam podróżować tak, jak robiliśmy to razem z Vondarem. A podobnych do niego ludzi, którzy poszukiwali uczniów, było niewiele.

I dlaczego zabito Vondara? Uznałem już za pewnik, że ktoś ukartował jego śmierć i nie była to wyłącznie sprawka Zielonych Szat. Choć jednak bardzo wnikliwie przypominałem sobie wszystko, co nas spotkało na tej planecie, nie mogłem znaleźć przyczyny, dla której ktokolwiek chciałby go zabić. Możliwe, że ja też byłem celem. Przecież Zielone Szaty rzuciły się również na mnie.

Po raz drugi w moje życie gwałtownie wtargnęła śmierć. Znow wróciła do mnie myśl o ojcu. Zawsze pozostanie dla mnie prawdziwym ojcem, bo tak właśnie mnie traktował, jakbym był synem zrodzonym z jego krwi i kości. Musiał się domyślać, co stanie się po jego śmierci, zapewnił mi więc przyszłość, jaką uważał za najlepszą. Kto odwiedził go tego feralnego dnia? I jeszcze ten pierścień — moja ręka sięgnęła do najgłębszej kieszeni przy pasku. Nie odpiąłem jej jednak i nie dotknąłem klejnotu. Wyczułem jedynie jego kształt pod palcami. Czy słusznie myślałem, że zabójca mojego ojca szukał właśnie tego? Jeśli tak... Czy możliwe było również...? Nie wiedziałem, jaki związek mógł mieć pierścień z wydarzeniami na Tanth. Wszystko, co znajdowano przy ofiarach demona, należało do Zielonych Szat, które składały to w ofierze swemu bóstwu. Gdybym wpadł w ich ręce, nikt nie mógłby wejść w posiadanie pierścienia bez ich zgody.

Zebrałem wiele faktów i zdarzeń i mógłbym bez końca zgadywać, co było prawdą, a co nie. W międzyczasie jednak musiałem znaleźć jakieś zajęcie, które pozwoliłoby mi zarobić na życie. Z czasem powinienem dowiedzieć się, co kryło się za śmiercią Vondara. To bowiem, co nas łączyło, wymagało zemsty podobnej do przysięgi noża, jaką składali sobie Wolni Kupcy.

Wciąż zajęty byłem własnymi myślami, gdy dotarła do mnie wiadomość, że „Vestris” podchodzi do lądowania nie w przewidywanym wcześniej miejscu, lecz na mniejszej planecie. Nadzorca transportu Ostrend pokrótce objaśnił mi przyczyny tego nagłego lądowania. Świat, do którego mieliśmy zawitać, porośnięty był wyjątkowo bujną roślinnością. Klimat był tu bardziej gorący niż przywykliśmy, a mieszkańcy bliżej spokrewnieni z płazami niż z ludźmi. Mieli do zaoferowania substancję o właściwościach leczniczych, którą wytwarzali z roślin. W zamian otrzymywali od Wolnych Kupców zarodki skorupiaków, uważane za ogromny rarytas.

— Może cię to zainteresować — Ostrend wyjął z pudełka trzy niewielkie przedmioty i postawił je na stole.

Wyjąłem swoje jubilerskie szkła, żeby przyjrzeć się im dokładniej. Były to maleńkie figurki w kolorze różowopurpurowym, równie groteskowe jak te wymyślone przez artystów z Tanth. Wykonano je z nieobrobionej masy perłowej. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Stanowiły osobliwość, która mogła zainteresować kolekcjonerów dziwnych rzeczy.

— Jest taki facet, Salmscar, hoduje macicę perłową. Eksperymentuje z morskimi skorupiakami. To podstawa naszego lokalnego handlu. Mutacja zachodzi tak szybko, że umierają przed upływem dwóch lat. Salmscar umieszcza w nich maleńkie metalowe ziarenka

i po dwu, trzech latach otrzymuje coś takiego. Traktuje to jako swoje hobby. Możesz z nim pohandlować, jeśli zechcesz.

Wiedziałem, że Wolni Kupcy zazdrośnie strzegli źródeł, z których otrzymywali swoje towary. Gdyby te zmutowane perły miały jakąkolwiek wartość, Ostrend nigdy nie wspomniałby o nich przy mnie. Chyba że chciał mnie sprawdzić lub wciągnąć w pułapkę. Widziałem teraz wyraźnie niebezpieczeństwa piętrzące się po obu stronach drogi, którą przyszło mi wędrować. Wyglądało na to, że nadzorca wręcz namawiał mnie do złamania praw obowiązujących na statku. Nic na ten temat nie powiedziałem, traktując to jako kolejną zagadkę w całej tej dziwnej historii. Wyraziłem natomiast zainteresowanie, którego nie musiałem ukrywać, i zacząłem się zastanawiać, co mógłbym zaproponować w zamian za te perły. Klejnoty, które mi pozostały, nie wchodziły w grę, podobnie jak handel bez pełnego przyzwolenia moich współtowarzyszy.

Rozdział czwarty

Załoga statku, bardzo ze sobą zżyta, raczej nie tolerowała obcych, skazany więc byłem na samotność. Towarzystwa dotrzymywał mi tylko jeden członek załogi. To do niego należała owa włochata głowa, którą zobaczyłem tuż po odzyskaniu świadomości. Teraz widywałem ją jeszcze częściej, bo Valcyr, pokładowa kocica, upodobała sobie moje towarzystwo i większość czasu spędzała w mojej kabynie, wpatrując się we mnie.

Z początku jej ciągła obecność drażniła mnie. Nie byłem przyzwyczajony do zwierząt i wydawało mi się, że za tymi okrągłymi, mrugającymi oczami ukrywał się umysł, który uważnie obserwował, analizował i oceniał każdy mój ruch. Z czasem jednak przyzwyczailem się i nawet zacząłem do niej mówić, nie mogąc znaleźć nikogo wśród załogi, kto zechciałby ze mną porozmawiać w tej kosmicznej głuszy. Między sobą załoganci posługiwali się językiem, którego ani nie rozumiałem, ani nie potrafiłem powtórzyć.

Gdy po rozmowie z Ostrendem wróciłem do swojej kabiny, znalazłem Valcyr, wylegającą się na moim pośłaniu. Była zwinnym i pięknym stworzeniem. Miała grube futro o krótkim włosie i jednolicie stalowoszarej barwie. Jedynie na ogonie pojawiały się ciemne plamki. Zastałem ją w jednej z tych chwil, kiedy okazywała swe uczucia. Podeszła do mnie i otarła się głową o moją dłoń, mrucząc przy tym przymilnie. Taki nastrój zdarzał się jej wyjątkowo rzadko, więc pogłaskałem ją czule, zastanawiając się jednocześnie nad propozycją Ostrenda.

Mieliśmy wylądować na krótko, w pobliżu placówki handlowej, którą załoga „Vestris” odwiedzała już wcześniej. Świat ten zaludniony był głównie przez płazopodobne stwory, które żyły w niewielkich klanach, przemierzających się często wzdłuż rzek. Kilka bardziej ucywilizowanych i przedsiębiorczych plemion osiadło na stałe w miejscach, gdzie można było hodować skorupiaki. Zamieszkiwali niepozorne wioski, złożone najczęściej z kilku mizernych lepianek z tataraku i mułu.

Na „Vestris” miałem tylko to, co na sobie. Zrobiłem przegląd swego skromnego dobytku, żeby sprawdzić, czy w moim posiadaniu pozostało cokolwiek, co nadawałoby się do wymiany handlowej. Kilku małych klejnotów, które wciąż skrywałem w pasku, nie chciałem na razie ruszać. Bynajmniej nie dlatego, że mogłyby zainteresować Salmscara. Żał mi było paczek porzuconych w oberży na Tanth i bagażu, który odleciał razem z frachtowcem. Jeśli jednak miałem żałować tych drobiazgów, należało też pamiętać o całym dobytku, jaki porzuciłem w świątyni. Tu nie miałem nic do stracenia. Valcyr, do której zwracałem się przez

cały ten czas, ziewnęła szeroko i delikatnie ugryzła mnie w dłoń, dając tym samym do zrozumienia, że ma już dosyć pieszczot.

Gdy prom wylądował, nabrałem jednak sporej ochoty, by wyjść na zewnątrz. Jak każdy powietrzny podróżnik, chciałem poczuć pod stopami stały ląd. Nie byłem jednym z tych załogantów, którzy na ląd wychodzą tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne.

Gdy wyszliśmy już ze statku na otwartą przestrzeń, przywitał nas okropny smród, mieszanka zapachu spalonej przez silniki „Vestris” ziemi i jakichś chemikaliów. Ostrend wyjaśnił mi, że tubylcy uwielbiali gorące źródła i inne formy wulkanicznej działalności. Smród i brudna woda wydobywały się z dziur w ziemi.

Wszędzie dookoła rozciągały się trzęsawiska. Spora część substancji wyrzucanych co chwila z wnętrza planety zasiląca żółtawą rzekę, płynącą w pobliżu. Gorące powietrze zmieszane ze smrodem chemikaliów dławilo nas. Kasłaliśmy i pluliśmy, przedzierając się wzdłuż rzeki wąską ścieżką, która prowadziła do upatrzonej wioski.

Nagle Ostrend zatrzymał się. Zupełnie zaskoczony, wciąż trzymając pod pachą stolik, na którym miał rozłożyć towar, wpatrywał się przed siebie. Nie spodziewałem się po tym miejscu czegoś nadzwyczajnego, ale to, co zastaliśmy, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Nie była to z pewnością wioska, tylko jej nędzna pozostałość.

Wszystko pokrywał cuchnący szlam i częściowo zaschnięte błoto. To obrzydlistwo miejscami odchodziło i niszczyło się dużymi płatami. Poza skrzydlatą jaszczurką, która z głośnym okrzykiem rzuciła się na nasz widok w stronę rzeki, nigdzie nie było widać nawet najmniejszego ruchu. Żaden z kupców nie wyprzedził Ostrenda, jednak oczy mieli dookoła głowy, jakby spodziewając się zasadzki.

Ostrend wyjął z kieszeni cienki metalowy przedmiot, który w jego dłoni wydłużył się, dwukrotnie przewyższając wzrost nadzorcy. Do drugiego końca przytwierdził niewielki jasnożółty proporzec, po czym osadził pręt w błotnistej ziemi tuż przy brzegu rzeki. Z tego, co mówili inni, wywnioskowałem, że mieszkańcy opuścili wioskę tymczasowo i jedyne, co nam pozostaje, to czekać na ich powrót — jeśli w ogóle wrócą. Kupcy, znając tutejsze zwyczaje, liczyli jednak na to, że tubylcy się zjawią. Należało mieć nadzieję, że nie przytrafiło im się nic złego i że ta nieobecność była rzeczą normalną.

Kapitan Isuran, jak każdy Wolny Kupiec, był usposobiony do życia dość filozoficznie. Ten przestój wyraźnie mu się nie podobał. Wprawdzie „Vestris” nie musiała dolecieć do właściwego celu na określony czas, ale na każdej planecie czas płynął nieco inaczej. Dlatego nie mogliśmy zamarudzić tu zbyt długo. Z drugiej jednak strony brak zysków z tej planety oznaczał zmianę planów i dodatkowy kurs, który pokryłby koszty obecnego.

W ciągu kilku najbliższych godzin Ostrend i kapitan naradzali się na osobności, a reszta załogi rozprawiała głośno o tym, co mogło stać się z tubylcami. Co jakiś czas któryś z załogantów obejmował straż przy proporcju, zastępując swego poprzednika. Ponieważ nie

ciężył na mnie ten obowiązek, zaspokoilem swą ciekawość, przetrząsając okoliczne chaszczce. Cały czas jednak starałem się mieć przed oczami statek i nie oddalać się zbyt daleko.

Poza gorącymi źródłami, których smród i gorąco szybko mi dokuczyły, niewiele było tu interesujących rzeczy do zobaczenia. Skrzydlata jaszczurka lub może ptak, który umknął na nasz widok, to jedyne żywe stworzenie, jakie zdołałem dostrzec. Nawet robactwo było na tej planecie albo reprezentowane dosyć skromnie, albo po prostu, z nieznanym mi przyczyn, trzymało się z dala od statku. W końcu przyklęknąłem przy błotnistym strumyku, który wypływał z jednego z gejzerów, i zacząłem badać żwir i muł. Nawet tu, na obcej planecie, moja obsesja poszukiwacza klejnotów nie osłabła. Nie trafiłem jednak na nic godnego uwagi.

Znalazłem natomiast dziwnie wyglądającą, jednolicie czarną substancję, która swym wyglądem nie przypominała żadnego ze znanych mi minerałów czy kamieni. Jej powierzchnia przywodziła na myśl postrzępiony spaw dwu metalowych części. Gdy za pomocą patyka oddzieliłem ją od reszty szlamu i kamieni, okazała się wyjątkowo twarda. Nawet pod uderzeniami kamienia, jej przypominająca welwet powierzchnia nie pękła ani nie zarysowała się. Moja ciekawość wzrosła. Nie przypuszczałem, żeby substancja była pochodzenia roślinnego. Nazbierałem kilkanaście okazów i ułożyłem je na słońcu. Z początku bałem się ich dotknąć. Natura wyposaża wiele planet w różne paskudne pułapki. Te skamieliny nie były ani specjalnie ładne, ani, jak przypuszczałem, zbyt wartościowe. Jednak ten zadziwiający kontrast pomiędzy ich rzekomą miękkością a faktyczną twardością zafrapował mnie na tyle, że wybrałem trzy z nich, żeby w przyszłości je zbadać. Wymagały powolnej i mozolnej obróbki. Należało wydobyć ich miękkie wnętrze z pozornie nieatrakcyjnej powłoki. Wiedziałem, że po właściwym potraktowaniu można było ze zwykłej rzeczy zrobić coś wartościowego. Wierzyłem, że te dziwactwa mogą kryć pod swą chropowatą powłoką całkiem miłą niespodziankę. Brakowało mi jedynie narzędzi i odpowiednich umiejętności, żeby wykonać tak skomplikowane zadanie.

Gdy tak łamałem sobie głowę nad tą zagadką, zobaczyłem Valcyr. Zbliżała się do mnie, stąpając majestatycznie wzdłuż maleńkiego strumyczka. Szła tak z nosem przy ziemi, niczym pies, który właśnie złapał świeży trop, i uważnie badała powietrze wokół siebie, wyraźnie czymś zainteresowana.

W końcu dotarła do pozostawionych przeze mnie przedziwnych kamieni i obwąchała je dokładnie. Dla mnie nie miały one żadnego zapachu, dla niej jednak musiały wydzielać jakąś bardzo wyrazistą woń. Obwąchała wszystkie po kolei, siadła przy największym i zaczęła go lizać. Nie chciałem, żeby kotce stało się coś złego, próbowałem więc zabrać jej kamień. Szybko jednak zrezygnowałem. Położyła uszy po sobie i z głośnym syczeniem mocno drapnęła mnie w palec. Wycofałem się, oblizując krwawiącą rękę. Było jasne, iż zabawa z kamieniem sprawia zwierzęciu przyjemność i że nie należy w tym przeszkadzać.

Gdy cofnąłem rękę, Valcyr na powrót zabrała się do oblizywania kamienia. Co chwilę łapała go w zęby, po czym wypuszczała na ziemię i lizała.

Na piasku koło mnie dostrzegłem wydłużający się cień.

— Znalazłeś coś? — spytał młodszy pomocnik Ostrenda.

— Wiesz może, co to jest? Widziałeś już kiedyś coś takiego? — zapytałem, wskazując na przedmioty leżące na ziemi dokoła kocicy.

Chiswit przykucnął, żeby uważniej przyjrzeć się kamieniom.

— Nie — odparł i rozejrzał się dookoła. — Pierwszy raz widzę ten strumień. Nie było go tu poprzednim razem. Może rozsadziło jeden z tych błotnistych pagórków? Chwileczkę! Albo jakiś gaz wydzielił się w trakcie wybuchu i przegnał stąd Ropuchowatych? Lubią smród i ciepło, ale nie mogli ścierpieć gazu.

— Całkiem możliwe.

Nie to jednak interesowało mnie obecnie. Chciałem wiedzieć więcej o tych kamieniach. Nie wiedziałem nawet, czy słowo „kamienie” jest tu odpowiednie, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

— Mówisz, że nigdy wcześniej ich nie widziałeś. Czy Valcyr była tu z wami już kiedyś?

— Tak, podróżuje z nami od dawna.

— I nigdy przedtem tak się nie zachowywała? — wskazałem na kocicę, która cały czas leżała, trzymając kamień między przednimi łapami i oblizując go zapamiętane.

Chiswit popatrzył na nią.

— Nie. Co ona właściwie robi? Po co lize to coś...? Pozwoliłeś na to?

Wstał szybko i ruszył w jej kierunku. Zdążył jednak przejść zaledwie dwa-trzy kroki, gdy kocica, nie widząc go, ale wyczuwając niebezpieczeństwo, chwyciła kamień i rzuciła się do ucieczki.

Ruszyliśmy za nią, ale byliśmy bez szans. Zniknęła gdzieś między pobliskimi skałkami. Ukryła się zapewne w jednej ze szczelin, gdzie w spokoju mogła cieszyć się swą zdobyczą. Chiswit spojrzał na mnie z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć, że powinienem wcześniej zabrać jej kamień. Pokazałem mu podrapany palec i opowiedziałem o niepowodzeniu. Był niepokieszony. Szukał zwierzaka wszędzie, nawołując między kamieniami.

Wiedziałem, że kocica nie wyjdzie, dopóki nie nacieszy się swoim znaleziskiem. Niezależność kotów jest przecież znana. Pomagałem mu jednak szukać. Zaglądałem w każdą rozpadlinę i zagłębienie.

W końcu ją znaleźliśmy. Leżała na wąskiej półce, ukryta pod niedużym skalnym nawisem. Futro Valcyr tak doskonale zlewało się z kamiennym tłem, że prawdopodobnie minęlibyśmy ją obaj. Na szczęście dostrzegliśmy ruch jej głowy, gdy zapamiętane oblizywała kamień. Chiswit pochylił się i mówiąc do niej przymilnie, wyciągnął rękę, by ją pochwycić. Valcyr rozplaszczyla się na skale, położyła uszy po sobie, syknęła i głośno przełknęła. Kamień zniknął!

Przecież nie mogła go połknąć! Ten, który wybrała, był największy. Nie przeszedłby przez jej przełyk. Tyle że tak właśnie się stało. Obaj to widzieliśmy. Tymczasem Valcyr wypęzła

ze szczeliny, oblizując się, zupełnie jak po skończonym posiłku. Chiswit wyciągnął ręce, a ona oparła łapy na jego ramieniu i pozwoliła mu się złapać. Gdy ją niósł, mruczała głośno i mrużyła oczy. Nic nie wskazywało na to, by kamień, który połknęła, zaszkodził jej lub zadławił. Chiswit ruszył w stronę statku, a ja dokładnie obejrzałem miejsce, w którym leżała kocica. Wciąż miałem nadzieję, że kamień potoczył się gdzieś i że Valcyr go nie połknęła.

Nic jednak nie znalazłem, chociaż szukałem bardzo dokładnie. Przeczesalem nawet piach, który pokrywał dno zapadliny.

Przejechałem po skale kciukiem i natrafiłem coś mokrego, prawdopodobnie ślinę kocicy. Wyczułem jednak coś jeszcze, coś kłującego, jakby impuls elektryczny przeszył mój palec. W chwilę później, gdy po raz drugi dotknąłem tego samego miejsca, poczułem jedynie szybko parującą wilgoć.

— Widzieliśmy to obaj! Mówię ci. Połknęła kamień, dziwaczny, czarny kamień... — Głos Chiswita gromkim echem odbijał się w korytarzu, gdy zbliżałem się do gabinetu lekarza.

— Pokazywałem ci rentgen, stary. W gardle nic nie ma. Nie mogła połknąć tego kamienia. Pewnie potoczył się gdzieś i...

— Nigdzie się nie potoczył. Sprawdziłem — powiedziałem cicho, stając w drzwiach.

Valcyr siedziała na rękach u lekarza, mruczała ekstatycznie i to chowała, to wysuwała pazurki. Wyglądała na kota zadowolonego zarówno z siebie, jak i z całego świata.

— W takim razie to nie był kamień, tylko coś rozpuszczalnego — zapewnił mnie.

Wyciągnąłem torbę i pokazałem mu kamienie.

— Co to jest? Jedną z takich rzeczy połknęła nad strumieniem, gdzie je znalazłem.

Delikatnie postawił Valcyr na koi i wskazał mi, żebym położył torbę na stole. W świetle lampy powierzchnia kamieni wydawała się jeszcze bardziej chropowata. Wziął do ręki mały przyrząd i próbował zdrapać wierzchnią warstwę z największego kamienia. Jednak ostrze skalpela ześliznęło się po powierzchni.

— Muszę to zbadać dokładniej. — Wpatrywał się w kamień tak samo intensywnie, jak Valcyr nad strumieniem.

— Czemu nie — odparłem. Nie dysponował wprawdzie sprzętem do obróbki kamieni, ale mógł powiedzieć mi coś więcej o ich składzie. Zaintrygował go ten problem i wiedziałem, że będzie pracował, dopóki czegoś nie odkryje. Spojrzałem na kotkę. Kamienie leżały bardzo blisko niej. Czy zainteresuje się kolejnym tak, jak zainteresowała się tym pierwszym? Nie zwracała na nie uwagi. Jej mruczenie powoli cichło. Wydawało się, jakby zasypiała, leżąc na miękkim posłaniu. Ponieważ w laboratorium zrobiło się ciasno, Chiswit i ja wyszliśmy, zostawiając lekarza z jego eksperymentami. Jednak już na korytarzu pomocnik nadzorcy spytał:

— Jak duży był ten kamień, gdy chwyciła go po raz pierwszy?

Odmierzyłem odległość między palcami.

— Wszystkie są okrągłe. Wzięła największy.

— Nie mogła go połknąć. Był dla niej zbyt duży!

— No to co się z nim stało?

Próbowałem przypomnieć sobie ostatnie sekundy, zanim kamień zniknął. Czy był wtedy nadal tak duży, jak mi się zdawało? Może tylko obwąchała największy, a wybrała inny? Nie, za bardzo wierzyłem swoim oczom. Nauczono mnie odróżniać kamienie i ich rozmiary. Uczeń takiego specjalisty jak Vondar potrafił ocenić wielkość kamienia, nie biorąc go nawet do ręki. Co prawda, te kamienie nie były zwyczajne. Nie dało się ich rozkruszyć.

— Zmniejszyła jego obwód, kiedy go oblizywała — mówił dalej Chiswit. — To jakieś nasienie lub utwardzona guma. Lizała to coś, aż się trochę roztopiło.

Brzmiało to całkiem prawdopodobnie, choć mój test kazał mi wykluczyć tę ewentualność. Paradoks — Valcyr połknęła utwardzony kamień, którego połknąć nie była w stanie. Być może lekarz znajdzie jakieś rozwiązanie. Pozostawało tylko czekać.

Następnego dnia kapitan kazał przygotować mały, jednoosobowy statek zwiadowczy o zasięgu wystarczającym na zbadanie okolicy. Moglibyśmy tkwić tu bezproduktywnie całymi miesiącami, a on nie chciał marnować czasu.

Ostrend zajął miejsce za sterami. Nie było go dwa dni. Wieści, które przywiózł, rozczarowały nas. Nie tylko nie spotkał zaprzyjaźnionych tubylców, ale również nie natknął się na żadnych innych mieszkańców planety. Poza tym okolice rzeki wydały mu się nadzwyczaj wymarłe i puste. Spotkał jedynie dwa padlinożerne stworzenia, podobne do tego, które spłoszyliśmy w wiosce. W miejscach, które odwiedził, planeta wydawała się pozbawiona jakichkolwiek wyższych form życia.

Po otrzymaniu tych informacji Wolni Kupcy zwołali naradę, w której nie brałem udziału. Ustalili, że porzucą nad rzeką cały, teraz już bezwartościowy ładunek skorupiaków, na znak dobrej woli, jeśli tubylcy kiedykolwiek tu powrócą. Ponadto zostawią swój porządek, niejako na potwierdzenie wizyty. Zdecydowali też, że zmienią stałą trasę i ominą to miejsce, żeby gdzie indziej pokryć straty wynikłe z międzylądowania na tej planecie.

Dla mnie oznaczało to, jak w skrócie wyjaśnił mi Ostrend, że moja podróż wraz z załogą „Vestris” nieco się przedłuży. Najbliższy port, gdzie mógłbym wysiąść, był docelowym miejscem transportu środków medycznych. Jednak w tej sytuacji lądowanie na nim mogło się sporo opóźnić. W świetle międzygalaktycznego prawa nie wolno im było mnie wysadzić na pierwszej lepszej planecie, jeśli zapłaciłem za przewóz. Musieli znaleźć dla mnie przynajmniej drugorzędny port, z którym utrzymywano stałe połączenie. Jedyne, co pozostało mi teraz, to czekać beczynn timer i niecierpliwie. Wszystko zależało od tego, jak szybko Ostrend znajdzie port, w którym opłacalne będzie lądowanie. Nadzorca przez cały czas kontaktował się z kapitanem. Oglądali zapisane na taśmach raporty handlowe, szukając miejsca, w którym mogliby odzyskać stracone na planecie żab pieniądze.

W zachowaniu Valcyr, przynajmniej z początku, nie było widać nic dziwnego. Medyk nie ustawał w próbach rozwiązania zagadki. W końcu jednak przyszedł do jadalni, wściekły i z

podkrążonymi oczyma. Nalał sobie pół szklanki gorącej wody i rozpuścił w niej kawową pastylkę. Nieobecny wzrokiem wpatrywał się w musujący płyn, jakby dla niego nie była to tylko zwykła kawa.

— Przełom? — spytałem.

Spojrzał na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy.

— Nie wiem. Ale to coś żyje!

— !...

Pokiwał głową.

— Tak... jednak... Odczyt jest bardzo słaby... jakby w stanie hibernacji. Nie mogę otworzyć tej skorupy bez odpowiedniego sprzętu. Ale to, co jest w środku, żyje. Powiem ci coś jeszcze... — przerwał, by połknąć cały napój jednym haustem — Valcyr będzie miała kocięta... albo coś w tym rodzaju...

— Kamień? W jaki...

Wzruszył ramionami.

— A skąd niby mam to wiedzieć? To sprzeczne ze wszystkim, czego mnie nauczono. Zjadła to coś. Obaj widzieliście. A teraz będzie miała kocięta... albo coś w tym guście... I powiem ci coś jeszcze — nalał sobie kolejną szklankę wody. — Spaliłem te kamienie na wiór i to samo powinienem chyba zrobić z kotem...

— Dlaczego?

Tym razem wrzucił dwie pastylki.

— Bo jeśli mam rację, to ona nie nosi w sobie kota, tylko coś, czego nie życzylibyśmy sobie na pokładzie. Będę miał na nią oko. Gdy nadejdzie jej pora... cóż, zrobię to, co uznam za stosowne.

Wychylił całą zawartość szklanki kilkoma łykami, wyszedł z i skierował się w stronę kajuty kapitana.

Jednym z największych niebezpieczeństw dla handlowego statku jest obca i nieskrepowana forma życia na pokładzie. Istnieje mnóstwo przerażających opowieści o pechowych statkach, które przyjęły na swój pokład pasażerów na gapę, a ci zmienili je w krótkim czasie w dryfujące kostnice. Z tego powodu na statkach często trzymano zwierzęta. Poza tym stosowano inne systemy zabezpieczające, takie jak prześwietlanie podejrzanych towarów promieniami neutralizującymi itp. Zdarzało się jednak, że na pokład dostawała się obca forma życia. Jeśli była praktycznie nieszkodliwa, stanowiła pewien kłopot, ale traktowano ją jak nowego, zadziwiającego zwierzaka. Jednak w wielu przypadkach obecność obcego na pokładzie mogła mieć katastrofalne skutki.

Handlarze wykazują z reguły sporą odporność na choroby znane na innych planetach. To cecha nabyta jakby drogą ewolucji. Mimo to często bywają ofiarami ukąszeń lub ataków innych istot żywych.

Valcyr została umieszczona w izolatce. Medyk mówił, że rym razem nie protestowała. Spała prawie przez cały czas, budziła się jedynie w porze posiłków. Dawała się głaskać i wyglądała na zadowoloną i spokojną. Odwiedzaliśmy ją wszyscy i zastanawialiśmy się, co urodzi. Na statku czas płynie różnie, w zależności od planety, na której orbicie się znalazł. Mierzyliśmy czas, dzieląc go na dni i noce jedynie z przyzwyczajenia, odziedziczonego po przodkach. Minęło może około czterech tygodni od naszego lądowania na błotnistej planecie, gdy do pomieszczenia wypoczynkowego wpadł medyk i oznajmił wszystkim, że Valcyr zniknęła. Choć z początku bacznie jej pilnował, kocica potrafiła uspić jego czujność i przestał wierzyć, że spróbuje ucieczki. A jednak spróbowała. Gdy poszedł zanieść jej jedzenie i picie, drzwi izolatki stały otworem, a lokatorka zniknęła.

Na statku nie ma zbyt dużo przestrzeni i można by pomyśleć, że miejsc, w których mógłby schować się kot, jest raczej niewiele. Gdy jednak zaczęliśmy szukać Valcyr, idąc od kabiny sterowniczej w dół do luków bagażowych, a potem, oskarżając się wzajemnie o niedbalstwo, z powrotem tą samą drogą, w parach i nawet trójkami, odnalezienie zguby okazało się bardzo trudne.

Byliśmy na korytarzu przy mesie, gdy Chiswit i Staffin, młodszy inżynier, naskoczyli na medyka, że po prostu pozbył się kotki.

Puściły im nerwy i dopiero gdy usłyszałem ich gniewne słowa skierowane do lekarza, zdałem sobie sprawę, jak bardzo przywiązani byli do tego kota. Medyk zaprzeczył gwałtownie. Twierdził, że jest przygotowany na poród, niezależnie od tego, co urodzi kocica. I napuścił ich na mnie, mówiąc, że to ja pozwoliłem jej połknąć to świństwo i jeszcze sprowadziłem je na pokład.

Nie wiem, co by się stało, gdyby nie kapitan. Zjawił się między nami niczym grom z jasnego nieba i rozpedził nas, wydając szybkie i zdecydowane rozkazy. Mnie odesłał do kabiny, żebym, jak przypuszczałem, swą obecnością nie prowokował innych. Nie miałem zresztą nic przeciwko takiemu obrotowi sprawy, bo poraziła mnie wściekłość w głosach załogantów. Stwierdziłem, że ta nieprzyjemna noc w Koonga z pewnością wyrwie na mnie swoje piętno. Kiedy znalazłem się w swojej kajucie, szybko zamknąłem za sobą drzwi na klucz.

Odwrociłem się w stronę koi i zamarłem. Według medyka, Valcyr zostało jeszcze trochę czasu do porodu. Leżała teraz przede mną na posłaniu. Gdzie była przez cały ten czas? Zaglądałem do tej kajuty dwukrotnie, inni przynajmniej raz, a teraz leżała tu spokojnie, jakby od wielu godzin. I znów lizała coś, co leżało nieruchomo tuż przy niej.

Choć o małych kotach wiedziałem niewiele, miałem pewność, że to, co znajdowało się teraz przy Valcyr, nie było normalnym kotem. Leżało pyskiem do góry, z wyprostowanymi łapami i ogonem. Dostrzegłem, jak bok zwierzęcia unosił się w szybkim oddechu. To coś żyło, choć wyglądało na martwe. Ciało miało czarne i chropowate, podobne do powierzchni

tamtego „kamienia”, i było pokryte siatką żył i ścięgien, które nie poddawały się łatwo pieszczotom Valcyr.

Szyja nieproporcjonalnie długa, głowa płaska o wysuniętej szczęce, zamiast uszu tylko kosmate wypustki. Nogi krótkie, ogon — przeciwnie — długi, brzuch i grzbiet łyse i pokryte ciemną, grubą skórą. Kończyny, teraz zgięte i podkulone pod brzuchem, były nagie, bez śladu sierści, przy czym przednie bardziej przypominały ręce niż łapy.

Nie, to nie było normalne kocię. Jednak czymkolwiek się miało okazać, wyglądało całkiem bezradnie i dyszało ciężko. Valcyr wyglądała na dumną i szczęśliwą mamę. Powinienem natychmiast pójść i zawiadomić medyka. Zamiast tego jednak usiadłem z boku na posłaniu i przyglądałem się, jak Valcyr energicznie myje podrzutka. Nie wiem, czym była istota, którą urodziła, czułem jednak, że warto pozostawić ją przy życiu. Takie było moje pierwsze spotkanie z Eet.

Rozdział piąty

Myśl o wydaniu załodze Valcyr i jej maleństwa sprawiała mi coraz większy ból. W końcu doszedłem do wniosku, że byłaby to swego rodzaju zdrada. Ja, który nigdy wcześniej nie przywiązałem się do żadnego zwierzęcia, czułem, że stało się to teraz. Pytałem sam siebie: dlaczego? i nie potrafiłem udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Jednak fakt pozostawał faktem. Nie byłem w stanie przywołać kogokolwiek, zupełnie jakby ktoś przykuł mnie do posłania i zakneblował mi usta.

Mały stworek poruszył się wreszcie. Obracał głową to w jedną, to w drugą stronę, jakby czegoś szukał. Wciąż był ślepy. Valcyr mruczając, wyciągnęła przednią łapę i przysunęła malucha bliżej siebie. Jednak małe zwierzątko obróciło głowę wyraźnie w moim kierunku. Przez chwilę odniosłem wrażenie, że choć ślepe i bezbronne, doskonale zdawało sobie sprawę z mojej obecności. Nie bało się jednak, tylko chciało wykorzystać fakt, że jestem tutaj. Ta dziwna myśl rozśmieszyła mnie.

Zmieszany, wstałem z posłania i siadłem na stołku przy ścianie, bokiem do kocicy i jej malucha. Próbowałem skupić się na własnych problemach. Musiałem przygotować się na niepewny los, teraz gdy moja podróż na „Vestris” miała się przedłużyć i nie wiadomo było, na jakiej planecie zostaną wysadzeni. Po raz kolejny moja ręka dotknęła pasa z klejnotami, których pozostało już beznadziejnie mało. Na końcu wyczułem pod materiałem kształt kosmicznego pierścienia...

To przez ten klejnot zginął Hywel Jern. Tego byłem tak pewny, jakbym był świadkiem zabójstwa. Czy jednak... nieszczęście na Tanth również zawdzięczaliśmy temu pierścieniowi? Jeśli tak, to dlaczego Vondar zginął, podczas gdy mnie udało się uciec? Może chodziło o nas obu, żeby ten, który przeżyje, nie stawiał potem kłopotliwych pytań? Dlaczego... i kto...?

Ojciec, nawet po przejściu na emeryturę, utrzymywał kontakty z Cechem Złodziei. Każdy, kto należał do tej organizacji, mógł być bardzo poważnym przeciwnikiem. Wydawało mi się, że ojciec do końca robił z Cechem interesy.

Cały czas pocierałem pierścień przez materiał pasa, a myśli w mojej głowie kłębiły się i przeplatały, nie przynosząc żadnego rozwiązania. Nie pamiętam, kiedy zorientowałem się, że w kabinie zrobiło się nadzwyczaj gorąco. Rozpiąłem skafander. Krople potu spływały mi po brodzie i policzkach. Podniosłem rękę, żeby je zetrzeć, i spojrzałem na wierzch dłoni i palce.

Całą powierzchnię dłoni pokrywały purpurowe wypryski, które swędziały jak wypełnione wodą pęcherze.

Próbowałem wstać, lecz szybko zdałem sobie sprawę, że nie kontroluję już swojego ciała. Trząsałem się. Nieznośne ciepło sprzed paru chwil zmieniło się teraz w przeraźliwy chłód. Zemdliło mnie, jednak nie mogłem zwymiotować. Odchyliłem skafander. Pęcherze pokrywały mi także tors i ramiona.

— Ratunku... — Zdołałem to wyjęczeć, czy słowo pojawiło się tylko w mojej głowie? Udało mi się podnieść i zatoczyłem się w kierunku ściany, na której znajdował się głośnik interkomu. Chwiejąc się i zataczając, próbowałem wcisnąć przycisk alarmowy.

Widziałem coraz gorzej. Czułem, jak spowija mnie gęsta mgła, zupełnie jakbym znalazł się z powrotem w świecie gejzerów. Czy dam radę uruchomić alarm? Oparłem głowę o ścianę tak, że mikrofon znajdował się tuż przy moich ustach, i wyszeptałem:

— Ratunku... zaraza...

Straciłem równowagę. Zapominając o leżącej na posłaniu Valcyr, zatoczyłem się w kierunku koi i runąłem na nią jak długi. Łóżko było puste, a ja trzęsąc się, leżałem na nim.

Znow byłam na pokrytej wyziewami, opuszczonej planecie. Dym i para oplatały się wkoło mnie, a ja krzyczałem z bólu. Biegłem w cuchnącym i gęstym błocie. Nie widziałem prześladowców, ale czułem, że ktoś mnie ściga. Gdy opary rozrzedziły się nieco, dostrzegłem ich. Wszyscy uzbrojeni w lasery, o twarzach Velosa, naszego lekarza. Wciąż biegłem, umykałem chwiejnie.

— Zabijają... zabijają... zabijają... — słowa niosły się echem gromu w tym nieprzyjnym świecie. — Zabijają... ciebie... ciebie... ciebie...!

Ponownie leżałem na posłaniu, wstrząsany dreszczami. Mgła zniknęła gdzieś i znowu widziałem wyraźnie. Odzyskałem też pełną władzę nad umysłem. Przy ścianie... za ścianą usłyszałem świszczące szepty. Już wcześniej słyszałem głos ze ściany, z powietrza. To było w sanktuarium na Tanth. Jednak teraz znajdowałem się na statku Wolnych Kupców. Ze wszystkich sił starałem się usłyszeć, o czym mówią.

Uniosłem się w górę, zrzucając okrycie. Byłem nagi, a całe ciało oblepiały purpurowe bąble, które pokryły się już strupami. Obrzydliwość! Przy każdym ruchu czułem silne zawroty głowy, ale jakoś udało mi się dotrzeć do interkomu. Był włączony, a gdzieś na statku ludzie rozmawiali na tyle blisko mikrofonu, że mogłem usłyszeć poszczególne słowa...

— ... niebezpieczne... odizolować... nie możemy go nawet wyrzucić... zabezpieczyć drzwi... lądowanie na księżycu... spalić kabinę...

— ... dowieźć go do...

— Nie ma mowy — pierwszy rozmówca musiał podejść bliżej do interkomu, bo teraz słyszałem go całkiem wyraźnie. — Jest już martwy, prawie martwy. Mamy szczęście, że zaraza się nie rozprzestrzeniła. Trzeba pozbyć się źródła zakażenia, zanim dotrzemy do któregośkolwiek portu. Nie chcesz chyba, by nazwano nas zakażonym statkiem?

— ... odpowiedzialność...

— Oddaj im pieniądze. Pokaż taśmę z kabiny. Jedno spojrzenie przekona ich, że nie było dla niego ratunku. A jeśli ktoś zacznie go szukać... chcesz, by choroba się rozprzestrzeniła?

— ... jakoś ich uspokoić...

— Pokaż im taśmy! — to był medyk, poznałem po głosie. — Nie waż się nawet otworzyć kabiny, dopóki jej nie wypalimy, a i to musimy zrobić w skafandrach. Na niezamieszkanym księżycu, gdzie infekcja nie ma szans na rozwój. Potem gęby na kłódkę. Niewielu będzie o niego pytać. Reszcie trzeba mówić, że został na Tanth i że prawdopodobnie nie żyje. Z czasem wszelkie pytania znikną. Ci na statku zobaczą, że jego podróż już się skończyła. Nie możemy go nigdzie dostarczyć... mamy na statku trupa i zabezpieczoną kabinę... zaraza...

Nie miałem wątpliwości, że mówili o mnie. Pierwsze otepienie minęło i mogłem teraz logicznie myśleć. Velos skazał mnie już na śmierć, jednak ja nie czułem się jak umarłak. I wcale nie miałem zamiaru skończyć tak, jak chcieli tego obaj rozmówcy. Jeśli Velos postawiłby na swoim, drzwi mojej kabiny zaspawanoby i zabezpieczono, żeby uniknąć zakażenia innych. Odciętoby również wentylację i wszelkie inne połączenia z kabiną. Czekala mnie wtedy długa i powolna śmierć. Oficjalnie powie się, że nie opuściłem Tanth. Dlaczego wcześniej nie nabrałem żadnych podejrzeń? Nie musieli dowieźć mnie w żadne określone miejsce. Nie budziło też moich wątpliwości, komu zostaną dostarczony, zupełnie jakbym był paczką lub partią towaru.

W jaki sposób zatem mogłem się stąd wydostać?

— Na zewnątrz...

Zbyt gwałtownie obróciłem głowę i zawirowania powróciły. Musiałem przytrzymać się ramy łóżka. Zobaczyłem coś ciemnego. Poruszyło się. Wpatrywałem się w to coś ogłupiałym wzrokiem, dopóki nie zorientowałem się, co to jest.

Stworzenie, które ostatni raz widziałem przy Valcyr, kuliło się przy mojej poduszce. Było teraz dwa razy większe niż w chwili urodzenia. Nie było już ślepe. Wpatrywało się we mnie intensywnie. Widząc, że i ja na nie patrzę, uniosło głowę. Szyja, nadzwyczaj długa, wygięła się jak u gadów.

— Na zewnątrz — znów słowa te zadźwięczały mi w głowie. Mogłem skojarzyć je jedynie z tym zwierzęciem. Byłem wciąż tak oszołomiony, że nawet mnie to nie zdziwiło.

— Na zewnątrz, ale dokąd? — szepnąłem, po czym obróciłem się, żeby wyłączyć interkom. Nie chciałem, aby ktokolwiek odkrył to, co ja właśnie odkryłem.

— Bardzo mądrze... Na zewnątrz, poza statek... — odparło to coś, schowane częściowo za pogniecioną poduszką.

— To przecież kosmos... — prowadziłem dalej tę rozmowę, choć byłem przekonany, że jest ona tylko wytworem rozgrzającego umysłu. A może rozmowa, którą słyszałem przez interkom, też w ogóle nie miała miejsca...

— Nieprawda. Dobrze słyszałeś... Zabiją cię... Czuję ich strach... to smród strachu... czuć go na całym statku... — Zwierzę uniosło głowę i zobaczyłem delikatny ruch jego nozdrzy, jakby naprawdę wywęszyło coś w powietrzu. — Na zewnątrz... szybko... zanim zabezpieczą drzwi... Weź skafander...

Wyjść w przestrzeń tylko w kombinezonie? Uduśliłbym się po wyczerpaniu zapasów tlenu w skafandrze. To było jedynie pozorne przedłużanie sobie życia.

— Będą szukać... nie znajdą... wrócimy... ukryjemy się... — nalegał mój dziwny współlokator.

To był szalony i nierealny plan, dający bardzo małą szansę. Jednak instynkt przeżycia okazał się silniejszy i skłonny byłem teraz podjąć ryzyko. Moja kabina znajdowała się dość blisko wjazdu wyjściowego i pomieszczenia ze skafandrami. Jednak otwarcie składu kombinezonów zostanie natychmiast dostrzeżone na mostku. A jeśli statek wchodzi w nadprędkość...?

— Nie — przerwał mi mój kompan. — Nie czujesz...?

Miał rację. Nie słyszałem odgłosu silników ani charakterystycznego szumu. Moje ciało odbierało tylko nieznaczne wibracje, jak podczas normalnego lotu.

— Szukają... księżyc... martwy świat... by ukryć zarazę... albo spotkać innych.

Otworzyłem szafkę, wyjąłem ubranie i szybko nałożyłem na siebie. Za każdym razem, gdy materiał stykał się z pęcherzami na mojej skórze, czułem swędzenie. W obliczu poważniejszego zagrożenia nie był to jednak duży problem. Gdy zapiąłem ostami suwak, zwierzak podniósł się z posłania, otrząsnął się i skoczył. Wylądował na wąskiej półce, na wysokości moich ramion. Cofnąłem się i zaskoczony, zamrugałem oczami.

Teraz, gdy był bliżej, mogłem przyjrzeć mu się dokładniej. Rzeczywiście, stanowił przedziwną mieszankę. Sierść miał szorstką i poplątaną, a łapy, szare z domieszką bieli na wewnętrznej stronie, były całkiem gołe. Przednia para bardziej przypominała ręce niż kończyny zwierzęcia. Ogólnie głowa i reszta tułowia przypominała kota, miał jednak, w stosunku do ciała, zbyt krótkie nogi. Nad górną wargą wznosiły się sztywne wąsy, jak u normalnego kota, ale uszy miał o wiele niniejsze. Za to oczy zdawały się o wiele za duże. Nie było widać źrenic, a gałki oczne przypominały ciemne, wystające kule.

Równie dziwaczny był ogon. Przypominał swym kształtem pejcz. Wierzchnią jego część pokrywały włosy, spód i czubek były kompletnie łyse. I choć ogólnie stwór ten sprawiał raczej dziwne wrażenie, jego wygląd nie budził odrazy, lecz tylko zdziwienie.

Wszedł mi na ramiona i owinął się dookoła szyi. Przednie łapy wczepił w moje prawe ramię, a tylnymi chwycił się materiału nad lewym.

— Ruszaj... idą tu.

Zabrzmiało to jak rozkaz, który posłusznie wypełniłem. Zanim jednak opuściliśmy cabinę, wydał mi jeszcze jedno polecenie.

— Kanał wentylacyjny... przeszukaj...

Łatwo zdjąłem osłonę. Byłem tak zaskoczony, że posłusznie wykonywałem wszystkie instrukcje. Wewnątrz znalazłem mój pas. Odruchowo przeszukałem go, stwierdzając z zadowoleniem, że moje skromne zapasy nie zmieniły właściciela.

— Szybko! — ukłął mnie mocno tylną łapą.

Uchyliłem drzwi kabiny. Rzut oka na korytarz. Był pusty. Słyszałem jednak odgłos kroków gdzieś niedaleko. Ruszyłem w kierunku pomieszczenia ze skafandrami. W końcu cień szansy jest zawsze lepszy niż jej całkowity brak!

Cały czas wydawało mi się, jakbym poruszał się w półśnie. W dalszym ciągu nawet przez chwilę nie poddałem w wątpliwość pomysłu wydostania się ze statku. W ogóle nie oceniałem naszych szans.

Odzyskiwałem jednak siły i im dłużej szedłem, tym mniej kręciło mi się w głowie. Cieszyłem się, że rozczaruję Velosa, który spisał mnie już na straty.

Naparłem na wąż od schowka ze skafandrami. Ustąpił. Zamknąłem go od środka. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że mam szczęście. Załoga „Vestris” przestrzegała regulaminu obowiązującego statki badawcze. Wolni Kupcy byli właściwie badaczami — odkrywali nieznane dotąd światy.

Po drugiej stronie pomieszczenia zobaczyłem drzwi prowadzące prosto do wjazdu wyjściowego. Oszczędzało to czas tym, którzy musieli zakładać lub zdejmować skafandry przy wychodzeniu i powrotach na statek. Przejrzałem wiszące w rzędzie kombinezony, żeby znaleźć odpowiedni rozmiar. Nie chodziło bynajmniej o wygodę, ale o użyteczność. Wolni Kupcy to ludzie raczej krępej budowy. Gdyby nie mój niezbyt duży wzrost i szczupła sylwetka, mógłbym nie zmieścić się w żadnym z tych skafandrów. Znalazłem jeden, w który udało mi się wcisnąć, choć pasa nie zdołałem już zapiąć. Zawsze jednak mogłem wymyślić dla niego inne miejsce.

Gdy weszliśmy do schowka, mój dziwny towarzysz zeskoczył na ziemię, podbiegł przez całe pomieszczenie wprost do pudełka o przezroczystych ściankach i usiadł przed nim na tylnych łapach. Przednimi obmacał jedną ze ścianek i nagle przód odskoczył. Eet wszedł do środka i zwinął się w kłębek. Patrzyłem na niego zaskoczony.

— Zamknij! — rzucona rozkazującym tonem komenda kazała mi przykucnąć. Kombinezon krępował ruchy.

Nie miałem pojęcia, czym właściwie było to pudełko. Ściany wykonano z metalu, który miał chronić zawartość, ale jednocześnie pozwalał patrzącemu z zewnątrz zobaczyć wyraźnie, co znajdowało się w środku. Z tyłu zamontowano haki, na których można było je powiesić. Przymuszczałnie w takich pudełkach transportowano okazy złapane na innych, nowo odkrytych planetach.

— Zamknij!... Szybko... idą tu! Mnie też masz zabrać!

Świejące oczy spojrzały na mnie sugestywnie. Tak, czułem siłę jego woli i po raz kolejny nie sprzeciwiłem się.

Nie mogłem przypiąć mojego pasa do kombinezonu. Pospiesznie przesypałem jego zawartość do worka przypiętego do skafandra. Zostawiłem tylko pierścień. Pomyślałem, że skoro już wcześniej noszono go na rękawicy kombinezonu, można to powtórzyć. Pasował bardzo dobrze.

Poprzypinałem prędko resztę ekwipunku, prawie nieświadomy samobójczej istoty naszego planu. Ale nie ulegało żadnej wątpliwości, że gdybym pokazał się teraz gdziekolwiek na statku, na pewno spalono by mnie bez litości. Tak ogromny był strach przed zarazą. Trzymając pod pachą pudło z moim samozwańczym kompanem, wszedłem do śluz. Opuszczenie przeze mnie statku wywoła alarm. Czy uwierzą jednak od razu, że ich zwierzyna obierze taką drogę ucieczki? Velos twierdził, że jestem półprzytomny jak w śpiączce. Miałem nadzieję, że będą trzymać się tej wersji.

Drzwi śluzy same zasunęły się za mną. Upewniłem się jednak, że są zamknięte. Dlaczego nie miałbym przeczekać tutaj? Nie, choćby dlatego, że zamontowano tu czujniki, a drzwi cały czas można było otworzyć z korytarza, wystarczyło tylko rozsunać je i wypalić dziurę w moim kombinezonie, a potem wyrzucić mnie w próżnię. Szybka i czysta śmierć, bez groźby zarażenia moich oprawców.

Nawet myśląc o tym, nie przestałem majstrować przy mechanizmie otwierającym zewnętrzny wąż, zupełnie jakby moje ręce kontrolował kto inny, a nie moja głowa. Zapaliło się światło ostrzegawcze i poczułem silny prąd powietrza. Wszedłem ze statku i ruszyłem po jego zewnętrznej powłoce. Trzymały mnie na niej magnetyczne podeszwy moich butów.

Nie był to mój pierwszy spacer. Zawsze jednak uczestniczyłem w czymś takim jako pasażer. Miałem teraz tyle oleju w głowie, by patrzeć na statek, a nie na nieskończoną pustkę, w którą leciał. Przypiąłem pudło do uprząży skafandra za pomocą linki. Latało teraz luzem, ciągnąc mnie za sobą, za słabo jednak, by oderwać nas od statku.

Bąłem się, że stracę przyczepność i dlatego nie szedłem normalnie, lecz powłóczyłem nogami. Powoli oddalałem się od wyjścia.

Pomyślałem, że już za chwilę będę miał na karku kogoś z załogi i szaleństwo mojego planu uderzyło mnie z całą wyrazistością. Senna aura, która otaczała mnie od momentu, gdy to dziwne stworzenie wtłoczyło w moją głowę swą pierwszą myśl, teraz rozwiała się.

Jeśli wszystko to nie było jedynie moim urojeniem, ten dziwny stwór kontaktował się ze mną telepatycznie, wysyłając mi rozmaite rozkazy i podpowiedzi. Takie zdolności nie powinny śmieszyć nikogo. Mówiono, że istnieją, ale występują bardzo rzadko i niespodziewanie. Nigdy wcześniej się z nimi nie spotkałem i nie przypuszczałem, żebym miał jakiś „ukryty talent”.

— Rusz się! — Zabrzmiało to równie ostro, jak pierwsza komenda, którą mi wydał. — W stronę dziobu...

Po raz pierwszy sprzeciwiłem się. Prawdę mówiąc, po prostu nie mogłem ruszyć się z miejsca. Ogarnęło mnie przerażenie, od którego można postradać zmysły. Straciłem gdzieś zdrowy rozsądek i ogłupiały, wpatrywałem się w pustkę ponad nami.

Słowa huczały w mojej głowie, ale nie byłem w stanie ich zrozumieć. Nie widziałem i nie czułem nic oprócz tej pustki. Coś szarpnęło i pociągnęło uprząż przy skafandrze. To mój towarzysz gniewnie szarpał się w pojemniku. Widziałem, jak otwierał i zamykał pysk, a oczy nie świeciły już łagodnie, lecz pobłyskiwały dziko i wściekle. Obserwowałem go obojętnie, strach przed wieczną próżnią trzymał mnie w miejscu.

Gdy przypatrywałem się gestom wściekłości mego towarzysza, kątem oka dostrzegłem, że ktoś zamknął właz od środka. Zdaje się, że krzyknąłem wewnątrz hełmu. Ogłuszyło mnie to. Zamknięto mnie tu, sam na sam z nicością!

Czy mi wtedy odbiło? Teraz jestem pewien, że tak. Chciałem dostać się do drzwi, musiałem... Nie pamiętam... Czy to ja sam odbiłem się od statku? Co dokładnie wydarzyło się w momencie skrajnej paniki? Nigdy sobie tego nie przypomniałem. Pamiętam tylko, że nie czułem już pod stopami twardej powierzchni. Statek oddalał się, a ja bez żadnej nadziei na ratunek odlatywałem w wieczny mrok.

Zdaje się, że zemdlałem. Nie potrafię przypomnieć sobie wszystkiego. Świadomość wróciła mi, gdy poczułem, że coś mnie ściągało. Przez krótką chwilę poczułem w sercu ulgę. Ściągnęli mnie za pomocą lin. Wracalem na „Vestris”. Nawet jeśli oznaczało to pewną śmierć, nie dbałem o to. Szybka śmierć zawsze była lepsza od powolnego konania gdzieś w próżni.

Poczułem ból, który z każdą chwilą narastał. Moje lewe ramię było wyprostowane, jakbym wskazywał jakiś niewidzialny cel prze sobą. Na rękawicy płonęło światło i pulsowało, jakby energia przepływała falami. Podążałem za swoją ręką jak nurek, który przesuwają się za tnącymi wodę ramionami. Czułem silne przyciąganie, jak gdyby moja ręka służyła jako lina do cumowania.

Nie tylko nie mogłem poruszyć tym ramieniem. W ogóle i władzę nad własnym ciałem. Zastygłem w tej pozycji niczym ludzka strzała, zmierzająca do nieznanego mi celu. Płynąłem tak przez pustkę, podążając za światłem mojej rękawicy. Rękawicy? Nie, to żarzył się pierścień!

Płonał teraz jasnym światłem, ciągnąc mnie za sobą. Nieznacznie przekrzywiłem głowę, żeby zobaczyć, czy cały czas ciągnę za sobą przezroczysty pojemnik z włochatym pasażerem w środku. Mój dziwny towarzysz zwinięty był w kłębek. Jego ciało bezwładnie objęło się o ściany pudełka. Pomyślałem, że nie żyje.

Nie miałem pojęcia, gdzie była teraz „Vestris”. Przemieszczałem się dość szybko. Nie mogłem obrócić głowy i zobaczyć, co znajduje się za, nad i pode mną.

Czas nie miał tu żadnego znaczenia. Raz po raz traciłem, to znów odzyskiwałem, świadomość. Stopniowo jednak zdałem sobie sprawę, że zbliżałem się do jakiegoś celu.

Dostrzegłem zarys czegoś, co kiedyś mogło być statkiem. Dookoła jego dryfującej masy krążyły, niczym satelity wokół planety, porozrzucane w próżni szczątki. Pierścień ciągnął mnie w sam ich środek. Wiedziałem, że przy pierwszym zetknięciu przetną mnie na pół niczym promień lasera.

Próbowałem uwolnić się spod wpływu pierścienia, jednak okazałem się zbyt słaby. Ramię zdrętwiało mi. Nie byłem już człowiekiem, lecz narzędziem w rękach klejnotu, który użył mnie, aby osiągnąć swój nieokreślony cel.

Wewnątrz skafandra moje ciało kurczyło się i drżało. Przerażony zamknąłem oczy. Bałem się spojrzeć na to, co mnie czekało. Jednak instynkt przeżycia kazał mi je otworzyć. Zbliżaliśmy się do zewnętrznego pierścienia szczątków statku i wydawało mi się, że w jego poszyciu dostrzegłem wyłom lub otwór włazu.

Niczego jednak nie mogłem być pewny, bo widok zasłaniał mi krążący wokół złom. Statek musiał być zapewne większy od „Vestris”, może był to liniowiec pasażerski. Kształtem nie przypominał żadnego ze znanych mi statków. Wlecieliśmy między odpadki.

Czekałem na pierwsze zderzenie z kawałkami ostrego metalu. Zauważyłem jednak, że rozstępowały się przed światłem pierścienia, które zdawało się wycinać między nimi drogę. Nie wierząc własnym oczom, obserwowałem to przedziwne zjawisko. To była prawda. Ogromna bryła metalu tuż przed nami zatrzęsała się i odpłynęła leniwie na bok.

Zbliżaliśmy się do ciemnego wejścia. Teraz miałem już pewność, że był to właz, choć nigdzie nie dostrzegałem drzwi. Jednak kształty tego otworu były zbyt regularne jak na przypadkowo zrobiony wyłom. Pierścień wciągnął mnie do środka, rozświetlając swym promieniem wnętrze statku. Nagle mój świetlisty przewodnik uderzył w twardą, metalową powierzchnię. Dobijał się, wbrew mojej woli, do drzwi wewnętrznego włazu, jakby domagając się wstępu na pokład tego już od dawna martwego statku. W końcu dudnienie ustało i moja ręka, niczym przykuta do metalowych drzwi, zastygła w bezruchu. Dzięki magnetycznym podeszwom butów udało mi się w końcu stanąć. Znowu czułem pod stopami twardy grunt.

Rozdział szósty

Gdy z odwiecznej pustki udało mi się powrócić do zamkniętej przestrzeni, przez moment doznałem ulgi. W chwilę później jednak zdałem sobie sprawę, że znajduję się w kolejnej pułapce, co momentalnie zburzyło we mnie i tak chwiejne poczucie bezpieczeństwa. Moja ręka wciąż przytwierdzona była do drzwi i za nic nie mogłem jej uwolnić. Czułem coraz silniejsze przyciąganie, które przyciskało mnie do metalowej powierzchni, zupełnie jakby jakaś siła chciała mnie przepchnąć przez nadszarpięte zębem czasu drzwi. Przeraziła mnie myśl, że zostanę tutaj na wieki.

Blask pierścienia nieco osłabł. W zamkniętej przestrzeni jego światło z pewnością oślepiłoby, gdyby paliło się równie intensywnie jak poza statkiem. Teraz jedynie pobłyskiwało. Próbowałem oderwać się od drzwi, ale w końcu dałem za wygraną, wyczerpany i z ramieniem wciąż uwięzionym przy drzwiach.

Kiedy tak stałem i przyglądałem się swojej ręce, drzwiom i światłu, zdałem sobie sprawę z czegoś, czego wcześniej nie dostrzegłem. Błyski świetlne, które emitował pierścień, nie były przypadkowe, ale jakby działały według jakiegoś kodu. Światło, ciemność, światło, ciemność. Przerwy między kolejnymi błyskami miały różną długość. Przez skafander nie czułem oczywiście nic, ale w miejscu, gdzie moja dłoń stykała się z metalową powierzchnią drzwi, zauważyłem rozszerzającą się czerwoną plamę. Teraz, nawet przez ochronną warstwę rękawicy, czułem gromadzącą się tam energię.

Po raz kolejny poczułem się jak narzędzie, którego pierścień używał do swych celów: to ja należałem do niego, a nie na odwrót. Gorąco powoli stawało się nie do wytrzymania. Dręczył mnie potworny ból, jednak nic nie mogłem zrobić. Czerwony ślad na drzwiach rozjarzył się i w końcu dostrzegłem na metalowej powierzchni drobne pęknięcia. W końcu drzwi ustąpiły, a ja zostałem wciągnięty do środka. Nie miałem zbyt wiele czasu, by przyjrzeć się korytarzom. Pierścień ciągnął mnie za sobą o wiele szybciej niż poprzednio, zupełnie jakby chciał nadrobić stracony przy drzwiach czas. Dwukrotnie przeciągnął mnie przez wyłomy w metalowych ścianach.

Podróż zakończyliśmy w miejscu, gdzie pełno było jakichś maszyn, a przynajmniej wydawało mi się, że były to maszyny. Ta część statku nie została naruszona przez kataklizm, który pozbawił go życia. Pierścień przeprowadził mnie przez labirynt przewodów, cylindrów, kabli i rur. Dotarliśmy w końcu do pudła, wewnątrz którego dostrzegłem tacę. Leżały na niej

ciemne bryłki. W ostatnim podrygu pierścień przyciągnął moją dłoń do ścianki pudła. Ścianka zapaliła się jasnym oślepiającym światłem. Jedna z bryłek odpowiedziała mu słabym migotaniem, które po chwili ustało. Zgasło również światło pierścienia, a moja ręka opadła bezwładnie wzdłuż ciała. Byłem sam we wnętrzu od dawna już martwego statku.

Straciłem równowagę i unosiłem się teraz w pozycji leżącej. Pojemnik, w którym podróżował mój towarzysz, uderzył we mnie. Zastanawiałem się, ile tlenu zostało mi jeszcze w zbiorniku i doszedłem do wniosku, że nie wystarczy go na długo. Pierścień z pewnością przywiódł mnie tu, żebym umarł we wnętrzu tego metalowego grobowca, a nie w przestrzeni, gdzie dryfowałbym przez wieczność.

Od wieków moi przodkowie odczuwali lęk przez ciemnością i tym, co mogła w sobie kryć. Lewą ręką namacałem przycisk na uprząży kombinezonu. Pomieszczenie rozjaśnił wąski strumień światła, który ogarnął leżące na tacy bryłki, być może kiedyś kamienie podobne do tego z pierścienia. Nie liczyłem oczywiście, że znajdę jakieś pomieszczenie z zapasem tlenu czy też coś, dzięki czemu będę mógł się stąd wydostać. Nie miałem jednak zamiaru trwać bezczynnie w miejscu i czekać, aż skończy mi się powietrze i zacznę się dusić.

Moje prawe ramię było wciąż bezużyteczne. Lewą ręką ułożyłem je w poprzek torsu, mocując na uprząży skafandra. Pozostawało mi teraz odciąć pojemnik z nieżywym kompanem. Jednak gdy spojrzałem w dół, ku memu ogromnemu zdziwieniu, zwierzak poruszył głową i dostrzegłem wzmagający się blask jego oczu. On też przeżył podróż do tego wraku!

Magnetyczne podeszwy pozwoliły mi stąpać w miarę swobodnie po pokładzie, choć powierzchnia, po której szedłem, mogła być ścianą lub sufitem. Statek powoli i miarowo obracał się wokół własnej osi. W końcu odbiłem się od podłoża i ruszyłem, przytrzymując się rękami.

Wszystkie znane mi statki wyposażone były w kapsuły ratunkowe. Znajdował się w nich system nawigacyjny, który po odpaleniu automatycznie wyszukiwał najbliższe znajdujące się ciało niebieskie lub planetę i kierował tam kapsułę. Zawsze istniało jednak ryzyko, że wyląduje ona w świecie całkowicie nieprzyjaznym człowiekowi. Możliwe, że i ten statek wyposażony był w podobne urządzenia które chroniłyby załogę i pasażerów w razie wypadku. Gdyby udało mi się znaleźć jedno z nich, miałem cież szansę na wydostanie się stąd. Ale mogło być i tak, że wszystkie kapsuły odpalono po katastrofie, która spotkała statek.

W ludzkiej naturze leży jednak chęć walki o przetrwanie, walki do samego końca. Wrodzony instynkt przeżycia popchnął mnie teraz do działania.

Pierścień, jak przypuszczałem, przywiódł mnie do maszynowni. Cokolwiek dawało mu moc w przestrzeni i przyciągnęło do pojemnika ze spalonymi bryłkami, mogło stanowić kiedyś siłę napędową statku.

Wydostałem się z maszynowni. Kapsuły, jak mi się wydawało, powinny mieć własny napęd. Jeśli ten statek przypominał konstrukcją inne, które znałem, to kapsuły znajdowały się prawdopodobnie kilka poziomów pode mną, bliżej kajut załogi i pasażerów.

Nie znalazłem żadnych schodów ani drabinek. Były za to głębokie studnie i tunele — znak, że nigdy nie gościli tu ludzie. Na skraju drugiej studni zawahałem się. Nigdzie nie było widać uchwytów na ręce, a statek nieustannie się obracał. Bałem się, że zostanę uwięziony w jednym z przejść i będę bezradnie dryfował. W końcu zdecydowałem się pójść po jednej ze ścian. Czułem obroty statku i znów zakręciło mi się w głowie.

Na piętrze poniżej odkryłem rząd kabin. Wszystkie drzwi były pootwierane, więc zajrzałem do kilku z nich. Wewnątrz zobaczyłem wąskie i krótkie półki, prawdopodobnie posłania. Domyśliłem się, że tę część statku zajmowała załoga, bo każde pomieszczenie wyglądało podobnie.

Zszedłem o poziom niżej. Tu i ówdzie na podłodze leżały dywany, a pomieszczenia były większe od tych na górze. Na ścianie dostrzegłem ogromne, kolorowe obrazy przedstawiające dziwnie chaotyczne i pogmatwane postacie i figury. Kolory były tak jaskrawe, że odwróciłem wzrok. To musiała być część pasażerska i jeśli gdzieś znajdowało się wejście do komory kapsuł, to właśnie tutaj.

Pod ścianą, w korytarzu, coś unosiło się powoli w moim kierunku, jakby się czając. Odrąciłem to z obrzydzeniem. Nie miałem ochoty przyglądać się temu bliżej. Prawdopodobnie był to członek załogi, może pasażer, który nie zdążył schronić się w kapsule ratunkowej. Odepchnięty, popłynął teraz w powietrzu wzdłuż korytarza.

Już zaczynałem tracić nadzieję, gdy natknąłem się na pierwszy właz, za którym powinna znajdować się kapsuła. Ktoś jednak musiał dotrzeć tu i odpalić ją, a to oznaczało, że komuś udało się stąd uciec. Moje gasnące nadzieje odżyły.

Spojrzałem na wskaźnik powietrza. Strzałka opadła już prawie poniżej rezerwy. Szybko podniosłem wzrok. Lepiej nie wiedzieć, ile czasu mi zostało. Jeśli nawet uda mi się znaleźć sprawną kapsułę i jeśli dam radę ją uruchomić, to ile zajmie mi lot na najbliższą planetę? Jeśli, jeśli, jeśli...

Nagle odrętwiałe dotąd ramię wygięło się i napięło trzymające je rzemienie. Spojrzałem w dół. Pierścień znów się uaktywnił. Być może wykrył gdzieś źródło energii podobne do tego w maszynowni.

Szarpnęło mną nieźle, ale ręka wciąż zaplątana była w uprząż. Mimo to pierścień przeciągnął mnie przez korytarz. Minałem dwa kolejne kapsułowe luki. Potem znów nastąpiło gwałtowne szarpnięcie i ukazał się trzeci właz. Statek się obrócił i wejście do luku znalazło się teraz pode mną. Drzwi były zamknięte, zupełnie jakby nikt tu nie dotarł.

Po raz kolejny pierścień przyciągnął mnie do drzwi i zaczął się nagrzewać. Jednak właz otworzył się automatycznie i wewnątrz zobaczyłem kapsułę ratunkową. Moje ramię znów

opadło bezwładnie. Dostałem się do środka łodzi ratunkowej i wciągnąłem za sobą pojemnik z Eetem.

Zobaczyłem światło na panelu sterowania i siedzenia podobne do hamaków, jedno na tyle duże, żebym mógł na nim przycupnąć. Czulem, jak mała kabina kapsuły drgała. Jej napęd był wciąż na tyle silny, aby wystrzelić ją w przestrzeń. Siła wyrzutu wcisnęła mnie w podłogę. Straciłem przytomność.

— Powietrze...

Rozejrzałem się dookoła nieprzytomnie. Lampka kombinezonu wciąż się paliła. Jej światło odbijało się od półokrągłej ściany i oślepiało mnie. Nagle zdałem sobie sprawę, że oddycham konwulsyjnie i krztuszę się. Powietrze, które wciągałem do płuc, miało nieprzyjemny zapach. Podrażniało mi nos i gardło. Na ramieniu poczułem włochaty ciężar. Zobaczyłem tuż przed sobą wąsy, pysk i żarzące się oczy, które wpatrywały się we mnie intensywnie.

— To powietrze — powiedziałem gorączkowo. Coraz bardziej przypominało to koszmary sen. Całkiem prawdopodobny, jak zwykle koszmara, ale trudny do uwierzenia. Leżałem wciśnięty w fotel podobny do hamaka, gwałtownie wdychając cuchnące powietrze.

Obróciłem nieznacznie głowę i spojrzałem na panel kontrolny. Większość lampek zgasła. Paliły się tylko trzy. Na środku jedna jasnożółta, powyżej — dwie inne, czerwona i niebieska. Spojrzałem na swoją rękę. Wciąż była odrętwiała, a kamień pierścienia cały czas żarzył się bladawym światłem.

Przynajmniej nie zginąłem. Uwolniłem się też z martwego statku-pułapki i na razie miałem czym oddychać, choć powietrze było tutaj raczej wstrętne. Wyglądało na to, że moje wejście do kapsuły uruchomiło stary system automatycznego odpalania.

Jeśli lecieliśmy do najbliższej planety, ciekaw byłem, jak długo potrwa ta podróż. I jakie będziemy mieli lądowanie. Powietrze to nie wszystko. Potrzebowałem żywności i wody. Niewykluczone, że na pokładzie kapsuły znajdowały się niewielkie zapasy jedzenia. I tak nie wiedziałbym jednak, czy nadawały się jeszcze do spożycia i czy w ogóle były jadalne.

Pomagając sobie zębami, zdjąłem rękawicę z lewej ręki i przeszukałem uprząż dołączoną do kombinezonu. Skafandry przystosowano do użytku zarówno po lądowaniu, jak i w czasie napraw w kosmosie. Z pewnością umieszczono w nich jakieś racje żywnościowe. Wśród rozmaitych przedmiotów znalazłem zaplombowaną torebkę. Otwarcie jej zajęło mi chwilę czasu.

Wcześniej nie czułem głodu. Teraz to uczucie niemal mnie pożerało. Podniosłem tubkę na wysokość oczu. Głód dodał mi sił. Wsadziłem koniec tubki między zęby i przegryzłem opakowanie. Zawartość pojemnika rozpląnęła mi się w ustach. Łykałem ją chciwie. Wypiłem już prawie wszystko, gdy drobny ruch tuż koło mnie przypomniał mi, że nie jestem sam.

Niechętnie odjąłem tubkę od ust i wycisnąłem resztkę płynu wprost do pyska mego włochatego towarzysza. Złapał końcówkę tuby z taką samą zaciętością, jak ja poprzednio, i chciwie sączył jej zawartość.

W kieszeni skafandra znalazłem jeszcze trzy podobne tubki. Każda z nich zawierała dzienną rację żywności. W trudnych warunkach można było rozłożyć to sobie na kilka dni. A co potem?

Leżałem spokojnie i czekałem, aż po wrócą mi siły. Ręka ciążyła i czułem mrowienie. Prawdopodobnie wracało krążenie, którego pierwszym objawem były bolesne skurcze. Zmusiłem się i zgąłem palce wewnątrz rękawicy. Zacisnąłem z bólu zęby i spróbowałem unieść i opuścić ramię.

Po jakimś czasie odzyskałem czucie i kontrolę nad całą ręką. Usiadłem i rozejrzałem się po wnętrzu kapsuły. Oprócz mojego posłania, które znajdowało się po prawej stronie od wejścia, dostrzegłem jeszcze pięć innych, rozmieszczonych po obu stronach małego statku. Wszystkie, łącznie z moim, znajdowały się na wyciągnięcie ręki. Podobnie skonstruowane były inne kapsuły, które widziałem wcześniej. Ich kurs wyznaczono automatycznie i nie wymagał żadnej ingerencji ze strony pasażerów, którzy mogli być na przykład zbyt słabi lub ranni.

Posłań w kapsule, podobnie jak tych na statku, nie zbudowano z myślą o ludziach. Również powietrze, drażniące mnie przez cały czas, było jakieś inne. Zacząłem się zastanawiać, czy nie ma w nim jakiegoś trującego składnika, który z czasem mógł mnie zabić. Tak czy owak, nie miałem na to teraz żadnego wpływu.

Na ścianie dostrzegłem coś, co mogło być szafką lub zamykaną wnęką. Może jest tam jeszcze trochę jedzenia... Wciąż czułem się trochę otepiały i wszystko wydawało się takie dalekie i nieistotne. Przyjrzałem się swojej ręce. Strupy i pęcherze pozdzierały się pod rękawicą. Zastąpiła je świeża i różowawa skóra.

Włochaty kształt znowu się poruszył i poczułem delikatne drapanie na szyi. Mój koci towarzysz przeszedł po mnie i wspiął się na tylnych łapach, by wskoczyć na następne posłanie.

Posłużyło mu jako drabina. Sprawnie wspiął się po nim na górę i przysiadł przy jednej z szafek. Trzymając się trzema łapkami posłania, czwartą próbował otworzyć drzwiczki. Odskoczyły tak gwałtownie, że aż przykucnął i przywarł do podłoża.

Wewnątrz, na stojaku, znajdowały się dwie tuby. W każdej było coś przypominającego laser. Wyglądało to na rodzaj broni lub jakiegoś narzędzia. Kot zostawił drzwi szafki otwarte i metodycznie zabrał się do otwarcia następnej. Przyglądałem się temu zdziwiony.

Choć mogliśmy się porozumiewać, cały czas myślałem o nim jak o zwierzęciu. Nadal pozostawał dzieckiem Valcyr, choć jego poczęcie było raczej niezwykle. Słyszałem o zmutowanych zwierzętach, które mogły komunikować się z ludźmi. Teraz jednak zrozumiałem, że do tej pory nie doceniałem jego inteligencji. Mój głos zabrzmiał donośnie w małej kabinie:

— Kim ty właściwie jesteś?

Choć może bardziej wypadało zapytać: „Czym właściwie jesteś?”

Zatrzymał się z uniesioną w górę łapą i przekreślił szyję, aby spojrzeć prosto na mnie. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że nie mam hełmu. Nie pamiętałem, żebym go zdejmował, więc...

— Eet.

Zabrzmiało to jakoś dziwnie, jeśli w ogóle słowo przekazane bezpośrednio do czyjegós umysłu może brzmieć dziwnie.

— Eet — powtórzyłem na głos. — Czy Eet to twoje imię, jak Murdoc, czy też Eet oznacza dla ciebie to samo, co dla mnie słowo „człowiek”?

— Jestem Eet jako taki, ja... — Nawet jeśli zrozumiał treść mojego pytania, niewiele go ono obchodziło. — Jestem Eet. Wróciłem...

— Wróciłeś... jak? Skąd?

Stwór przysiadł na posłaniu, które zatrzęsło się pod jego niewielkim ciężarem tak, że musiał przytrzymać się łapami.

— Wróciłem do cielesnej powłoki — odparł rzeczowo. — Dało mi ją zwierzę — jest inna, ale użyteczna, chociaż wymaga ulepszeń. Da się to zrobić, gdy będzie więcej czasu i odpowiednia karma.

— Chcesz powiedzieć, że byłeś jednym z zaginionych tubylców? Dzięki temu, że Valcyr cię połknęła, mogłeś...

W głowie miałem pełno dziwnych myśli.

— Nie byłem jednym z nich! — przerwał mi gwałtownie, jakby zirytowany. — Nie mieli w sobie tego, co dałoby mi nową powłokę. Musiałem poczekać na właściwszą okazję, na lepsze ciało. Zwierzę ze statku miało to, czego potrzebowałem. Dlatego zainteresowało się i połknęło nasienie, z którego mógł znów narodzić się Eet...

— Narodzić się znowu... z czego?

— Ze stanu uśpienia — Był wyraźnie zniecierpliwiony. — Ale to już przeszłość — nie trzeba do tego wracać. Teraz liczy się przetrwanie... moje... twoje...

— To znaczy, że ja też się liczę?

Po co pomógł mi na „Vestris”, po co uratował, zdejmując hełm? Czy potrzebował mnie do czegoś?

— Potrzebujemy się nawzajem. We dwójkę jesteśmy silniejsi. Mamy większe szansę — powiedział. — Ja mam ciało, które posiada pewne zalety, ale brak mu siły i masy. Ty zostałeś nią obdarzony. Ponadto mam zdolności, które mogą ci bardzo pomóc.

— A ta współpraca... czy ma jakiś cel w przyszłości?

— To okaże się później. Teraz myślmy o tym, jak przetrwać. To najważniejsze.

— Racja. Czego szukasz?

— Tego, o czym myślałeś wcześniej. Jedzenia, wody, które pomagają przeżyć w czasie ewakuacji.

— Jeśli cokolwiek, co tu znajdziesz, nadaje się jeszcze do zjedzenia i nie jest trucizną...

Uniosłem się trochę wyżej i patrzyłem, jak Eet otwiera kolejną szafkę.

Wewnątrz znajdowały się dwa baniaki, owinięte taśmą ochronną. Eet nie mógł otworzyć żadnego z nich. Z trudem podniosłem się z posłania, żeby zdjąć jeden z pojemników.

Zakończony był w kształcie dzioba. Przytrzymałem go między nogami i otworzyłem za pomocą jednego z narzędzi, które miałem w skafandrze. Potem delikatnie potrząsałem baniakiem. Wewnątrz usłyszałem plusk. Powąchałem ten płyn, mając nadzieję, że jest to zwykła woda. Substancja, którą wycisnąłem z tuby, choć płynna, nie zaspokoila mojego pragnienia.

Zapach był ostry, ale nie odrzucający. W środku mogło być cokolwiek... woda, paliwo, wszystko. Kolejna niewiadoma, przed którą stanąłem... stanęliśmy od momentu opuszczenia „Vestris”.

— Napój, paliwo, albo coś jeszcze? — powiedziałem do Eeta, podstawiając mu baniak pod nos.

— Pij! — odpowiedział zdecydowanie.

— Skąd ta pewność?

— Myślisz, że mówię tak, bo jestem spragniony? Nie. To jedna z zalet mojego nowego ciała. Ono wie, co może mu zaszkodzić. To dobre... Wypij, przekonasz się.

Powiedział to tak władczo, iż zapomniałem, że jest tylko małym, włochatym stworem o nieznanym mi pochodzeniu. Przytknąłem pojemnik do ust. Omal nie wyplułem wszystkiego, tak gorzki i kwaśny smak miała ta ciecz. Z pewnością nie była to woda ani żaden trunek, który znałem. Gdy jednak przełknąłem ten dziwny napój, poczułem w gardle ulgę i chłód, zupełnie jakbym napił się wody ze strumienia. Wypiłem jeszcze trochę i przytrzymałem pojemnik tak, żeby Eet również mógł się napić. Mieliśmy więc skromny zapas picia. Gorzej było z jedzeniem. W następnej szafce znaleźliśmy jakąś substancję, różowawą, twardą i zeschniętą. Eet wyczuł, że może okazać się niebezpieczna. Jeśli nawet była to żywność, to przeznaczona nie dla nas.

Eet natrafił też na jakieś narzędzia o przedziwnych kształtach i jakąś broń. Poza tym w ostatnim schowku znajdowało się pudełko z wyświetlaczami i dwa druty przytwierdzone do jego tylnej części. Wyciągnęliśmy je. Pomiędzy nimi znajdowała się cienka taśma przypominająca film. Wyglądało to jak nadajnik. Zapewne miał wysyłać sygnały już po wyładowaniu kapsuły na którymkolwiek ze światów. Jednak ci których miał wezwać, z pewnością już dawno opuścili tę galaktykę.

Odkąd ludzie rozpoczęli podróże międzygwiazdne, stało się jasne, że nie byli w kosmosie pierwsi. Wszechświat przemierzały różne rasy, reprezentujące imperia i konfederacje z wielu światów. Trwały one lub ginęły, zanim jeszcze ludzkość odkryła koło i ogień i sięgnęła po

metal, aby wytapiać z niego miecze i pługi. Cały czas odkrywaliśmy pozostałości innych cywilizacji i kwitł handel antykami — przedmiotami, które kiedyś należały do obcych. O ile dobrze pamiętałem! Zakathanie mieli archeologiczne dowody na istnienie przynajmniej trzech imperiów, których mieszkańcy wyginęli na długo przed tymi; zanim oni sami rozpoczęli swoje pionierskie podróże. A przecież to Zakathanie właśnie stanowili najstarszą ludzką cywilizację, której historia sięgała dwu milionów lat wstecz! Byli rasą długo utrzymującą się we wszechświecie i zgromadzili ogromną wiedzę.

Gdybyśmy dotarli do jakiegoś zamieszkanego świata, nawet ta kapsuła mogła przynieść mi tak duży dochód, że otworzyłbym własny sklep i handlował klejnotami. Jednak szansa na dotarcie do takiego świata była minimalna. Zresztą teraz wystarczyłaby nam planeta bogata jedynie w świeże powietrze, wodę i pożywienie.

Trudno było mierzyć upływający czas. Spaliśmy dużo, jedliśmy oszczędnie i tylko wtedy, gdy głód porządnie dawał nam się we znaki. Piliśmy też napój pozostawiony przez zaginionych podróżników. Starłem się wydobyć od Eeta więcej informacji, ale uparcie milczał. Zwinął się tylko w kłębek. Mówię o nim jak o samcu, choć nigdy nie zdradził mi swej płci, jeśli w ogóle ją miał. Poza tym, gdy zwracałem się do niego albo myślałem o nim w ten sposób, nigdy nie zaprotestował.

Zostało nam jakieś pół tubki jedzenia, gdy na pulpicie zapaliła się biała lampka. Paliła się przez jakiś czas, więc po chwili przestaliśmy się nią interesować. Potem nagle zapłonęła bardziej żółtym światłem i rozległo się ostrzegawcze brzęczenie. Miałem nadzieję (a może bałem się), że podchodzimy do lądowania. Skuliłem się na posłaniu, a Eet przywarł do mnie. Obaj zastanawialiśmy się, jak zniesiemy lądowanie w tak wiekowym pojeździe, którego moc była na wyczerpaniu.

Rozdział siódmy

Musieliśmy stracić przytomność podczas wejścia w atmosferę, bo gdy przyszedłem do siebie, statek nie drżał już, a jedynie kiwał się nad ziemią, jakby uwięziony w gigantycznej sieci. Założyłem hełm. Eet na wszelki wypadek wszedł z powrotem do pojemnika, w którym wcześniej podróżował. Krok po kroku podpełzłem do włazu. Kapsuła kołysała się niebezpiecznie.

Wewnętrzne zasuwę skonstruowano tak, żeby ranny pasażer mógł otworzyć drzwi jedną ręką. Jednak nie poszło mi to łatwo. Drzwi stawiały opór. Pojawił się gęsty, biały dym. Musiałem użyć siły, by utorować sobie przejście. W końcu udało mi się uchylić wąż na tyle, że mogłem przecisnąć się przez drzwi, nie uszkodzając przy tym bezcennego w tych warunkach skafandra.

Na zewnątrz było pełno dymu. Musiałem szybko znaleźć oparcie dla nóg. Kabina zsuwała się powoli, nie pozostawiając mi wiele czasu do namysłu. Nagle zatrzęsa się gwałtownie. Skoczyłem do przodu, przebijając się przez dymną zasłonę, i wylądowałem na stercie połamanych gałęzi i spalonych liści. Niektóre z nich tliły się jeszcze.

O mały włos, a nadziałbym się na ostrą gałąź, grubą jak moje ramię. Chwyciłem ją odruchowo rękami i zawisłem przez chwilę, rozpaczliwie szukając oparcia dla stóp. Gałąź zgięła się pod moim ciężarem i runąłem jak długi. Spadałem w dół, łamiąc mniejsze konary, i w końcu niepewnie wylądowałem na szerokiej gałęzi. Uprząż skafandra zaplątała się w jeden z odstających patyków. Obok usłyszałem hałas. Kapsuła opadła gdzieś niżej. Przywarłem do pniaka, dzięki któremu nie spadłem dalej, odetchnąłem głęboko i rozejrzałem się dookoła.

Liście, które złagodziły mój upadek, były w większości żółtozielone, gdzieś tam dostrzegłem też odcień jasnożółty i purpurowoczerwony. Konar, na którym leżałem, był masywny i pokryty mchem. Z powodzeniem mogłoby po nim spacerować obok siebie dwoje ludzi. Tu i ówdzie zauważyłem duże kolce zakończone szkarłatnymi kielichami. Przypominały normalne kwiaty, jednak zobaczyłem, że otwierają się i zamykają w rytmie przypominającym oddech lub bicie serca.

W górze widniała duża dziura w poszyciu. Prawdopodobnie ślad po upadku moim i kapsuły ratunkowej. Poza tym gęste listowie było nienaruszone.

Przyciągnąłem do siebie pojemnik z Eetem. Siedział w środku, na tylnych łapach, obracając głową niczym gad. Momentami zdawało mi się, że okręca swoją długą szyję

dookoła głowy. W dole coś uderzyło o ziemię. Bardziej poczułem jednak to uderzenie, niż je słyszałem. Konar, na którym siedziałem, zatrzęsł się. Prawdopodobnie to kapsuła dotarła do podłoża tego gigantycznego lasu. Czas, jaki zabrało jej dotarcie na dół, świadczył o dwóch rzeczach — roślinność wspięła się tu wyjątkowo wysoko i była na tyle gęsta, by utrzymać przez jakiś czas ciężką bądź co bądź kapsułę.

Dym wydobywający się gdzieś z góry gęstniał z każdą chwilą. Jeśli na wyższym poziomie szalał pożar, należało jak najszybciej wycofać się w dół. Jednak w tym kombinezonie nie miałem szans uciec przed ogniem.

Podniosłem się i ruszyłem wzdłuż gałęzi. Miałem nadzieję, że uda mi się dotrzeć do konara, z którego wyrastała. W miarę jak posuwałem się dalej, pień stawał się coraz grubszy i masywniejszy. Dokoła zobaczyłem więcej kolców zakończonych oddychającymi kielichami. Jeden z nich wyrósł wprost na mojej drodze. Liście miał żółte i szerokie. Zawijały się do wewnątrz, tworząc coś na kształt pucharu. Wewnątrz dostrzegłem wodę czy też jakąś bezbarwną ciecz. Ponad tym utworzonym z liści miniaturowym jeziorkiem po raz pierwszy na tej planecie zobaczyłem zwierzęcą formę życia.

To latające coś, duże jak moja dłoń, rozwinęło swe cieniuteńkie skrzydła, żeby odlecieć. Stworzenie to tak doskonale wtapiało się w tło, że zauważyłem je dopiero, gdy się poruszyło. Inny stwór podniósł łeb znad kielicha i wyszczerzył zęby. Jego ciemne, chropowate i pokryte brodawkami ciało podobne było do kory gałęzi, po której stąpałem. Wyszczzerzone kły przekonały mnie o drapieżnej naturze zwierzęcia. Rozmarami przypominało Valcyr, a łapy uzbrojone miało w ostre pazury, przystosowane do łapania i przytrzymywania nie tylko kwiatowych kielichów, ale i zwierzyny, na którą musiało polować.

Stworzenie to nie czuło przede mną strachu. Stało naprzeciw mnie, z wyszczerzonymi kłami i nisko opuszczoną głową, w każdej chwili gotowe do skoku.

Żeby iść dalej, musiałem przejść ponad kielichem. Mimo niewielkich rozmiarów przeciwnika, nie zamierzałem lekceważyć jego możliwości. Nie miałem lasera. Zgodnie z przepisami, wszelka broń trzymana była w czasie lotu pod kluczem. Z reguły Wolni Kupcy nosili przy sobie jedynie ogłuszacze, które same w sobie nie stanowiły zagrożenia dla życia. Ale teraz nie miałem nawet i takiej broni.

— Daj spokój — zadźwięczały mi w głowie słowa Eeta. — Odejdzie...

I odszedł. Tak nagle, że zastanowiłem się, czy nie był tylko iluzją, stworzoną przez hymandiańskiego magika. Ujrzałem umykający kształt na tle kory. To wszystko, co zostało po nieznanym mi zwierzęciu.

Ostrożnie wszedłem na szerokie liście. Ich powierzchnia załamała się pod moim ciężarem. Wytrysnęła z nich jakaś zielona substancja i ochlapała mi buty. Liście momentalnie ściemniały, jakby gnijąc w oczach, i odpadały sporymi płatami. W powietrzu pojawiło się więcej latających stworów, które grzęzły w wypływającej z liści substancji.

Uważnie stawiałem każdy krok a mimo to ślizgałem się na wilgotnej powierzchni, ale udało mi się w końcu ominąć przeszkodę. Na twarzy czułem spływający pot. Oddychałem ciężko i z trudem. Kończył mi się zapas powietrza i bez względu na to, czy atmosfera była tu trująca czy nie, musiałem zdjąć hełm.

Przykucnąłem przy jednym z pni, odchyliłem klapę i wziąłem głęboki oddech. Spodziewałem się palącego bólu w płucach, ale nic się nie stało. Choć wyczułem w powietrzu różne zapachy, niektóre z nich naprawdę nieprzyjemne, okazało się ono mniej duszące i przykre niż to w kapsule ratunkowej.

Dochodziły teraz do moich uszu rozmaite dźwięki. Słyszałem bzyczenie owadów, ostre krzyki dzikich zwierząt i raz po raz pojedynczy, głuchy odgłos, jakby ktoś walił w bęben, a potem przysłuchiwał się, jak jego dudnienie ginie gdzieś daleko niesione echem. Nad sobą słyszałem trzaskanie i odgłosy pękającego drewna. Czułem też zapach spalenizny, choć nigdzie nie widziałem popłochu, jaki zwykle wywoływał pożar wśród mieszkańców lasu.

Tuż za mną jedna z kielichowatych roślin zmarszczyła się i uschła. Jej pomarszczone liście opadły gnijącymi płatami. W chwilę później wewnętrzna warstwa płatków również rozpadła się, rozpryskując przezroczysty płyn; ściekał po konarze, ochlapując rośliny znajdujące się poniżej, i porywał ze sobą latające tam owady. Roślina gniła i rozpadała się w oczach. Po chwili została z niej już tylko brunatna masa cuchnąca tak bardzo, że ruszyłem w dalszą drogę.

Moja ścieżka na konarze stawała się coraz szersza. Rosły tu winogrona. Oplatały konar gęstą siecią i tworzyły pułapki, w które łatwo można było się zaplątać. Pociłem się strasznie w tym wyjątkowo wilgotnym klimacie. Skafander zaczynał mi ciężać coraz bardziej. Poza tym znów byłem głodny. Przypominałem sobie drapieżne stworzenie, które widziałem niedawno, i zacząłem się zastanawiać, czy ja także mógłbym coś tutaj upolować.

— Wypuść... — choć Eet wyrażał się raczej lakonicznie, doskonale zrozumiałem, o co mu chodziło. Postawiłem pudło podrózne na ziemi i otworzyłem drzwiczki. Wyskoczył z pojemnika, stanął w miejscu i rozglądał się czujnie.

— Musimy zdobyć jedzenie...

Przypomniało mi się to, co powiedział w kapsule o odróżnianiu rzeczy jadalnych od niejadalnych. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że na obcej planecie praktycznie wszystko mogło okazać się trujące lub szkodliwe. Być może wylądowaliśmy tu tylko po to, żeby umrzeć z głodu wśród dobrodziejstw natury, które dla nas, w przeciwieństwie do tubylców, mogły być niezwykle niebezpieczne.

— Tam... — powiedział, wskazując łbem na jedną z poplątanych winorośli. Z łodygi sterczały płaskie strąki. Trzęsły się i podrygiwały, zupełnie jakby żyły własnym życiem. Nie wiedziałem, dlaczego Eet wybrał właśnie to. Według mnie kiść okrągłych owoców tuż obok bardziej nadawała się do jedzenia.

Obserwowałem zachowanie Eeta. Urwał kilka strąków i wydobywał ze środka małe, purpurowe nasiona, po czym zjadał je bez wyraźnego zadowolenia i raczej z konieczności.

Zjadł wszystkie, po które mógł sięgnąć, ale nie padł na ziemię w konwulsjach. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Nie są trujące. Bez jedzenia daleko nie zajdziesz.

Nie rozwiało to moich wątpliwości. Nawet jeśli nie zaszkodziły mojemu kompanowi, nie wiedziałem, czy i dla mnie będą nieszkodliwe. Nie miałem jednak wielkiego wyboru. Tuż obok dostrzegłem następną kiść.

Powoli zsunąłem pierścień i schowałem go do kieszeni skafandra. Następnie zdjąłem rękawice i zerwałem parę strąków.

Na rękach zobaczyłem różowawe plamy na brunatnym tle — pozostałość po strupach. Choć nie byłem tak opalony jak podróżnicy, to jednak moja skóra była ciemniejsza od skóry ludzi, którzy na co dzień zamieszkiwali inne planety. Teraz jednak, jak sądziłem, liczne plamy będą wyróżniały mnie z tłumu. Bałem się wrogiej reakcji ze strony tych, których miałbym ewentualnie spotkać. Może lepiej się stało, że nie wylądowaliśmy na żadnej cywilizowanej planecie, bo przypuszczalnie jej mieszkańcy od razu wysłaliby mnie na wieczną kwarantannę.

Starannie wyłuskałem małe granulki. Były twarde, gładkie i niewiele większe od ziarna pszenicy. Powąchałem je, ale nawet jeśli wydzielaly jakąś woń, to ginęła ona wśród zapachów, które unosiły się dookoła. Ostrożnie włożyłem nasiona do ust i pogryzłem.

Choć nie miały żadnego określonego smaku, zdawały się bardzo pożywne. Były raczej suche, twarde i trudne do przełknięcia, ale w końcu je połknąłem. Skoro już zaryzykowałem, nie musiałem sobie żałować. Zerwałem wszystkie strąki, które znajdowały się w zasięgu ręki, żułem je i połykałem. Parę kiści oddałem również Eetowi, który wyraźnie się o to dopominał.

Wypiliśmy też po łyku napoju, który zabrałem z kapsuły. Zabiło to smak suchych strąków.

W czasie, gdy ja się posilałem, Eet stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony. Wybiegał do przodu, stawał, nasłuchiwał, po czym wracał do mnie. Choć urodził się tak niedawno, zachowywał się jak dorosły osobnik. Być może osiągnął już ten stan.

— Jesteśmy spory kawałek nad ziemią. — Wrócił i przysiadł koło mnie. — Trzeba zejść niżej.

Skoro zaufałem jego instynktowi w kwestii jedzenia, powinienem chyba zaufać mu i teraz. Jednak skafander bardzo mi przeszkadzał i bałem się fałszywego kroku na ścieżce pokrytej splątaną winoroślą.

Pełzałem ostrożnie, badając drogę przed sobą. W końcu doszedłem do miejsca, skąd wyrastał konar — do głównego pnia drzewa, który był tak ogromny, że w swym wnętrzu mógłby zmieścić średniej wielkości pokój z Angkor. Jego wysokości nie potrafiłem nawet sobie wyobrazić. Zastanawiałem się, gdzie znajdowała się powierzchnia tego przytłoczonego przez roślinność świata, jeśli zalesiony był przez tak gigantyczne drzewa.

Gdyby nie pędy winorośli, które choć splecione, śliskie i niezachęcające, tworzyły jednak coś na kształt drabiny, pewnie nie mógłbym zejść w dół. W skład uprząży wchodziły dwie linki zakończone haczykami. Normalnie służyły one do utrzymywania przy statku kogoś dokonującego napraw w kosmosie. Choć nie wiedziałem o ich istnieniu bezpośrednio po ucieczce z „Vestris”, mogłem użyć ich teraz. Zaczepiałem je o winorośl i powoli opuszczałem się w dół. Potem odrywałem haczyki i powtarzałem całą operację, mozolnie, schodząc coraz niżej. Było to jednak wyjątkowo męczące, szczególnie w tak gorącym i wilgotnym klimacie.

W końcu dotarłem do kolejnego konara, który zdawał się jeszcze większy od poprzedniego. Wdrapałem się na gałąź, zadowolony, że wreszcie udało mi się znowu postawić stopę na twardym podłożu. Miejsce było raczej ponure, a to za sprawą gęstego listowia które przysłaniało wszystko. Czułem się tu prawie jak w jakiejś jaskini lub pieczarze. Przypuszczałem, że jeśli uda mi się zejść na samo dno lasu, będzie tam ciemno jak w środku nocy, bo światło słoneczne nie przebija się przez roślinność. Niewykluczone, że jedynym oświetlonym miejscem było to, w którym ostatecznie wylądowała kapsuła, wyrabując swym ciężarem prześwit wśród leśnego poszycia.

Na tej wysokości nie było już „oddychających” kielichowatych roślin. Zamiast nich dostrzegłem chropowatą i najeżoną kolcami narośl drzewną, z której luźno zwieszały się cienkie łodygi lub witki. Sączył się z nich jakiś sok czy inna płynna substancja. Jej krople słabo połyskiwały. Musiała to być, jak mi się zdawało, swego rodzaju przynęta. Wabiła potencjalną ofiarę zapachem lub blaskiem. Witki poruszały się od rozpaczliwej szamotaniny przyklejonych owadów, które ze wszelkich sił starały się uwolnić.

Eet zatrzymał się obok mnie. Widziałem, że drażniła go ociężałość, z jaką się poruszałem. Nie skrepowany przez ciężki skafander, sam już dawno zszedłby na dół. Stał teraz, popędzając mnie. Jeśli jednak cokolwiek niepokoiło go w tym opanowanym przez drzewa świecie, nie powiedział mi o tym. Swym zachowaniem coraz bardziej przypominał dorosłego opiekującego się dzieckiem, które utrudnia i opóźnia wykonanie ważnego zadania.

Po kolejnym pomruku niezadowolenia znów podjąłem mozolną wędrówkę w dół. Eet przemknął przede mną z łatwością, której mu szczerze zazdrościłem. Nie mogłem pędzić tak zwinnie jak on. Powoli zsuwałem się w dół: hak, uchwyt, odczepienie haka i tak w kółko.

Dookoła robiło się coraz ciemniej. Bałem się, że niżej nie będę w stanie znaleźć odpowiednich punktów zaczepienia.

Czułem się, jakbym zaczął schodzić w południe i trwało tak aż do wieczora. Pocieszałem się jednak tym, że im bliżej byłem ziemi, tym więcej roślin wykazywało fluorescencyjne zdolności, a i kolczaste narośle, których dostrzegłem tu więcej, były jakby większe i jarzyły się słabym, bladawym światłem. Im głębiej schodziłem, tym ta jasność wydawała się silniejsza. Może rzeczywiście dzień kończył się tam na górze i zbliżała się noc.

Myśl o nocy dodała mi sił. Nie miałem zamiaru utknąć tu, w tej płataninie winorośli, w kompletnych ciemnościach. Dlatego też dwa kolejne konary minąłem bez odpoczynku, choć znalazłem tu i ówdzie zachęcające ku temu miejsca. Uparcie brnąłem w dół.

Ostatnią poza owadami żywą istotą, jaką widziałem, był ów drapieжник, na którego natknąłem się przy kielichowatej roślinie. Owadów jednak było tu wprost zatrzesienie. Wśród pnączy wina i w szczelinach kory dostrzegłem i pełzające, i mnóstwo innych, skrzydlatych. Te największe również emitowały słabe, widmowe światło. Na tle jednolitego i bladego blasku, którym tliły się rośliny, owadom żarzyły się czułki i skrzydła. Wszędzie dookoła widziałem różnokolorowe, czerwone, niebieskie i zielone ogniki, zupełnie jakby szlachetne kamienie przywdziały skrzydła i zerwały się do lotu.

Gdy dotarłem w końcu na sam dół, była już noc. Opuściłem się po zwisającym z drzewa pnączu winorośli i stanąłem na ziemi u stóp drzewa. Od razu jednak zapadłem się po kolana w gąbczastej i gnijącej brei. Panowała tu bezkسیężycowa i nieprzenikniona ciemność.

— Tutaj! — zawołał Eet.

Szamotałem się, próbując uwolnić stopy i postawić je na twardszym gruncie. Rozejrzałem się teraz, skąd dobiegł ów sygnał.

Korzenie winorośli otaczały monstrualnie wielki pień drzewa, a pod ich zasłoną panowała absolutna ciemność. Przypuszczałem, że tam właśnie schował się mój kompan. Nie bez wysiłku oderwałem stopy od zasysającego grząskiego podłoża. Musiałem pomóc sobie zwisającym z góry korzeniem winorośli, po czym wpełzłem do czarnej kryjówki.

Z pozoru można było założyć, że dotarliśmy do w miarę bezpiecznego schronienia. Nie miałem światła ani broni, nie wiedziałem też, jakie stworzenia zamieszkiwały dolne partie lasu. Zawsze jednak lepiej przewidywać najgorsze niż mamić się wizją pozornego bezpieczeństwa. Z zasady zresztą im mniej i mniejsze formy życia spotykało się na drzewach, tym większe poruszały się między nimi.

Przykucnąłem w naszej ciemnej kryjówce i oparłem się plecami o jeden z korzeni. Siedziałem tak z twarzą zwróconą ku wyjściu, żeby widzieć, co dzieje się na zewnątrz. A im dłużej tak siedziałem, tym więcej mogłem zobaczyć, mimo panujących wokół ciemności.

Choć w wyposażeniu skafandra miałem niewielką lampkę, bałem się jej użyć, skoro nie było to absolutnie konieczne. Światło mogło przyciągnąć uwagę kogoś lub czegoś, a tego chciałem uniknąć. Co chwilę widziałem ogniki przelatujących owadów i błysnięcia pełzających po ziemi stworów.

Wkoło słyszałem mnóstwo różnych dźwięków. Słyszałem gdzieś w oddali jakby przerywany i jednostajny świszczący odgłos, który zbliżył się, po czym zniknął zupełnie. Walczyłem z narastającą sennością. Wyobraźnia podpowiadała mi, co mogłoby nas spotkać w tej mizernej kryjówce, gdybym zasnął choć na chwilę.

W ręce ścisnąłem latarkę. Gdyby nas osaczono, może nagły błysk światła oślepiłby napastnika na tyle, że zdołalibyśmy umknąć gdzie indziej.

Eet zajął swoje ulubione, jak mi się wydawało, miejsce na moim ramieniu. Ważył teraz więcej niż poprzednio. Musiał rosnąć, i to szybciej niż jakiegokolwiek zwierzę, które znałem. Czułem na skórze szorstkość jego sierści. Z całą pewnością nie był to miły zwierzak domowy do głaskania.

— Dokąd idziemy teraz? — spytałem, choć nie oczekiwałem, że da mi jakąś konkretną odpowiedź. Zrobiłem to raczej dlatego, żeby odezwać się do kogoś, kto był trochę mniej obcy niż cały świat dookoła.

— W nocy... nigdzie. To kryjówka dobra, jak każda inna.

Znów wydało mi się, że był zniecierpliwiony.

— A co rano?

— Wszystko jedno. Każdy kierunek jest dobry. To, jak sędzę, ogromna puszcza.

— Kapsuła roztrzaskała się niedaleko stąd. Część sprzętu... broń... może jeszcze działać...

— Słuszna uwaga. Zaczynasz znowu myśleć logicznie. Tak, dotarcie do statku to nasz pierwszy cel. Ale nie ostatni. Wątpię, by ktokolwiek szukał nas tutaj.

Coraz trudniej zwalczałem napływającą senność. Poczułem muśnięcie futra Eeta, gdy usadowił się wygodniej na moim ramieniu.

— Śpij, jeśli chcesz — rzucił szybko. — Rób to, czego pragnie twój organizm, bo inaczej odmówi ci posłuszeństwa. Jutro potrzebne nam będą jasne umysły i sprawne ciała...

— A jeśli jakiś nocny włóczęga dobierze się do nas, kiedy zaśniemy? To miejsce nie wydaje się zbyt bezpieczne.

— Nie martwmy się na zapas. Sędzę, że mój zmysł ostrzegawczy jest znacznie bardziej czuły od twojego. Tak jak mówiłem, ta powłoka ma swoje zalety.

— Ta powłoka... Powiedz mi, Eet, jak naprawdę wyglądasz?

Nie otrzymałem odpowiedzi. Chyba że za odpowiedź mogłem uznać twardy mur, który wyrósł nagle między naszymi umysłami. Czułem się tak, jakbym nieumyślnie obraził mojego towarzysza. Oczywiście było, że Eet nie chciał wyjawić mi, kim lub czym był, zanim Valcyr połknęła go pod postacią kamienia w bagnistym świecie.

Jednak nie mogłem odmówić mu racji. Sen był mi teraz wyjątkowo potrzebny. I jeśli Eet rzeczywiście posiadał zwierzęcy instynkt ostrzegający go przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, to będzie wiedział o kłopotach na długo przed tym, zanim ja, z moimi otępiały mi zmysłami, zdam sobie z nich sprawę.

Oparłem się więc wygodniej i zasnąłem w ciemnościach tego dziwnego świata. Nie pamiętam, żeby coś mi się śniło. Jednak z letargu wyrwał mnie głos Eeta.

— ... na prawo... — myśl ostra i tnąca mój umysł niczym ostrze włóczni od razu postawiła mnie na nogi. Zamrugałem oczami. Próbowałem zorientować się w sytuacji.

Potem zobaczyłem to migotanie. Na zewnątrz chyba zrobiło się nieco jaśniej niż wtedy, kiedy zasypiałem.

To coś stało, nie na czterech, lecz na dwu nogach. Ciało wychylone miało do przodu, jakby nasłuchiwało i wypatrywało czegoś podejrzliwie. Być może istota ta wyczuła nasz obcy zapach. Jednak nie zwróciła głowy w naszym kierunku.

Podobnie jak rośliny i owady, stwór ten również trochę fosforyzował. Dawało to zaskakujący efekt, bo świecące plamy układały się na jego ciele w specyficzne wzory. Dookoła głowy widniał świetlisty pierścień, a tam, gdzie u człowieka powinny znajdować się brwi, dostrzegłem jeszcze dwa pierścienie — owalne i świecące. Pozostałą część twarzy miało całkiem czarną, ale zarys kończyn górnych i dolnych podkreślały świetliste smugi, a trzy kolejne jasne pierścienie szły rzędem w dół tułowia. Poza tym zorientowałem się, że stworzenie było dość masywnej budowy, o szerokich barkach i potężnych ramionach.

Stwór odsunął się od pędów winorośli, przy których wcześniej przystanął, i dopiero teraz zobaczyłem, że w górnej kończynie, jakby ręce, trzymał broń przypominającą pałkę lub maczugę. Nagle podniosła się, opadła błyskawicznie i usłyszałem głuchy i nieprzyjemny odgłos. Uderzenie było celne. Napastnik wyciągnął długie ramię i podniósł wiotkie ciało ofiary. Ze zdobyczą w jednej i maczugą w drugiej ręce obrócił się i z szybkością drapieżnika, którego widziałem na ogromnym drzewie, zniknął wśród pędów winorośli.

Z całą pewnością nie było to zwyczajne zwierzę. Jednak, jak wysoki szczebel osiągnęło na drabinie ewolucji, tego nie wiedziałem. Stwierdziłem tylko, że rozmiarami przypominało, a może nawet przewyższało, normalnego człowieka.

— Mamy towarzystwo — zauważyłem.

Eet poruszył się niespokojnie.

— Trzeba koniecznie dotrzeć do kapsuły — odparł. — Jeśli oczywiście coś z niej zostało...
Wstaje dzień...

Wypełzając z naszej tymczasowej kryjówki zastanawiałem się, w którą stronę powinniśmy iść. Nie miałem zielonego pojęcia. I jeśli Eet również nie wiedział, to mogliśmy krążyć przez długi czas tuż obok kapsuły i nigdy na nią nie trafić. Słyszałem o ludziach, którzy tułali się bez kompasu i przewodnika po obcym terytorium. Wracali wciąż w to samo miejsce.

Rozdział ósmy

— Masz pomysł, jak znaleźć kapsułę? — spytałem.

Eet bez pytania wdrapał mi się na ramiona, zupełnie jakbym z własnej woli zgodził się go nosić. W ciemnościach i skwarze, ze skafandrem, który coraz bardziej dawał mi się we znaki, dodatkowy ciężar na barkach był udręką trudną do wytrzymania.

Eet co chwilę wysuwał głowę do przodu, jakby wywąchując dalszą drogę. Wszędzie dookoła słyszałem odgłos padającego deszczu. Możliwe że tu, w cieniu ogromnych drzew, na których listowiu gromadziła się woda, padało przez cały czas.

W dole poszycie leśne było wyjątkowo ubogie. Gdziekolwiek dostrzegłem tylko wyrastające z drzew i łodyg winorośli pasożytnicze rośliny. Nie potrzebowały światła, bo większość z nich emitował słaby blask.

Wszystko to otaczały drzewa, których olbrzymie pnie stały daleko od siebie. Największe i najsilniejsze torowały sobie drogę ku światłu. Mniejsze i słabsze skazane były na zagładę. Jednak każde bez wyjątku oplecione było splątanim i pokręconym labiryntem pędów winogronowych.

Pod drzewem, gdzie niedawno zobaczyliśmy człekokształtną istotę podczas polowania, zaczynała się ścieżka, prawdopodobnie wytarta przez dziką zwierzynę. Obranie tej drogi uprościłoby sprawę, ale też mogło się okazać bardzo niebezpieczne.

— Na prawo! — zakomenderował Eet.

— Dlaczego...?

— Nie czujesz?! — odparł gwałtownie. — Spalenizna... Rozgrzany metal... Ostrożnie i po cichu kieruj się na prawo.

— Jeśli to możliwe — odpowiedziałem mu szybko.

Trudno było bowiem brnąć przez miękką breję utworzoną z przegniłej roślinności. Moje ciężkie buty zapadały się głęboko w grząski piach i lepkie błoto. Przy każdym kroku musiałem je uwalniać. Jednak nie odważyłem się zdjąć tak niewygodnego w tej podróży skafandra. Dawał mi pewnego rodzaju poczucie bezpieczeństwa.

Po raz kolejny okazało się, że Eet miał rację. Minęliśmy jeszcze dwa pnie, potężne i skrzepowane splotami winorośli. W poszyciu za nimi musiał być prześwit. W mrok poszycia wdzierало się światło słoneczne, którego jasne i rażące promienie oślepiły mnie. Zatrzymałem się, mrugając oczami.

Przed sobą ujrzałem płataninę połamanych i nadpalonych gałęzi, konarów i winogronowych pędów. Nad pogorzelskiem cały czas unosiły się drobne kłęby dymu. Zapach spalonych roślin dusił jak gaz. Jednak rośliny były tak nasączone wodą, że pożar się nie rozprzestrzenił. Kapsuła wbiła się dziobem w grząski grunt i leżała teraz na boku. W wielu miejscach jej poszycie było podziurawione i popękane.

W dziurze, którą wybiła, krążyły owady, przysiadając na sączącej się z porozrywanych pędów substancji. W splekanym poszyciu statku dostrzegłem ruch. Buszowało tam jakieś czworonożne zwierzę. Oglądając wrak, doszedłem do wniosku, że mieliśmy dużo szczęścia. Strach pomyśleć, co by się stało, gdybyśmy nie zdążyli opuścić kapsuły przed jej ostatecznym upadkiem.

Z trudem przedzierałem się przez płataninę gałęzi, pędów i części statku, które odpadły po zderzeniu z ziemią. Eet zeskoczył na ziemię i w paru podskokach znalazł się przy kapsule. Zaczął obchodzić ją dookoła.

— Właz jest spalony — stwierdził. — Ale z boku jest dziura... zbyt mała dla ciebie...

— Ale ty się przecisniesz.

Odrzuciłem na bok pęk spletanym, kolczastych gałęzi i stanąłem na zwęglonej skorupie. Spod moich nóg buchnął cuchnący dym.

Zobaczyłem, jak Eet zniknął w jednym z pęknięć. Z tej perspektywy kapsuła wyglądała jeszcze gorzej. Jej wnętrze musiało ulec kompletnemu zniszczeniu, tak że do środka mógł dostać się jedynie ktoś niezbyt duży.

— Lina... — usłyszałem w głowie kolejne polecenie. — Podaj mi linę...

Przedarłem się przez dymiące zgliszcza, stanąłem tuż przy dziurze w poszyciu i podałem mu jedną z lin, których użyłem wcześniej do zejścia z ogromnego drzewa. Poczulem, jak sznur napiął się pod jakimś ciężarem i zacząłem ostrożnie wyciągać go w górę.

W otworze ukazała się broń, którą znalazłem wcześniej na pokładzie. Pochwyciłem ją szybko. Jakakolwiek by była, zawsze dawała pewne poczucie bezpieczeństwa. Nie pasowała do ręki i doszedłem do wniosku, że nie stworzono jej z myślą o ludzkiej dłoni. Nigdzie nie dostrzegłem spustu ani cyngła, jakich spodziewałbym się w normalnym laserze lub ogłuszaczu. Znalazłem tylko trudny do przesunięcia przełącznik. Bez namysłu wycelowałem w stertę gałęzi i odpaliłem.

Broń zabłysła słabiutkim światłem i na tym koniec. To, co ją zasilало, teraz nie miało już dość mocy, żeby zadziałać. Urządzenie nie było bardziej niebezpieczne od zwykłej pałki, której używał tubylec. Powiedziałem o tym Eetowi.

Nie wydawał się zbytnio rozczarowany. Ponownie zanurkował w głąb kapsuły, a ja spuściłem mu linę. W końcu udało nam się wydobyć kilka wciąż zdalnych do użycia przedmiotów. Wśród nich znajdował się baniak z napojem, ostro zakończone narzędzie, długie na jakieś trzydzieści centymetrów, którym można było ciąć, i wreszcie zwinięty

kawałek materiału, prawdopodobnie wodoodpornego, z którego można było uformować mały pakunek, a po rozwinięciu użyć do ochrony przed deszczem.

Wśród porzucanych gałęzi nabierałem kilka strąków, wyluskałem nasiona i wrzuciłem do drugiego baniaka, który zdążyliśmy już opróżnić. Zanim zdecydowaliśmy się, w którą stronę iść dalej, posililiśmy się trochę.

Nie było sensu włóczyć się wokół statku. Gdyby kapsułę wyprodukowali ludzie, moglibyśmy ustawić sygnał alarmowy i czekać na odzew, choć i wówczas ratunek byłby jedynie kwestią szczęśliwego zbiegu okoliczności. Obecnie jednak nie mogliśmy liczyć nawet na to.

— Dokąd teraz? — spytałem, składając materiał. — Dokąd...? — powtórzyłem. — I po co? — dodałem w myślach.

Eet ponownie wspiął się na zniszczoną kapsułę. Pokręcił głową. Jego nozdrza poruszały się szybko, jakby chciał wyczuć dalszą drogę. Jeśli chodzi o mnie, nie wiedziałem, w którą stronę zwrócić się w tej głuszy. Mogliśmy tułać się tu aż do śmierci i nigdy nie znaleźć właściwej drogi.

— Woda — zaczął — rzeka... jezioro... Jeśli uda nam się odszukać...

Rzeka oznaczała nowe możliwości. Jednak dokąd mogły nas one zaprowadzić? A przede wszystkim jak tu znaleźć rzekę? Nagle olśniło mnie.

— Ścieżka wydeptana przez zwierzęta!

Z pewnością stworzenia duże na tyle, aby utorować sobie drogę w buszu, potrzebowały wody. I prawdopodobnie ścieżka, którą widzieliśmy, prowadziła do wodopoju.

Eet podbiegł do mnie wzdłuż zniszczonej kapsuły.

— Słuszna uwaga. — Zeskoczył ze statku wprost na moje ramiona, prawie mnie przy tym przewracając. — Na lewo... Nie, bardziej w tę stronę — łapą wskazał mi kierunek.

Ścieżka pokazywana przez niego biegła bardziej na lewo od tej, którą sam wydeptałem.

Gdy oddaliliśmy się nieco od miejsca upadku kapsuły, obejrzałem się za siebie. Choć spoczywający na mych barkach Eet zasłaniał mi część widoku, nie uszło mojej uwagi, że zostawiliśmy po sobie bardzo wyraźne ślady. Byle kto mógł nas wytropić. A już na pewno nie będzie miał z tym problemów człekokształtny, uzbrojony w maczugę łowca. Ta dziura w poszyciu z pewnością przyciągnie jego uwagę. A stąd będzie mógł bez trudu ruszyć naszym tropem.

— Splot wydarzeń, na który nie mamy wpływu. Musimy zachować czujność — stwierdził Eet.

On sam z pewnością pozostawał czujny przez cały czas. Wiercił się okropnie, co nie bardzo mi się podobało. Ponieważ był coraz cięższy, bałem się, że w jakimś momencie stracę równowagę. Brnąłem jednak przed siebie, wycinając drogę nożem, który Eet wyciągnął z kapsuły.

Gdyby nie Eet, droga byłaby o wiele bardziej męcząca. Musiałbym co chwila omijać splątane pędy winorośli. Jednak mój towarzysz zdawał się wiedzieć, dokąd zmierzamy. Co jakiś czas, gdy przystawałem, on czujnie łapał wszelkie zapachy i mówił mi, którędy należało iść dalej. W pewnym momencie omal nie wpadłem do niewielkiego wgłębienia. Biegła nim ścieżka wydeptana przez zwierzynę. Najwyraźniej coś lub ktoś często jej używał. Wszędzie pełno było śladów kopyt, racic i łap, które mieszały się i nakładały na siebie.

Wkrótce dotarliśmy do kolejnej polanki. Powstała dzięki temu, że ogromne drzewo zakończyło tu swój żywot. Przewróciło się i pociągnęło za sobą masę innych krzewów i roślin, tym samym robiąc miejsce dla następnych, które utworzyły gęsty dywan. Dookoła widać było kwiaty o szerokich płatkach i głębokich kielichach. Nagle z jednego z kielichów wystrzeliła cienka, zielona witka. Oplotła się wkoło skrzydlatego stworzonka, które przysiadło na moment na jednym z płatków, i wciągnęła wciąż żywą ofiarę do swego wnętrza, płatki kwiatu miały świetliście żółty kolor, gdzieś tam przeplatający się z intensywną zielenią. Cała roślina wydzielała opary tak smrodliwe, że z obrzydzeniem odwróciłem twarz.

Nasza ścieżka nie przecinała polanki. Znikała w buszu niedaleko miejsca, w którym teraz wyszliśmy. Tuż po ponownym wejściu w las znalazłem ślad; wyraźnie świadczył, że nie byliśmy jedynymi użytkownikami tej drogi.

Przy ścieżce zobaczyłem kępę wysokich łodyg, które ktoś ogołocił z liści. Tylko na czubkach widać było maleńkie, ciemnoczerwone odrosty. Z dwu łodyg wciąż jeszcze coś ciekło. Liście musiano usunąć całkiem niedawno. Kucnąłem i przyjrzałem się im z bliska. Nie miałem wątpliwości: nie zostały oderwane, tylko odcięte. Na próbę podciąłem kilka i z miejsc, w których zrobiłem nacięcie, popłynęła ta sama substancja.

— Ryby...

— Co...?

— Cicho! — szorstko uciął Eet. — Tak... ryby. Bądź ostrożny. Nie mogę odczytać zbyt dużo w jego myślach. To bardzo prymitywny umysł. Procesy myślowe są znacznie spowolnione. Myśli głównie o jedzeniu. Idzie w stronę wody. Chce łowić ryby.

— To ten z maczugą?

— Jeśli nie żyją tu dwa spokrewnione gatunki, to może być on albo jemu podobny. Myślę, że często używa tej drogi. Porusza się po niej jak ktoś, kto czuje się tu bardzo pewnie i wie, że nic mu nie grozi.

Ja czułem się wprost przeciwnie. Nagle gdzieś w pobliżu rozległ się głośny trzask. Odruchowo chwyciłem Eeta i rzuciłem się w stronę najbliższego drzewa. Tam, wsparty plecami o pień, z nożem w ręku, czekałem na rozwój wydarzeń. Pole widzenia miałem dość ograniczone. Pnącza winorośli i masywne pnie przesłaniały wszystko. Staralem się jednak wyteżyc słuch.

Nic się nie poruszyło. Przyszło mi na myśl, że po prostu jedno z tych olbrzymich drzew, które korzeniami sięgały chyba do wnętrza tego świata, przewróciło się. Samo...? Przecież żywot tych drzew kiedyś wreszcie dobiegał kresu. Gdy umierały i zaczynały gnić, przytłaczał je ciężar pnączy i roślin. Musiały więc w końcu upaść. Być może to właśnie stało się z drzewem, które niedawno minąłem. Co jednak, jeśli to, wybrane teraz przeze mnie na kryjówkę, będzie i następne? Odsunąłem się od niego nie mniej gwałtownie, niż przed chwilą do niego przywarłem.

Nie wiem, jak można przekazać w myślach śmiech, ale taką wiadomość dostałem właśnie od Eeta. Jego towarzystwo coraz mniej mi się podobało.

Jakby ukarany za tę myśl, potknąłem się o jeden z wystających korzeni i bezwładnie, niczym stare, zmurszałe drzewo, runąłem na ziemię. Eet w myślach przekazał mi swą irytację. Wbiła się w mój umysł z taką siłą, że odczułem prawie fizyczny ból. Mój towarzysz, gdy upadałem, błyskawicznie zeskoczył z moich ramion i przysiadł na ziemi tuż przede mną. Spojrzałem na niego. Siedział z wyszczerzonymi zębami i patrzył na mnie z wyrazem głębokiego niesmaku.

— Skoro już musisz łazić tak bez celu, to chociaż patrz pod nogi. Poza tym nie wiem, po co ci to niewygodne okrycie?

Znów miał rację. Spróbowałem usiąść. Czułem, jak skafander przylepił mi się do spoconego ciała. Tam, gdzie nie mogłem się podrapać, skóra swędziała mnie niemiłosiernie. Czułem, że nawet kilkudniowa kąpiel nie wypędziłaby zapachu, jaki teraz rozsiewałem. Jednak kurczowo trzymałem się kombinezonu, niczym skorupiak, który nie chce porzucić pancerza chroniącego go przed nieznanym. Wiedziałem, że skafander nie nadawał się już do użytku w kosmosie, bo miał dziury i uszkodzenia w wielu miejscach. Poza tym buty były zbyt ciężkie na takie warunki i ciągle grzęzłem przez nie w błocie. Uprząż, z różnymi kieszeniami i schowkami, mogła się jeszcze przydać, ale skafander — Eet miał znowu rację — był całkiem zbyteczny. A jednak odpinałem klamry i guziki z niechęcią, jakby kurczowo trzymając się tej ostatniej i jedynej osłony.

Po zdjęciu kombinezonu poczułem ulgę. Przyniósł ją świeży powiew. Wreszcie mogłem swobodniej odetchnąć. Gdy na nowo podjęliśmy wędrówkę, szło mi się o wiele lepiej. Na plecach miałem tylko niewielki pakunek, ręce wolne, a ślizgałem się i potykałem coraz rzadziej. Twarde wkładki wyjęte z butów skafandra chroniły stopy przed błotem, a jednocześnie były lżejsze, dzięki czemu chodzenie nie nastroczało mi już takich trudności. Marzyłem teraz o kąpeli w jakimś strumieniu lub jeziorze. Wiedziałem jednak, że czystą głupotą byłoby zanurzyć się tutaj w wodzie. Chyba że wcześniej upewniłbym się, że nie ma w pobliżu stworzeń, które moją kąpiel potraktowałyby jako wrogą napaść na ich terytorium.

— Woda — oznajmił Eet. Niespokojnie kiwał głową. — Woda... dużo wody... i obca forma życia...

Czułem różne zapachy, których pochodzenia nie potrafiłem określić. Po informacji Eeta zacząłem iść nieco wolniej. Grunt pod nogami nie był już taki twardy. Widniały w nim wyraźnie i głęboko odcisnięte ślady. Porównałem je z moimi. Były większe, ostro zakończone i przypominały kształtem ostry ząb lub klin.

Trudno mnie nazwać dobrym tropicielem. Nie znałem się na odczytywaniu śladów. I choć odwiedziłem różne, niedawno odkryte światy, to zawsze przebywałem tam w wioskach lub portach. Nie znałem więc puszczy i buszu.

Wiedziałem jednak na pewno, że taki ślad, wyraźny i mocno odcisnięty w mule, mogło zostawić tylko duże i ciężkie zwierzę.

— Woda... — powtórzył Eet.

Niepotrzebnie. Bliskość wody widać było na każdym kroku. Ślady na ścieżce zaczęły się zamazywać. Grunt stawał się coraz bardziej wilgotny. Gdzieś widziałem grudy twardej, zlepionej ziemi. Przeskakiwałem z jednej na drugą tam, gdzie było to możliwe. Szedłem dalej. W niedługim czasie ziemię przykryła cienka warstwa wody, z której wystawały rośliny i drzewa. Wyglądało na to, że kraina ta została zalana dopiero niedawno i teraz woda powoli opadała i parowała.

Mijaliśmy kałuże wypełnione wodą i mułem. Wszystko dookoła cuchnęło stęchlizną i zgnilizną. Przeszliśmy obok szkieletu jakiegoś zwierzęcia, który utkwiał w pnączach winorośli. Biała czaszka szczyrzyła do nas swe zębiska.

Stopniowo kałuże zmieniały się w niewielkie bajora, a te łączyły się w jeszcze większe zbiorniki. Duże drzewa o podmytych korzeniach pochylały się niebezpiecznie. Mniejsze, już przewracane, pływały z korzeniami na wierzchu.

— Uwaga! — ostrzegł Eet, znów niepotrzebnie.

Widocznie natłok rozmaitych zapachów tak przytępił mu zmysły, że zauważył i wyczuł istotę znajdującą się przed nami w tym samym momencie co ja.

Na pochylonym pniu drzewa, przy największym z bajor, czaił się humanoidalny stwór. W świetle nietrudno go było dostrzec. Dookoła głowy, na ramionach i na nogach pasmami rosła mu szpeciniasta sierść. Podobnie z przodu, na torsie, widać było trzy schodzące w dół i porośnięte włosem pasma.

Na biodrach nosił coś w rodzaju przepaski z frędzlami. Na szyi miał zawieszony rzemyk, na który nawleczono na przemian zielone bryłki i czerwone walce. Na jednej z gałęzi leżała toporna maczuga podczas gdy jej właściciel wydawał się niezmiernie czymś pochłonięty.

Tubylec siedział nad wodą. W tylnych łapach trzymał zrobioną z łądygi pętlę z rączką. Ścisnął ją mocno masywnymi pazurami. W jego rękach zobaczyłem rozwidlający się patyk, na którym ciskało się i wyginało wściekle coś czarnego. Nie mogłem dostrzec, co to takiego.

Dramatyczna walka tej istoty na nic się jednak nie zdała. Tubylec wprawnym ruchem przeciągnął ją wzdłuż pętli. Z ciała stworzenia wychodziła cienka nić, którą myśliwy oplótł pętlę, tworząc z niej sieć. Wyglądał na zadowolonego. Gwałtownym ruchem wrzucił

rozwidlający się patyk i zdobycz do wody. Zniknęły pod powierzchnią i nie pojawiły się więcej.

Tubylec wstał, trzymając w ręku sieć. Był o głowę wyższy ode mnie. I choć ramiona i nogi miał raczej szczupłe, to jednak masywny korpus świadczył o jego sile. Twarz niezbyt przypominała ludzką. Przywodziła na myśl raczej maski demonów, które widziałem na Tanth.

Oczu nie było prawie widać spod nadzwyczaj bujnych brwi. Nos przypominał grubą tubę i poruszał się szybko w górę, w dół i na boki. Poniżej dostrzegłem usta, których linie podkreślały dwa białe wystające kły. Człekokształtny nie miał brody. Luźne fałdy skóry zwisały mu spod dolnej wargi, łącząc się bezpośrednio z gardłem.

Każdy podróżnik przyzwyczajony był do spotkań z dziwnymi i odmiennymi rasami. Znani byli jaszczurowaci Zakathanie, Trystianie spokrewnieni z ptakami czy też inni, przypominający swym wyglądem płazy lub psy. Jednak twarz tego humanoida była ohydna, przynajmniej dla mnie. Poczułem do niego niechęć.

Tubylec przeszedł na drugą stronę drzewa. Ugięło się pod nim, więc stapał ostrożnie, zanim stanął na nim całym ciężarem. Trzymając sieć w lewej ręce położył się na pniu, tuż nad wodą, i wpatrywał się intensywnie w jej powierzchnię.

Zamarłem w bezruchu. Gdybym chciał teraz ominąć jezioro, znalazłbym się w polu widzenia rybaka, a tego wolałem uniknąć. Eet również wnikliwie obserwował łowcę. Tubylec szybkim ruchem zanurzył w wodzie sieć, by po chwili wyciągnąć ją ponad powierzchnię. Wewnątrz dostrzegłem jakieś pokryte łuskami zwierzę. Długością dorównywało prawdopodobnie mojemu ramieniu.

Łowca szybko wyplątał zdobycz z sieci i mocno uderzył nią o konar. Gdy zwierzę znieruchomiało, przywiązał je sobie do przepaski na biodrach.

— Kieruj się na prawo... — powiedział Eet.

Rybak był leworęczny i na tę stronę zwracał większą uwagę. Mój kompan znowu miał rację. Ruszyłem powoli, kryjąc się za krzakami, choć nie czułem się pod tą ochroną zbyt bezpiecznie. Bałem się, że ugrzęznę w błocie. Wtedy stanowiłbym wyjątkowo łatwą zdobycz. Mój nóż był ostry, ale zasięg ramion tubylca zdawał się większy od mojego. Poza tym przeciwnik doskonale znał teren. Brnięcie dalej w tę bagnistą krainę i zgubienie się tutaj byłoby czystą głupotą. Powiedziałem o tym Eetowi.

— Zdaje się, że to nie jest prawdziwe bagno — zauważył. — Wiele znaków dookoła wskazuje, że przeszła tędy powódź. A powódź wywołać może tylko rzeka...

— A do czego potrzebna nam rzeka...? Tutaj...

— Łatwiej iść wzdłuż rzeki niż ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta. Poza tym nad rzekami łatwiej o osiedla ludzkie. Nazywasz siebie kupcem i nie wiesz tak oczywistej rzeczy? Jeśli mieszka tu jakieś cywilizowane plemię lub od czasu do czasu lądują tutaj statki kupieckie, to ślady tego możemy znaleźć tylko w pobliżu rzeki. Szczególnie w miejscu, gdzie wpada do morza.

— Zdziwiasz mnie swoją wiedzą — zauważyłem. — Z pewnością nie wysłałeś jej z mlekiem Valcyr...

Znów dał mi odczuć swe rozdrażnienie.

— Gdy zachodzi konieczność, trzeba się uczyć. Wiedza jest jak ogromny sklep, w którym nigdy nie brakuje towarów. Najlepszą wiedzę o handlu i kupcach zdobywa się na statkach kupieckich, takich jak „Vestris”. Jej załoga to urodzeni handlarze, z ogromnym doświadczeniem...

— Musiałeś poświęcić sporo czasu na czytanie w ich umysłach — przerwałem mu. — Może więc wiesz, dlaczego zabrali mnie z Tanth?

Nie spodziewałem się odpowiedzi, ale on, ku memu zdziwieniu, udzielił jej.

— Zapłacono im za to. Był jakiś plan... nie znam szczegółów, bo i oni ich nie znali. Coś poszło nie tak. Ktoś skontaktował się z nimi i zapłacił im, żeby cię wywieźli i dostarczyli do Gwiezdných Wrót...

— Gwiezdne Wrota! Przecież to tylko legenda!

Gdyby Eet umiał prychać, prawdopodobnie dźwięk, który wydobył z siebie teraz, można by tak właśnie nazwać.

— Ta legenda musi być oparta na faktach, skoro mieli cię zabrać. Najpierw jednak chcieli zaliczyć swoją trasę według planu. Gdy zachorowałeś, stwierdzili, że nie mogą ryzykować. Chcieli pozbyć się ciebie, żebyś nie zaraził reszty. Nawet nie dolecieliby do Gwiezdných Wrót. Zamiast tego powiadomiliby zleceniodawców o zmianie planu.

— Jesteś prawdziwą kopalnią wiadomości, Eet. Ale co kryje się za tym wszystkim? Kto to zaplanował?

— Kupcy znali tylko pośrednika. Nazywał się Urdik i nie pochodził z Tanth. Po co był komuś potrzebny, tego nie wiedzieli.

— Zastanawiam się...

— Pierścień...

— Co!?! — włożyłem rękę do kieszeni, w której go trzymałem. Wiedzieli o nim?

— Nie sądzę. Chcieli czegoś, co albo ty, albo Vondar mieliście przy sobie. To coś bardzo cennego, czego szukali już od długiego czasu. Nie zaprzeczysz teraz, że pierścień to najcenniejsza rzecz, jaka ci została?

— Racja! — Mocno ścisnąłem metalowy przedmiot. Zdziwiony, spojrzałem w głąb kieszeni. Pierścień nagrzewał się i poruszał w mojej dłoni. Wyszliśmy na otwartą przestrzeń. I choć było już jasno, mógłbym przysiąc, że wydawał słaby blask.

— Znowu ożył!

— Użyj go jako przewodnika! — ponaglił mnie Eet.

Wyplątałem pierścień z fałd kieszeni i wsunąłem na palec. Był tak duży, że musiałem zacisnąć palce, żeby nie spadł. Ręka, kierowana wbrew mojej woli, wysunęła się do przodu i

wskazała mi drogę na prawo i dalej przed siebie. Po raz kolejny pierścień użył mojego ramienia jako sygnalizatora. Ruszyłem w stronę, którą mi wskazał.

Rozdział dziewiąty

— Ktoś nas śledzi — powiedział Eet.

— Rybak?

— Albo ktoś do niego podobny. Jest ostrożny. Czegoś się boi...

— Czego? — zapytałem sucho. — Tym nożem nie zrobię mu krzywdy. Przynajmniej nie z daleka. Nie mam też zamiaru stawać z nim twarzą w twarz, jak jakiś korkosański gladiator. Nie jestem wojownikiem, tylko kupcem.

Eet prawie nie zwrócił uwagi na to, co mówiłem.

— Boi się „śmierci z daleka”. Widział już kiedyś coś takiego albo słyszał o tym.

„Śmierć z daleka”? To mogło oznaczać praktycznie wszystko — rzuconą włócznię, wystrzelony z procy kamień lub promień lasera, zależnie od cywilizacji, z którą zetknął się tubylec czy jego krewni.

— No właśnie — podjął Eet moje rozważania. — Ale... — wyczułem jakieś wahanie — to wszystko, co mogę odczytać. Boi się i ostrożnie idzie po naszych śladach.

Skryliśmy się między dwoma pochylonymi drzewami, wśród listowia i gałęzi naniesionych przez wodę. Zjedliśmy kilka nasion i popiliśmy je skąpo. Choć były pożywne, tęskniłem za jakimś urozmaiceniem, za prawdziwym jedzeniem. Mieliśmy jednak tylko to i musieliśmy oszczędzać skromne zapasy. Nigdzie bowiem dookoła nie widziałem żadnych strąków z nasionami. Żułem je powoli, cały czas obserwując ścieżkę za nami.

W końcu go zobaczyłem. Przyklęknął na jedno kolano, głową niemal dotykając ścieżki. Z dużym, mięsistym nosem przy ziemi wachał nasze ślady. Jeśli to nie nasz rybak, to musiał być jego bratem bliźniakiem, tak bardzo przypominał tamtego.

Po chwili przestał wachać. Przysiadł na piętach, uniósł głowę i zaczął rozglądać się dookoła. Byłem prawie pewien, że za moment spojrzy na nas. Stałem z nożem w ręce, czekając na reakcję tubylca.

Jego wzrok jednak nie zatrzymał się na nas. Może nie chciał nas spłoszyć i zdradzić, że wie, gdzie jesteśmy. Czekałem, aż wstanie i albo zaatakuje nas bezpośrednio, albo zniknie w buszu, okrąży i przygotuje zasadzkę.

— On jeszcze nie wie. Wciąż szuka... — powiedział Eet.

— Ale jeśli potrafi wywachać nas po śladach, to jakim cudem nie może wyczuć, gdzie jesteśmy, skoro znajdujemy się teraz tak blisko niego?

— Nie wiem. Wiem tylko, że wciąż szuka. Poza tym boi się. Nie podoba mu się...

— Co? — ponagliłem Eeta, gdy przerwał.

— Nie mogę odczytać. On bardziej czuje niż myśli. Czytać można jedynie myśli i niesprecyzowane uczucia. Jednak z umysłem takim jak jego, stykam się po raz pierwszy. Nie mogę wnikać głębiej.

Mimo że moje ślady wiodły dokładnie do miejsca, gdzie się skryliśmy, włochaty stwór nie posunął się ani o krok. Nie wiedziałem, czy mogliśmy opuścić naszą kryjówkę bez zwrócenia jego uwagi.

Dwa drzewa pokaźnych rozmiarów, choć nie tak olbrzymie, jak te w lesie, przewróciły się, splatając się koronami. Znajdowaliśmy się teraz w miejscu, w którym łączyły się ich gałęzie. Nieco dalej, po drugiej stronie tej naturalnej zasłony, siedział włochacz.

Gałęzie obu drzew były bezlistne, wyblakłe, ale gęsto splątane. Pierścień ciągnął mnie w ich stronę, jakby chciał, żebym przedostał się przez tę gęstwinę. Pochyliłem się i zacząłem odgarniać gałęzie. Eet pomagał mi w miarę możliwości. Pracowaliśmy powoli, co chwilę lustrując otwartą przestrzeń między nami a tubylcem. Chociaż na pewno było nas słychać, mimo że staraliśmy się obaj poruszać bezszelestnie, to, ku memu zdziwieniu, włochacz nie posunął się ani o krok.

Nagle przeszył mnie dreszcz niepokoju. Może nie był sam, czekał na posiłki, by później zaatakować?

— Słusznie. — Uwaga Eeta wcale mnie nie pocieszyła. — Idzie tu jeszcze jeden, może dwa...

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Powiedziałbym, gdyby było to konieczne. Po co siać panikę, skoro teraz musimy myśleć wyjątkowo trzeźwo? Tamci jeszcze tu nie dotarli. Szkoda tylko, że dzień już się kończy. Im, w przeciwieństwie do nas, nie robi to żadnej różnicy.

Nie wypowiedziałem głośno swych myśli. I tak mógł je odczytać sam.

— Czy przed nami też jest kilku włochatych?

Siłą woli opanowałem gniew, zadając to pytanie.

— Nie w odległości, z której mogę czytać w czyichś myślach. Nie podoba im się kierunek, w którym zmierzamy. Ten tutaj nie czeka na swych towarzyszy ze strachu przed nami. Boi się tego, dokąd idziemy. Im dłużej czeka, tym jego strach staje się większy.

— No... to chodźmy jeszcze dalej...

Już nie byłem tak ostrożny jak poprzednio. Zapalczywie ciąłem teraz gałęzie i pnącza, by jak najszybciej przedrzeć się przez gęstą zasłonę.

— Słusznie — odparł Eet. — Zakładając oczywiście, że nie wpakujemy się w coś gorszego.

Nic nie powiedziałem. Miałem tylko nadzieję, że Eet odczyta moje uczucia i poczuje się choć trochę dotknięty. Przedarliśmy się w końcu przez splątane drzewa. Dalej widać było

więcej zamulonych bajerek i powalonych pni. Dzięki tym ostatnim mogliśmy poruszać się dosyć szybko. Wiedziałem, że na razie udało nam się uciec. Włochacz dysponował tylko pałąką, której nie mógł użyć na dystans.

Z Eetem na ramionach przeskakiwałem z pnia na pień. Biegłem zawsze w kierunku, który wskazywał mi pierścień. Miałem cichą nadzieję, że podobnie jak w kosmosie, zaprowadzi nas do jakiejś budowli, statku lub osiedla stworzonego przez tych, którzy mieli z nim coś wspólnego. Jednak zarówno wiek opuszczonego statku, jak i pierścienia wskazywał, że nie znajdę tam i tak nikogo żywego.

Woda wymyła nie tylko większe drzewa, ale i drobną roślinność. Było tu teraz o wiele jaśniej niż w lesie. Wreszcie mogłem spojrzeć w niebo.

Było zachmurzone i nigdzie nie widziałem słońca, choć wciąż panował straszny skwar. W wilgotnym powietrzu aż roilo się od owadów. Bez przerwy musiałem odganiać je sprzed oczu. Jednak żaden z nich ani razu mnie nie ukąsił. Widocznie byłem dla nich zbyt obcy.

Nigdzie nie widziałem śladów pościgu. I choć Eet milczał przez dłuższy czas, wiedziałem, że gdyby coś nam groziło, powiedziałby od razu mi o tym. Zacząłem do pewnego stopnia na nim polegać, choć udzielał wykrętnych odpowiedzi, co mnie nieco niepokoiło.

Bajora zaczęły znowu łączyć się w większe stawy i musiałem co chwilę zbaczać z kierunku wskazywanym przez pierścień. Nie miałem ochoty skąpać się w tej zamulonej wodzie, która mogła kryć każde niebezpieczeństwo. Nie wiadomo, co czaiło się pod jej powierzchnią. To, że moja krew nie smakowała tutejszym owadom, nie znaczyło, że pogardzą mną inne formy życia.

Nie miałem pojęcia, ile czasu na tej planecie trwał dzień, ale wydawało mi się, iż nie tylko chmury sprawiały, że stawało się coraz bardziej ponuro. Zbliżał się wieczór. Musieliśmy szybko znaleźć jakąś w miarę bezpieczną kryjówkę. Jeśli tubylcy rzeczywiście prowadzili zarówno nocny, jak i dzienny tryb życia, po zmroku przewaga była po ich stronie.

Pierścień kierował mnie teraz mocno na lewo, prosto w zalany rejon. Musiałem jednak omijać wodę i zboczyłem bardziej na prawo. Zdjąłem klejnot i schowałem do kieszeni. Siła, z jaką mnie ciągnął, stała się tak duża, iż bałem się, że stracę równowagę i wpadnę do jednego z bajor.

Wokoło widziałem wiele śladów wskazujących na to, że jeszcze niedawno staw, który mijiałem, był dużo większy. Cały czas woda uchodziła z niego w miejscu, do którego ciągnął mnie pierścień. Czułem zmęczenie. Co chwilę też pytałem Eeta, co z pościgiem. Zapewniał mnie niezmiennie, że na razie wszystko w porządku.

Ściemniło się już znacznie, a ja wciąż nie widziałem dobrego miejsca na nocleg. Wszędzie dookoła pełno było śladów, które pozostawić musiały zwierzęta sporych rozmiarów. I każdy normalny człowiek zastanowiłby się dwa razy, zanim rozbiłby tu obóz. Innymi słowy, to miejsce nie nadawało się na spoczynek.

Przeszedłem obok pierwszego wzniesienia, w ogóle nie zwracając na nie uwagi, tak było pokryte mułem i szlamem. Dopiero gdy wdrapałem się na kolejne, żeby zobaczyć, co znajdowało się przed nami, zorientowałem się, że wszystkie nasypy położone były w jednej linii. Nie mogło to być ani dziełem natury, ani przypadku.

Pośliznąłem się i zacząłem zjeżdżać w dół po śliskiej powierzchni. Próbowałem wbić nóż i w ten sposób się zatrzymać, ale i on ześliznął się, wydając metaliczny odgłos i zdrapując sporą łachę mułu.

To, co leżało pod warstwą błota, nie było szorstką skałą ani chropowatym kamieniem. Pod spodem znalazłem gładką powierzchnię, którą ktoś musiał wypolerować. Przyjrzałem się bliżej mojemu znalezisku i doszedłem do wniosku, że tak naprawdę to nie wiem, czy to w ogóle jest skała. Powierzchnia miała połysk, którego nie mógł mieć żaden kamień. Gdzieś tam znalazłem zadrapania i pęknięcia.

Całość miała przytłumiony, zielony kolor, tu i ówdzie przebijał jednak jaśniejszy odcień. Być może przykrywał ją kiedyś jakiś inny materiał.

Pagórki biegły w stronę, w którą kierował mnie pierścień. Ciągnęły się w dół jeziora, częściowo lub całkowicie zanurzając się w wodzie.

Szedłem ich tropem i wypatrywałem jakichkolwiek innych śladów. W końcu natknąłem się na linię bloków, która ułożona była prostopadle do drogi znikającej w jeziorze. Z całą pewnością były to pozostałości czegoś bardzo dużego i bardzo starego. Mogły więc doprowadzić nas do budynku lub ruin, gdzie znaleźlibyśmy schronienie.

— Słusznie — przytaknął Eet. — Musimy się pośpieszyć. Do nocy już niedaleko, a poza tym chyba zbliża się burza. Jeśli poziom wody w jeziorze podniesie się...

Nie musiał kończyć. Przeskakiwałem z jednego bloku na drugi, nasłuchując odgłosów nadchodzącej nawałnicy, jeśli w ogóle burzom na tej planecie towarzyszyły gromy. Bałem się, że zaraz zacznie padać. Wiatr wzmagał się, niosąc ze sobą odległy skowyt. Zatrzymałem się przestraszony.

— To nie jest głos żadnego żywego stworzenia — uspokoił mnie Eet. — To tylko dźwięk — dodał. Jego nozdrza pracowały intensywnie, jak u jednego z włochaczy.

Bloki łączyły się teraz. Zszedłem na dół, by iść wzdłuż ściany, którą tworzyły. Mur stawał się coraz potężniejszy i wkrótce przewyższył mnie. Zbyt wiele było tu ocienionych miejsc. Skierowałem się bardziej ku otwartej przestrzeni.

Zastanawiałem się, czy wspiąć się na mur. Ale doszedłem do wniosku, że nie miało to sensu. Bloki tworzące ścianę wznosiły się na różną wysokość. Ich szczyty były poszarpane i zniszczone przez wodę i wiatr. Utrudniało to odgadnięcie ich pierwotnego kształtu.

Po tej stronie muru skutki powodzi nie rzucały się tak w oczy. Jedynie w paru miejscach zwieńczenie muru było uszkodzone, prawdopodobnie przez falę powodziową, która przedarła się tutaj na drugą stronę zapory.

Nigdzie nie widziałem drzew. Szliśmy przez otwarty teren, na którym rosły jedynie niskie krzewy. W jednym z tych miejsc, gdzie woda przedarła się na tę stronę, zobaczyłem pod warstwą mułu i szlamu zmieszanego z kawałkami muru coś przypominającego chodnik.

Widocznie wszedłem na jakąś drogę lub dziedziniec, który odgrodzony był tylko z jednej strony. Chmury zgęstniały i zrobiło się jeszcze ciemniej. Zaczął padać deszcz. Nigdzie dookoła nie widziałem miejsca, mogącego dać nam schronienie. Z trudem zwalczyłem narastające zmęczenie i przyspieszyłem kroku. Z pakunkiem na plecach i Eetem na ramionach nie było to łatwe.

Nagle ściana, wzdłuż której szedłem, skręciła w lewo, kończąc się ogrodzonym z trzech stron zaułkiem. Choć nie było dachu, zatrzymaliśmy się tutaj. Trzy ściany dawały lepszą ochronę niż otwarta przestrzeń. Poza tym mogliśmy obaj okryć się nieprzemakalnym materiałem, który niosłem na plecach. Dalsze błąkanie się w ciemnościach nie miało sensu. Przykucnąłem więc w rogu, ponieważ wydał mi się w razie czego najlepszym miejscem do obrony. Skuliliśmy się tam obaj, przykrywając się materiałem z kapsuły. Nad nami niebo było czarne i szalała burza.

Jednak nie siedzieliśmy w całkowitej ciemności. Z worka, w którym trzymałem pierścień, przebijał nikły blask. Gdy poluzowałem nieco zapięcie, z wnętrza wystrzelił niewielki promień światła. Podobnie jak poprzednio, kamień znów musiał wyczuć gdzieś w pobliżu źródło energii. Możliwe, że znajdowało się tu, w ruinach. Czyżby kapsuła celowo wylądowała na tej planecie, w miejscu, z którego być może pochodził dryfujący w przestrzeni statek? Należało brać pod uwagę taką hipotezę. Niewykluczone, że kod lotu awaryjnego kapsuły ustawiono właśnie na powrót na rodzimą planetę. Przecież porzucony statek mógł napotkać swe przeznaczenie zaraz po starcie. Możliwe też, że nieświadomie zatoczyliśmy koło, przywołując pierścień w miejsce, w którym go stworzono. Kiedy patrzyłem na mur za moimi plecami, zdałem sobie jednak sprawę, że rasa, której był dziełem, musiała zniknąć z tego świata bardzo dawno temu. Może nawet była to jedna z pierwszych cywilizacji, o których nawet Zakathanie prawie nic nie wiedzieli.

Tak czy owak, miałem przed sobą burzliwą noc, którą miałem przetrwać wśród nie wiadomo jak starych ruin nieznanego pochodzenia. I przyznam szczerze, że znam lepsze sposoby na spędzenie wolnego czasu. Jako znawca drogich kamieni odwiedziłem różne dziwne miejsca, zawsze jednak pod opieką Vondara, na którego doświadczenie i wiedzę mogłem liczyć w każdej sytuacji. Wcześniej również nie byłem sam. Miałem ojca, który nie tylko bronił mnie przed światem zewnętrznym, ale i nauczył, jak radzić sobie w trudnych chwilach.

Siedziałem tak w deszczu, wśród antycznych ruin, i starałem się zachować czujność. Jednak moje myśli same uciekały w przeszłość. Próbowałem przypomnieć sobie wszystko od momentu, gdy ojciec po raz pierwszy pokazał mi kamień nicości — tak bowiem nazwał ów pierścień, stanowiący wyzwanie dla jego wiedzy i źródło największej ciekawości.

Klejnót znaleziono w kosmosie, przy nieżywej, odzianej w skafander istocie. Być może był to jeden z członków załogi opuszczonego statku. Wiedziałem, że to pierścień stał się przyczyną późniejszej śmierci mojego ojca. Morderca szukał go w gabinecie Hywela.

Z kolei na mnie i Vondara zastawiono na Tanth pułapkę. Byłem pewien, że rytualny kołowrotek Zielonych Szat nieprzypadkowo zatrzymał się właśnie na nas. Prawdopodobnie ci, którzy uknuli tę intrygę, liczyli na to, że jako obcokrajowcy stawimy opór i zostaniemy zabici w walce. Nie przewidzieli jednak tego, że uda mi się zbiec i schronić w sanktuarium.

Po raz pierwszy zacząłem żałować kamieni ofiarowanych Ostrendowi za przewóz. Już wcześniej go przecież opłacono. Załoga „Vestris” miała więc odstawić mnie do Gwiezdných Wrót i oddać w ręce tych, którzy zapłacili za moją ucieczkę. Pytanie tylko, po co? Dlatego, że byłem synem i najlepszym uczniem Jerna, a to oznaczało, że mogę wiedzieć coś o kamieniu, którego blask przebijał się teraz przez materiał worka?

Znowu jednak jakimś cudem udało mi się zbiec... Gorączka... Prawdopodobnie złapałem chorobę na Tanth lub na tym wyludnionym świecie. Infekcja, która zaatakowała mój organizm w najbardziej odpowiednim momencie... Zdziwiająca!

— Słusznie — w sobie właściwy sposób wtrącił się Eet. — Słusznie. Tylko ty zachorowałeś... Dopiero teraz zaczyna cię to wszystko dziwić?

— Valcyr wybrała moją kabinę przed porodem... Wtedy mogło dojść...

— No właśnie...

— Ale nie mogłeś przecież... — A jeśli mógł? To, że gdy go ujrzałem po raz pierwszy, wyglądał tak bezradnie, wcale nie oznaczało, że jego umysł był równie bezbronny.

— Nareszcie zacząłeś myśleć — przytaknął mi Eet. — Już wtedy wytworzyła się między nami pewna więź. Załoga statku była ze sobą zbyt zżyta. Ja potrzebowałem kogoś z zewnątrz, kogoś, kto ofiarowałby mi ochronę i pomógł opuścić niebezpieczne dla mnie miejsce. Byłem na to zbyt słaby. Teraz miałbym z pewnością większe szanse. Wtedy jednak potrzebowałem partnera...

— Wywołałeś więc u mnie infekcję!

— Po prostu nieznacznie zmieniłem skład niektórych płynów ustrojowych. Nic groźnego, a robi wrażenie.

Powiedział to z taką satysfakcją w głosie, że przez moment miałem ochotę złapać go i cisnąć gdzieś w noc.

— Nie zrobisz tego — wtrącił, odczytując bardziej moje uczucia niż jasno sformułowaną myśl. — Nie wybrałem cię tylko dla własnej korzyści. Tak jak mówię, jest między nami pewna więź, oparta nie tylko na potrzebie pomocy. Powłoka, którą teraz mam, nie jest może najdoskonalsza. Zmodyfikowałem ją na tyle, na ile dało się to zrobić w obecnych warunkach. W przyszłości, kiedy będę miał czas i odpowiednie środki, postaram się ulepszyć ją jeszcze bardziej. Posiadam pewne zmysły, które mogą cię wesprzeć tak, jak mnie pomaga twoja siła.

Myślę, że odkryłeś już pewne, wynikające z naszej współpracy, zalety. Wciąż jednak nie jesteśmy bezpieczni. I potrzebujemy się nawzajem. Potem każdy może pójść swoją drogą.

Wszystko to zdawało się mieć jakiś sens. Jednak ciężko mi było przyznać się przed samym sobą, że kieruje mną istota, którą mógłbym rozgnieść jedną ręką. Wcześniej nie utrzymywałem bliższych kontaktów prawie z nikim. Układ między Hywelem a mną przypominał stosunek między nauczycielem i uczniem albo między kapitanem a młodszym oficerem. Vondar zaś był człowiekiem bardziej otwartym i towarzyskim niż mój ojciec, jednak i z nim dogadywałem się na tej samej zasadzie, co z ojcem. Ci dwaj ludzie byli mi najbliżsi. Wiedziałem jednak, że to oni wybrali mnie, a nie na odwrót. Teraz było podobnie. To Eet mnie przyciągnął i miałem niewielki na to wpływ. Byłem zły. Chciałem wreszcie sam decydować o swoim losie!

— Idą tu! — myślowy krzyk Eeta momentalnie ostudził mój gniew.

Od dłuższego czasu tubylcy nie dawali znaku życia. Zaczynałem już mieć nadzieję, że zostawili nas w spokoju. Gdyby osaczyli nas tutaj, schronienie zmieniłoby się w pułapkę bez wyjścia.

— Ilu i gdzie? — spytałem.

Eet miał rację. Musiałem polegać na jego zmysłach.

— Trzech... — odpowiedział. — Czują się niepewnie. Chyba boją się tego miejsca. Z drugiej jednak strony... Są głodni.

Przez moment nie załapałem, o co mu chodzi.

— To znaczy...?

— My, a raczej ty jesteś ich potencjalną ofiarą. Trudno jest czytać w tak prymitywnych umysłach. Jednak wyraźnie czuję ich głód. Jedyne strach trzyma ich z dala. Mają jakieś niemiłe wspomnienia związane z tym miejscem.

— Ale... przecież tu aż roi się od zwierzyny. Przypomniałem sobie liczne ślady, które widzieliśmy po drodze i łatwość, z jaką włochacz nad jeziorem łowił ryby.

— Słusznie. To kolejna zagadka — dlaczego nie polują na łatwiejszą zdobycz? Nie wiem. Ich umysły są zbyt obce i zbyt prymitywne, żeby dokładnie to odczytać. Czuję jednak, że emocje biorą w nich górę nad rozważą. W ciemnościach mogą być bardzo niebezpieczni.

Moja ręka odruchowo spoczęła na latarce. Jeśli przeciwnicy polowali głównie w nocy, to nagły błysk światła może oślepić ich na chwilę. Wszystko to jednak zdawało się nie mieć żadnego znaczenia. Przez własną głupotę sami zapędziliśmy się w miejsce, z którego nie było ucieczki.

— Nie jest tak źle — wtrącił Eet. — Możemy wspiąć się na mur...

— Jest zbyt wysoki jak dla mnie. Ale jeśli ty możesz, to proszę bardzo! — krzyknąłem.

— Puść to — przerwał mi Eet. — Mogę, i dzięki temu obaj będziemy bezpieczni.

Skoczył na ziemię i zaczął ciągnąć materiał w swoją stronę.

— Podnieś mnie najwyżej, jak potrafisz — rozkazał — i przytrzymaj płachtę!

Posłuchałem go. I tak nie miałem innego pomysłu. Poza tym zacząłem, do pewnego stopnia, polegać na Eecie. Uniosłem go więc i przytrzymałem nad głową. Zaczął się wspinać, a ja powoli, w miarę jak piął się w górę, podawałem mu materiał, którego koniec trzymał cały czas w pysku. Nagle Eet zatrzymał się. Zrozumiałem, że był już na szczycie.

— Przywiąż nóż do drugiego końca i puść materiał.

Miałem pozbyć się jedynej broni? Chyba oszalał! Wbrew sobie jednak przywiązałem nóż i puściłem koniec płachty. Mimo burzy słyszałem brzęk noża, który odbijał się od ściany, coraz wyżej i wyżej.

Odwróciłem się w stronę wyjścia. Choć Eet mnie nie ostrzegał, czułem, że tubylcy już przełamali swój strach, że idą już po mnie w ciemnościach. Włączyłem lampkę i spojrzałem na smugę światła.

Zobaczyłem ich. Przykucnęli przy ścianie z maczugami w rękach. Gdy jednak padło na nich światło, przymrużyli oczy i wydali z siebie cienkie, piskliwe okrzyki. Ten w środku opadł na kolana, osłaniając przed blaskiem swą brzydką twarz.

— Za tobą! — mentalny krzyk Eeta był tak donośny, że aż zadudniło mi w głowie. Poczulem coś na ramieniu. Chciałem to strząsnąć i zorientowałem się, że to nieprzemakalny materiał z kapsuły. Zacisnąłem na nim palce i mocno pociągnąłem w dół. Nie urwał się. Eet musiał go jakoś przymocować. Droga ucieczki stała przede mną otworem.

Czy miałem jednak tyle odwagi, by odwrócić się od oślepionych tubylców? Z drugiej strony, jak długo udałoby mi się utrzymać ich na odległość? Musiałem zaryzykować...

Miałem nadzieję, że materiał i umocowanie, które wymyślił Eet, wytrzymają mój ciężar. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Skoczyłem w stronę ściany, chwyciłem płachtę obiema rękami i wsparłszy się nogami o mur, zacząłem się wspinać.

Rozdział dziesiąty

Nie udało mi się jednak uciec tak łatwo. Za sobą usłyszałem krzyki, które przebiły się przez odgłosy burzy. Tuż przede mną coś uderzyło i odbiło się od ściany. Przypiętą do pasa lampkę zostawiłem włączoną i gdy wspinałem się, żeby zwiększyć dystans między napastnikami, rozsyłała na wszystkie strony promienie światła. Być może ten migający blask zmylił ich nieco. Możliwe też, że posługiwali się maczugami z mniejszą wprawą, niż to wydawało się na początku. Mimo to kolejna rzucona pałka dosięgnęła celu i ugodziła mnie w nogę z taką siłą, że omal nie wypuściłem z rąk prowizorycznej liny.

Strach dodał mi sił. Zraniona noga jednak zupełnie zdrętwiała. Piąłem się więc do góry, ciągnąc ją za sobą. Przypomniałem sobie ostre pazury tubylców i przestraszyłem się, że i oni bez trudu mogą wspiąć się do naszej nowej kryjówki.

Na szczycie muru wiatr był o wiele silniejszy niż na dole. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jaką ochronę przed burzą dawało nam nasze poprzednie schronienie. W końcu wdrapałem się na zwieńczenie muru i, aby nie zdradzać naszej pozycji, zgasilem lampkę. Byłem tak wyczerpany, że zajęło mi to dłuższą chwilę.

— W prawo i cały czas prosto — rzucił krótko Eet.

Zanim ruszyłem dalej, znalazłem drugi koniec materiału i kilka sekund minęło, nim wyciągnąłem nóż, który Eet wetknął w szczelinę w murze. Wrzuciłem broń do kieszeni upręży.

W prawo i cały czas prosto? Oślepiły mnie błyskawice. Przez moment nie wiedziałem, gdzie mam prawą, a gdzie lewą stronę. Spojrzałem w kierunku, który podpowiedział mi Eet. Droga prowadziła na drugą stronę muru. Zdziwiło mnie to, bo wiedziałem, że nie chciał schodzić ponownie na dół.

Ciągnąc za sobą bezwładną nogę, podczołgałem się w tamtą stronę, i wtedy dopiero zobaczyłem, że mur łączył się tam z kolejnym, który zakręcał ostro i biegł dokładnie w kierunku, jaki wskazał mi Eet. Szlak był trudny, nierówny i poszarpany, pełen wybrzuszeń i załomów. Dawały one jednak niewielką osłonę przed szalejącym wiatrem i deszczem.

Poruszałem się po omacku. Musiałem w pełni zaufać instynktowi Eeta. Cały czas bałem się, że za chwilę usłyszą tuż za sobą piskliwe okrzyki tubylców.

Odrętwienie w nodze powoli ustępowało. Jego miejsce zajął tępy ból. Aż zawyłem, gdy w pewnym momencie zahaczyłem nogą o wystający odcinek muru. Nie próbowałem jednak wstać. Czołgając się, czułem się bezpiecznie.

Szliśmy teraz w nieprzeniknioną ciemność, nie wiedząc, co w sobie kryła. Usłyszałem jakiś dźwięk. Nie były to jednak krzyki tubylców, lecz donośny ryk, który rozlegał się gdzieś przed nami.

Wreszcie nie wytrzymałem. Przystanąłem w niewielkim zagłębieniu i zapaliłem lampkę, żeby przyjrzeć się drodze przed nami. Mur ciągnął się jeszcze przez jakiś czas, po czym gwałtownie się urywał!

Poświeciłem na dół, wzdłuż jego prawej strony. Woda... spieniona woda z impetem uderzała o skały. Skierowałem strumień światła na lewo. Coś tam było. Przyjrzałem się temu uważnie.

Okrągłe wybrzuszenie w skale? Chyba nie, chociaż porastały je rośliny i krzewy. W jakiś sposób musiały wchłonąć światło lampy, bo, gdy poświeciłem gdzie indziej, same zapłonęły słabym blaskiem. To było coś innego, coś wygiętego. Siegało wyżej niż mur, po którym szedłem. Ciągnęło się dalej w tył i znikало gdzieś w ciemnościach, gdzie nie sięgał już promień lampki.

Fale rozbijały się o mur i obmywały ten obiekt z jednej strony. Tkwił jednak w ziemi zbyt głęboko, aby woda mogła go podmyć. Przyjrzałem się dokładnie tej stronie, która znajdowała się bliżej muru. Zastanawiałem się, czy mógłbym tam doskoczyć. Ale powierzchnia obiektu, mimo roślin i kamieni, wydawała się zbyt gładka i bałem się, że przy lądowaniu ześliznąłbym się w dół. Poza tym — stojąc na murze — nie mogłem wziąć odpowiednio długiego rozbiegu.

— Co teraz? — spytałem Eeta. — Skaczemy do wody, czy może wyrosną nam skrzydła i wzbijemy się w przestworza?

Nie odpowiedział. Przez chwilę przestraszyłem się, że zostałem sam. Może zauważył moją ociężałość i świadomy swej zwinności opuścił mnie, żeby dalszą drogę odbyć samotnie? Moje rozważania przerwała jego odpowiedź. Nie potrafiłem jednak powiedzieć, skąd wysłał mi wiadomość.

— Na lewo. Zejdź na ziemię. Woda nie sięga aż tak daleko. Statek będzie naszą kolejną kryjówką...

— Statek? — po raz kolejny włączyłem lampkę i dokładnie przyjrzałem się dziwnemu wzniesieniu. Niewykluczone, że był to statek, choć zupełnie nie przypominał...

— Wydaje ci się, że istnieje tylko jeden rodzaj? Nawet twoi ludzie mają parę wersji.

Znowu miał rację... jak zwykle. Trudno byłoby porównywać małe i zwinne promy Wolnych Kupców, przeznaczone do lądowania na planetach, z ogromnymi kolosami, których używano podczas zaludniania nowych światów i które same nigdy nie opuszczały przestrzeni kosmicznej, a pasażerów i towary zabiegano z nich lub dostarczano na nie za pomocą niewielkich promów towarowo-pasażerskich.

Zbliżyłem się do lewego krańca ścieżki prowadzącej po murze. Koniec statku znajdował się bardzo blisko ściany. Eet już tam był. Jego oczy zaświeciły, gdy padł na nie promień lampki. Spojrzałem na futro. Zdawało się nie tknięte przez deszcz. Wziąłem niewielki rozpęd i skoczyłem. Miałem nadzieję, że wyląduję w miarę stabilnie.

Gdybym miał na nogach buty z magnetycznymi podeszwami, zapewne tak by się stało. Niestety, sprawdziły się moje wcześniejsze obawy. Chociaż udało mi się doskoczyć do statku, nie mogłem chwycić się niczego na śliskiej i pochylej powierzchni i zacząłem zsuwać się w dół. Próbowałem łapać się roślin, ale były zbyt słabo zakorzenione, żeby utrzymać mój ciężar. Przy zderzeniu z ziemią boleśnie uderzyłem się w zranioną nogę. Z bólu musiałem chyba stracić przytomność. Ocknąłem się dopiero, gdy poczułem strugi deszczu płynące po głowie i twarzy.

Leżałem z nogami pod nawisem statku, jeśli to w ogóle był statek. Wczołgałem się dalej, żeby całkiem schronić się przed deszczem.

Skuliłem się pod tym niewielkim zadaszaniem, otepiały i na wpół przytomny. Nie miałem ani siły, ani ochoty na dalszą wędrówkę. Lampka zgasła i pochłonęła nas całkowita ciemność.

— Można wejść do statku...

Eet był wyraźnie poirytowany. Zakryłem dłońmi twarz i potrząsałem głową. Choć wiedziałem, że trzeba coś zrobić, nie miałem zamiaru po raz kolejny ulec jego namowom.

— Niedaleko stąd jest wejście! — powtórzył rozkazującym tonem.

Ja jednak uparcie tkwiłem w miejscu i rozglądałem się dookoła. Potworny ból w nodze nie ustępował. Miałem dosyć. To, co spotkało nas po wylądowaniu na tej planecie, wysssało ze mnie resztkę sił. Było mi już teraz wszystko jedno. Zdałem sobie sprawę, że od momentu opuszczenia „Vestris” nie miałem nawet jednej krótkiej chwili na odpoczynek.

Czułem wzmagający się głód. I chociaż wiedziałem, że w pojemniku zostało mi jeszcze parę nasion, na myśl o nich zemdlilo mnie. To nie było prawdziwe jedzenie... Świeżo upieczony, skwierczący stek albo dobrze wygotowane i zasmażone mięso z przyprawami i sosem olejowym, albo omlet z jaj truraksa polany naparem z wonnych kwiatów... To były rzeczy godne uwagi. Albo...

— Pusty żołądek podany na surowo, w brzuchach włochatych tubylców! — wtrącił gwałtownie Eet. — Przestali już węszyć koło muru, bo znaleźli przejście!

Jeszcze chwilę wcześniej nie ruszylibym się z miejsca, ale teraz słowa Eeta uruchomiły moją wyobraźnię, co podziało na mnie jak pejcz na opieszałego tragarza. Znow zacząłem się czołgać, cały czas pod osłoną statku, do miejsca, w którym czekał na mnie Eet.

Spróbowałem zapalić lampkę, ale bezskutecznie. Chyba uszkodziła się w czasie upadku. Gdzieś w górze stał Eet, znow naprowadzając mnie na właściwą drogę. Nie znalazł włazu, jedynie niewielką szczelinę w poszyciu statku. Wcisnąłem się przez nią do wnętrza. Leżałem teraz na pochylej posadzce i przyglądałem się słabemu światłu, które tam świeciło.

Blask ten emitowały rośliny podobne do tych, na które natknąłem się w lesie. Najwidoczniej poszycie statku wytrzymało sztormy i nawałnice, ale nie potrafiło powstrzymać pasożytniczych roślin. Chwasty rosły i na gołej posadzce, i na szczątkach swoich poprzedników, zanim same nie stały się pożywieniem dla kolejnego pokolenia. W ten sposób w tym opuszczonym wraku zamykało się odwieczne koło życia i śmierci. Gdy wpadłem między zielsko, łodygi łamały się, wypuszczając jakiś cuchnący pył i tumany kurzu.

Powierzchnia, na której teraz leżałem, mogła być podłogą albo jedną ze ścian tworzących korytarz. Wokół wejścia wszystko pokrywały rośliny, ale im bardziej czołgałem się w głąb statku, tym rosły rzadziej. Oparłem się o ścianę i spojrzałem za siebie. Wejście było bardzo wąskie i z pewnością tubylcy, znacznie ode mnie potężniejsi, nie dostaną się tu bez wysiłku. Poza tym będą musieli wchodzić pojedynczo. To dawało mi przewagę. Wnętrze statku stanowiło też solidne schronienie przed burzą i wiatrem, który docierał tu jedynie w postaci lekkich podmuchów.

Czy w to właśnie miejsce chciał nas przywieść pierścień? Czy jeśli przeszukam ten opuszczony statek, to i tu będzie maszynownia, a w jej wnętrzu znajdę pudło z martwymi i wypalonymi kamieniami?

Zajrzałem do worka, w którym ukryłem mego dziwnego przewodnika. Jednak blask, jakim świecił wśród bagien i bajor, teraz zniknął. Gdy wyjąłem go z zawiniątka, kamień był równie martwy jak wtedy, gdy ujrzałem go po raz pierwszy.

— Węszą dookoła...

Jedna ze świecących roślin przy szczelinie odchyliła się i na tle czarnego nieba zobaczyłem Eeta, który wygiął swój łeb w całkowicie nienaturalny sposób i łapał zapachy napływające z zewnątrz.

— Boją się. To miejsce napawa ich lękiem.

— Może po prostu sobie pójda.

Znów dopadło mnie zmęczenie. Zastanawiałem się, czy gdyby jeden z włochaczy próbował tu wejść, miałbym w ogóle siłę podnieść nóż.

— Dwóch odchodzi... — odpowiedział Eet. — Jeden został. Czeka na dole, w miejscu, z którego może obserwować to wejście. Myślę, że przygotowują coś w rodzaju oblężenia.

— Wszystko jedno...

Oczy same mi się zamykały. Pierwszy raz w życiu owładnęło mną tak ogromne zmęczenie. Zupełnie jak po jakichś prochach. Wszyscy włochacze mogliby teraz wdrzeć się do środka, a ja i tak nie zrobiłbym nic, żeby ich powstrzymać. Czułem się wykończony.

Nawet jeśli Eet próbował mnie rozbudzić, było to bezcelowe. Nie spałem jednak. Możliwe, że pył, który wydzieliły kwiaty, miał jakieś narkotyczne właściwości. Gdy ocknąłem się w końcu, prosto na twarz padało mi światło. Zamrugałem oślepiony. Przynajmniej, pomyślałem, nie zadźgali mnie w czasie snu.

Dookoła widziałem ślady po moim wtargnięciu do wnętrza statku. Kwiaty, które połamałem wchodząc, już gnily na posadzce, wydzielając przy tym ostre zapachy. Korytarz oświetlało teraz światło dzienne, a nie ich fosforyzujący blask. Zacząłem pełznąć w kierunku wyjścia. Duszący smród zgnilizny stawał się nie do wytrzymania. Jednak Eet poderwał się nagle i zastąpił mi drogę, zupełnie jakby miał tyle siły, by w razie czego mnie powstrzymać.

— Teraz jest ich już wielu... czekają...

— Włochacze?

— Tak. Wielu... Są bardzo czujni.

Wycofałem się głębiej w cień, do miejsca, w którym mniej było roślin.

— A inne wyjście... dziura?

— Są dwa wyjścia — odparł. — Jedno blisko ziemi, za wąskie dla ciebie. Nie da się go podkopać, bo przyciśnięte jest do skały. Wygląda na pozostałość po jakimś włazie. Drugie znajduje się na przeciwległym krańcu statku i też go pilnują. Są bardziej inteligentni niż myślałem.

— Nigdy nie lekceważ przeciwnika.

W dawnych czasach często słyszałem te słowa w ustach Hywela Jerna. Zbyt późno, niestety, zorientowałem się, ile było w nich prawdy.

— Nie rozumiem ich postępowania. — Eet mówił teraz mniej pewnie niż zazwyczaj. — Boją się tego miejsca. Bardzo wyraźnie czuję ich strach. A jednak z uporem i cierpliwością czekają na nasze wyjście.

— Być może podobna sytuacja zdarza się nie pierwszy raz. Powiedziałeś, że traktują mnie jak zdobycz... lub posiłek. A przecież wszędzie dookoła aż roi się od zwierzyny.

— Wśród niektórych prymitywnych plemion panuje przekonanie, że — Eet znowu przybrał swą mentorską postawę — poprzez zjedzenie istoty, przed którą odczuwa się zabobonny lęk lub podziw, można przejąć jej nadzwyczajne cechy. Może to właśnie jest przyczyna.

— Oznaczałoby to, że tubylcy już wcześniej zetknęli się z ludźmi lub istotami humanoidalnymi. — Wniosek ten rozbudził we mnie nadzieję. — Nie mogą jednak pamiętać tych, którzy zbudowali ten statek i mury dookoła niego — to wszystko jest zbyt stare. Poza tym ci włochacze są bardzo prymitywni. Nie mają pewnie zbyt dobrze rozwiniętej pamięci i mogą w niej zachowywać tylko legendy dotyczące poprzedniego pokolenia.

— Pójdź za własną radą — wtrącił Eet — i nigdy nie lekceważ przeciwnika. Nie wszystkie prymitywne istoty są takie same. Mogą mieć pamięć lepszą niż mógłbyś przypuszczać. Możliwe, że kształcą w tym celu specjalnych „zapamiętywaczy”.

Kto wie? A jeśli Eet ma rację i ci włochaci tubylcy z maczugami, mimo że bardziej przypominali zwierzęta niż ludzi, pielęgnują legendę o rasie, która kiedyś, dawno temu, zbudowała tu cywilizację i zniewoliła albo skrzywdziła w inny sposób ich protoplastów? Rasa ta wyginęła potem; niewykluczone, że z rąk przodków tych istot, które czekały na nas przed

wejściem do statku. Może tubylcy uznali mnie za jednego z dawnych panów i chcą mnie pożreć, żeby nabrać wewnętrznej siły?

— Możliwe również — wtrącił Eet — że już wcześniej lądowały tu statki z ludźmi, których ci włochacze tropili i zabijali, by „wchłonać” ich dusze.

— Tak... Wszystko to jest bardzo interesujące, tyle że nie pomoże nam wydostać się stąd ani zdobyć jedzenia i wody, które pozwoliłyby przeżyć w tej niewoli.

Mówiąc to, wyjąłem oba pojemniki. W pierwszym, tak jak się spodziewałem, było zaledwie parę nasion, zawartość drugiego jednak bardzo mnie zaskoczyła: po brzegi wypełniała go woda.

Eet wyglądał na zadowolonego.

— Deszczówka — zauważył. — Było tego wczoraj aż za dużo, żeby napełnić taki baniak.

Znów mnie zawstydził. Spróbowałem, jak smakował teraz płyn. Wciąż zalatywał trochę substancją, którą znaleźliśmy w kapsule. Wypiłem trochę, choć najchętniej połknąłbym od razu wszystko, i podałem baniak Eetowi. Nie chciał jednak pić.

— Wczoraj dosyć się napiłem. Moje ciało nie potrzebuje dużo wody. To jedna z zalet bycia małym. Z jedzeniem, niestety, nie jest już tak dobrze, chyba że...

Eet wyciągnął swą długą szyję i uważnie obserwował zwierzę, które wpełzło teraz przez szczelinę w poszyciu. Nie zdążyłem dokładnie mu się przyjrzeć, bo Eet skoczył gwałtownie do przodu i błyskawicznie zaatakował.

Miał w sobie więcej z kota, niż się do tego przyznawał. Po chwili wrócił do mnie, niosąc w pysku luźno zwisające i nieruchome już ciało.

To coś było długie i chude. Miało po trzy nogi z każdej strony. Ciało pokrywały mu łuskowate narośla, a z przypominającej koralik głowy sterczały pierzaste czułki. Eet odwrócił swą ofiarę do góry nogami.

— Mięso — powiedział.

Zemdliło mnie. Pokiwałem przecząco głową na znak, że nie podzielam jego upodobań.

— Mięso jak każde inne — naigrywał się z mojego przewrażliwienia. — Żywi się roślinami. Choć wyglądem nie przypomina zwierząt, które znasz, jego mięso jest pożywne i dla ciebie, i dla mnie.

— Pożywiaj się więc do woli — powiedziałem szybko. Im dłużej przyglądałem się owadziemu ciału, tym mniejszy miałem na nie apetyt. — Ja zostanę przy nasionach.

— Nie na długo ci ich wystarczy.

Dobijał mnie tymi celnymi uwagami.

— Może i tak, ale dopóki są, będę jadł tylko to. Odwróciłem wzrok i odczołgałem się na bok. Choć Eet jadł z dużym wdziękiem, podobnie jak inne koty, nie miałem ochoty na to patrzeć.

Znów znalazłem się w części korytarza, w której już wcześniej wyczułem pod sobą jakieś nierówności. Obmacałem je i doszedłem do wniosku, iż znalazłem drzwi i że w takim razie

statek musi leżeć na boku. Zacząłem majstrować przy zatrasku lub przy czymś, co pełniło jego rolę. Zawsze była jakaś szansa, że takie niewielkie odkrycie doprowadzi do większego; a nuż uda mi się znaleźć inne wyjście, którego nie pilnowaliby tubylcy.

Wreszcie opór zelżał, a drzwi ustąpiły z taką gwałtownością, że omal nie pociągnęły mnie za sobą i cudem tylko nie wpadłem do środka. Wewnątrz było zupełnie czarno. Miałem jednak pewność, że znalazłem jakieś przejście. Niestety, bez odrobiny światła nie zdołałem zbadać, dokąd prowadzi. Ponownie spróbowałem włączyć lampkę. Nic z tego. Spojrzałem na padające przez szczelinę wejściową światło słoneczne, ale jakim sposobem skierować je w tę stronę? Potem mój wzrok spoczął na świecących roślinach. Niektóre wciąż jeszcze nie były połamane. Choć dawały bardzo słabe światło, lepsze to, niż zupełny jego brak.

Przepelzłem obok zajętego jedzeniem Eeta. Przejście było tu tak zawałone, że nie mogłem się wyprostować. Poza tym uraz nogi też nie ułatwiał poruszania się. Wyrwałem jednak z korzeniami dwie okazałych rozmiarów rośliny i wróciłem do włazu.

Światło, które dawały, rzeczywiście było wyjątkowo słabe, ale z czasem moje oczy przyzwyczyły się do mroku i mogłem dostrzec kilka szczegółów.

Nachyliłem się nad włazem. Związałem rośliny korzeniami i opuściłem je w głąb pomieszczenia. W bladym świetle zobaczyłem, że była to całkiem spora kabina. Gdy przyjrzałem się jej, dostrzegłem wyraźne podobieństwo do wnętrza opuszczonego statku, który spotkałem w przestrzeni. Wyglądała jedynie na starszą i bardziej zniszczoną. Nie znalazłem tu niestety nic, co mogłoby nam pomóc — ani broni, ani jakichkolwiek narzędzi. Dokonałem jednak ciekawego odkrycia. Im głębiej opuszczałem rośliny, tym jaśniej świeciły. Widocznie ich blask zwiększał się wraz z natężeniem ciemności. Wiedziałem, że mogę teraz przeszukać resztę statku.

Wciąż trzymając w ręku rośliny, zacząłem dokładniej oglądać korytarz, w którym się znajdowaliśmy. Eet twierdził, że widział tu tylko dwa wyjścia. Nie mógł przecież zbadać całego wraku. Być może gdzieś znajdował się inny właz, nie zablokowany przez skały i ziemię, przez który udałoby nam się uciec.

Zostawiłem prowizoryczną lampkę przy wejściu do kabiny i wróciłem do szczeliny, by przyjrzeć się innym roślinom. Po łodygach i kształcie liści poznałem, że należały do kilku różnych odmian. Jeden typ, o długich, wąskich i rozwidlających się liściach, szczególnie nadawał się do moich celów, bo jego bulwiaste wnętrza dawało stosunkowo najmocniejsze światło. Zerwałem cztery takie rośliny. Były kruche i łatwo dawały się łamać. Powiązałem je liśćmi i niosłem w ręku, jakby to był bukiet pachnących i eleganckich kwiatów.

Eet skończył już posiłek i siedział teraz koło roślin, których użyłem poprzednio. Oblizywał łapy, czyścił futro i wąsy, jak zwykły kot.

— Korytarz przed nami się rozdwaja. W którą stronę idziemy? — spytał, zgłaszając swój udział w wyprawie.

— Gdzieś może być inny właz...

— Z całą pewnością. Zawsze jest więcej niż jeden. To co...? W prawo czy prosto?

— Prosto — powiedziałem bez zastanowienia. Nie wiedziałem, jak długo kwiaty będą płonąć słabym blaskiem. Miałem tylko nadzieję, że nie zostaniemy nagle bez światła, w całkowitych ciemnościach, uwięziem w labiryncie korytarzy.

Kiedy jednak doszliśmy do skrzyżowania, o którym mówił Eet, mój towarzysz nagle stanął, zasyczał złowrogo, uniósł do góry ogon i naprężył kark. Wyglądał teraz jak dziwna karykatura kota.

Eet zareagował tak gwałtownie na świecący ślad, który biegł po ścianie wzdłuż korytarza, z początku na wysokości kostek, później znacznie wyżej, aż sięgnął mi do ramienia. Nie dotknąłem go. Było w tym coś tak obrzydliwego, że po prostu nie mogłem. Wyglądało to tak, jakby ktoś lub coś całkiem niedawno wypisało na tej ścianie świeże ostrzeżenie, używając do tego szlamu z wysychających bajor.

— Co to? — tak bardzo polegałem już na Eecie, że zadałem to pytanie niemal odruchowo.

— Nie wiem. Jedno jest pewne, lepiej z tym czymś nie zadzierać. Skoro wybrało ciemność, niech tam pozostanie.

Wydało mi się, że jest wstrząśnięty, jak nigdy dotąd.

— Byłeś tu już wcześniej. Inaczej nie wiedziałbyś o tym bocznym korytarzu. Czy wtedy dostrzegłeś już te ślady?

— Nie! — odparł bardzo ostro. — I wcale mi się to nie podoba.

I ja nie byłem zachwycony. A im dłużej przyglądałem się dziwnym śladom, które wspinały się powoli w górę tak, że coś, co je zostawiło, mogło czaić się gdzieś nad nami... Moja wyobraźnia od razu odżyła. I już wtedy wiedziałem, że tylko w akcie ostatecznej i skrajnej desperacji zgodziłbym się zagłębić w ciemne korytarze, w których kryło się coś potwornego.

Zawróciłem. Nie obchodziło mnie, czy Eet czytał w moim umyśle owładniętym przez paniczny strach. Zresztą on też raczej o to nie dbał. Pędził teraz przed siebie, jakby i jego ogarnęło skrajne przerażenie.

Rozdział jedenasty

Gdy znaleźliśmy się już przy szczelinie wejściowej, zacząłem się zastanawiać nad zachowaniem moim i Eeta. Musiało być coś dziwnego w owych śladach, skoro obu nas tak bardzo przeraziły. Mój towarzysz podjął wątek:

— Możliwe, że istota, która zostawiła te ślady, używa strachu jako broni. Albo jest tak obcą formą, że instynktownie przeraża nas i odrzuca. Bywa, że czasem nie możemy, mimo najlepszych chęci, nawiązać kontaktu z niektórymi stworzeniami z innych światów. Tak czy owak, nie chcę chodzić wspólnymi ścieżkami z tym czymś, co pełza w mroku.

Podczołgałem się do otworu i odchyliłem cuchnące kwiaty. Na zewnątrz świeciło słońce. Z tęsknotą wpatrywałem się w jasność dnia. Należałem do gatunku, który przywykł raczej do otwartej przestrzeni i słońca, a nie do ciemnych korytarzy i mroku nocy. Jak szybko się zorientowałem, szczelina znajdowała się tuż przy ziemi, porośniętej dookoła rzadką, pożółkłą trawą. Gdzieś tam widziałem wytarte lub wypalone miejsca, zupełnie jak na lądowisku dla promów.

Przez jedną, jakże pocieszającą chwilę byłem gotów uwierzyć, że znów jesteśmy wolni i że tubylcy odeszli. Niestety, za moment dotarły do mnie, podobnie jak zeszłej nocy, te same piskliwe głosy. Słysząc je teraz było o wiele wyraźniej i głośniejsze niż w czasie burzy. Były tak niskie i piskliwe, że aż drażniły moje uszy. Rozlegały się tuż przede mną, szybko więc cofnąłem się do środka. Usłyszałem w głowie słowa Eeta:

— Są poniżej szczeliny. Czekają, aż wygna nas głód lub to coś, co czai się gdzieś w głębi statku.

— Może w końcu się znudzą. — Były to raczej płonne nadzieje, choć wiedziałem, że cechy takie, jak wytrwałość, często zależą od rozwoju intelektualnego. Rozmyślnie zaplanowane działanie mogło rozwijać cierpliwość i zastanawiałem się, na ile tubylcy są świadomi swych poczynań.

— Myślę, że oni już albo bawili się w to wcześniej, albo przynajmniej o tym słyszeli — Eet nie pozostawił mi nawet cienia nadziei. — Jest tyle okoliczności, o których nie mamy pojęcia. Na przykład...

— Na przykład... co? — ponagliłem go, gdy się zawahał.

— To kamień nas tu przywiódł, prawda? Nadal jest aktywny? Wyjąłem kamień nicości i podniosłem go do światła. Był bezbarwny i martwy. Zacząłem obracać nim na różne strony w

nadziei, że może się uaktywni. Z pewnością nie ciągnął nas w głąb statku. Gdy jednak obróciłem go w stronę opływającej statek wody, nagle wewnątrz prawie niezauważalnie coś zaiskrzyło. Niestety, drogę do miejsca, które wskazywał, zagrażał statek.

— Mam pewien pomysł. — Eet oparł łapę na moim kolanie i z bliska przyglądał się kamieniowi, zupełnie jakby pierścień wydzieliał jakiś zapach, którego ja nie potrafiłem wyczuć. — Mogę wziąć pierścień, wyjść na zewnątrz i przemknąć wzdłuż statku do miejsca, które wskazuje i w którym być może go stworzono.

Pomyślałem, że znów miał rację. Był na tyle mały i zwinny, że zdołałby przemknąć niepostrzeżenie. Ale nawet jeśliby coś odkrył, co by nam to dało...

— Każda wiedza może się kiedyś przydać — odparł.

Zaśmiałem się.

— Po co mi taka wiedza, jeżeli siedzę tu i zastanawiam się, kiedy tubylcy przyjdą, żeby mnie upiec i zjeść! Martwemu nie jest już potrzebna żadna wiedza.

Przypuszczam, że to, co pomyślałem, nie świadczyło o mnie najlepiej, jednak fakt pozostawał faktem. To ja byłem w pułapce, a nie Eet. On mógł w każdej chwili opuścić to miejsce niezauważony. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co jeszcze tu robił. A z kamieniem nicości nie zdołałbym rozstać się tak łatwo, choćby tylko na chwilę. Nie pożądałem go, jak pożąda się drogiego klejnotu. Czułem się z nim natomiast związany, chociaż ciężko by mi było opisać, w jaki sposób. Tę więź poczułem już wtedy, gdy ojciec pokazał mi go w domu rodzinnym i gdy potem zabrałem klejnot ze skrytki w gabinecie ojca.

Oddanie go Eetowi oznaczało przerwanie tej więzi. Obracałem więc teraz pierścień w ręce, wkładałem go na palec i zdejmowałem, mocując się sam ze sobą. Poza tym było coś jeszcze: za nic nie chciałem zostać tutaj zupełnie sam.

Eet milczał. Nie czułem nawet jego psychicznej obecności w mojej głowie. Być może świadomie wycofał się, wiedząc, że mam do podjęcia ważną decyzję i że powinienem rozważyć pewne sprawy w samotności. W końcu jednak przerwał ciszę:

— Pozostaje jeszcze sprawa jedzenia...

Wciąż obracałem pierścień w palcach i wpatrywałem się niewidzącym wzrokiem w kamień.

— Myślisz, że on pomoże ci je znaleźć? — spytałem z ironią w głosie.

— Nie gorzej niż ty — odparł. — Ale nie ma sensu siedzieć tu i czekać, aż padniemy z głodu.

Znów miał rację. Wiedziałem, że potrafi o siebie zadbać. Przełknąłem jednak tę gorzką uwagę.

— Weź go! — urwałem kawałek pnącza, zrobiłem z niego prowizoryczny naszyjnik, na który nawlokłem pierścień i przelożyłem Eetowi przez głowę. Gdy wieszałem mu klejnot na szyi, siadł na tylnych łapach i przednią położył na klejnocie. Zamknął oczy, jakby czegoś szukał — w jaki sposób jednak i co to było, nie wiedziałem.

— Słuszna decyzja – powiedział, wstał i skierował się do wyjścia. — Lepsza niż...

Nie kończąc zdania, zaczął przedzierać się przez pnącza przesłaniające szczelinę.

— Wciąż tu siedzą — powiedział. — Nie tylko pod statkiem, ale i wzdłuż muru. Chyba niezbyt lubią światło słoneczne, bo trzymają się raczej w cieniu. O... po tej stronie... jest rzeka! I jeszcze jeden mur. Kiedyś służył jako tama. Teraz ma wyrwy w dwóch miejscach. Za wodą jest to, czego szukał kamień!

Sprawnie wspiął się na szczyt statku. Czy i ja dałbym radę? Dotknąłem zranionej nogi i szybko cofnąłem rękę. Ból był nie do wytrzymania. Próbowałem zgiąć nogę, jednak wciąż była zbyt sztywna. Eet mógł poruszać się szybko i zwinnie, ja piąłbym się długo. Z pewnością tubylcy od razu by mnie zauważyli. Nie miałem szans we wspinaczce po pochyłej i śliskiej powierzchni statku.

— Co jest za rzeką?

— Urwiska z pieczarami i inne zrujnowane mury. Ale co... Nagle kontakt się urwał. Poczulem za to w głowie intensywny napór przemocy.

— Eet! — spróbowałem wstać. Z kwiatów znów wzbił się tuman pyłu. Dławiłem się i kaslałem. Wymachiwałem w powietrzu ręką żeby odegnać chmurę duszącego pyłu i złapać trochę świeżego powietrza.

— Eet! — krzyknąłem ponownie. Nie odpowiadał.

Podszedłem do wyjścia. Zastanawiałem się, czy może oberwał maczugą.

— Eet!

Ta cisza była nie do zniesienia. Na zewnątrz słyszałem jedynie szum wiatru i plusk wody.

I... coś jeszcze!

Jeśli chociaż raz w życiu słyszało się dźwięk wchodzącego w atmosferę statku kosmicznego, nie można już pomylić tego odgłosu z żadnym innym. Ten huk... ten ryk hamujących silników. Wrak, w którym się znajdowałem, zatrzęsł się cały jakby w odpowiedzi. Gdzieś w pobliżu lądował statek, z pewnością kierowany przez coś lub kogoś. Odskoczyłem od szczeliny. Huk był tak donośny, że skuliłem się na posadzce korytarza i zakryłem głowę rękami. Ze wszystkich stron sypały się na mnie kwiaty i pnącza. Dławiąc się ich zapachem i pyłem, spojrzałem na wejście. Na zewnątrz coś błysnęło i nawet przez ściany wraku czułem falę gorąca, która się po nim przetoczyła. Wszystko, co znajdowało się na zewnątrz, musiało spłonąć w jednej chwili. Pomyślałem o tubylcach. Może teraz miałbym szansę im uciec.

Kto mógł tu wylądować? Jakiś pionier, badający nowo odkryty świat? Czy lądowano tu już wcześniej z jakichś nieznanych nikomu powodów? Tak czy owak, gdzieś niedaleko wylądował statek. Sądząc po odgłosie silnika, nie był zbyt duży, na pewno nie większy od statków Wolnych Kupców.

Wygrzebałem się z pnączy i podpełzłem do wyjścia. Wszędzie pachniało spalenizną. Eet, nawet jeśli żył jeszcze przed lądowaniem...

— Eet!

Włożyłem w ten myślowy krzyk wszystkie siły. Wciąż jednak nikt nie odpowiadał.

Całą okolicę spowijał gęsty dym. Powietrze było tak nagrzane, że cofnąłem się z powrotem do środka. Należało zaczekać, aż trochę się ochłodzi. Może płomień silników tak podgrzał wodę w rzece, że aż zawrzała? Wierciłem się niecierpliwie. Chciałem jak najszybciej wyjść i obejrzeć statek. Znowu pojawiła się szansa, o której dawno już przestałem nawet marzyć. Mogliśmy przecież spędzić tu resztę życia... My? Wszystko wskazywało na to, że zostałem teraz sam. Nawet jeśli Eet nie zginął zaraz po wyjściu, musiał spłonąć w ogniu silników lądującego statku.

Oczekiwanie, aby powietrze ostygło nieco, a mgła i dym rozwiały się, dłużyło mi się jak godziny spędzone w sanktuarium na Tanth. Wszystko aż pchało mnie do wyjścia, gdzie być może czekało wybawienie. Jedno z najstarszych międzygalaktycznych praw mówiło bowiem, że rozbitek mógł zażądać transportu od załogi pierwszego napotkanego statku. Nie wolno mu było odmówić.

Wreszcie, choć na zewnątrz nadal było gorąco jak na stepach Arzorii, podczołgałem się do wyjścia i przecisnąłem przez szczelinę, osłaniając przy tym zranioną nogę najlepiej jak umiałem. Obok wejścia kulił się jakiś zwęglony kształt — jeden z tubylców, który nie zdążył uciec. Pokuśtykałem w przeciwną stronę.

Huk i żar zmyliły mnie. Statek nie wylądował wcale tak blisko. Płomień z jego silników oczyścił jednak powierzchnię wraku, w którym się skryłem. Dopiero teraz mogłem dokładnie ocenić jego rozmiary. Zauważyłem, że swą wielkością zaledwie dorównywał „Vestris” i z całą pewnością nie był potężniejszy od tego, na który natknąłem się w kosmosie. Być może na początku stał równie prosto jak nowo przybyły prom, jednak później jakiś kataklizm mógł przewrócić go na bok.

Skryty za przerdzewiałą konstrukcją wraku przyglądałem się teraz z daleka tamtemu statkowi. Był mniej więcej rozmiarów „Vestris”. Jednak nie widziałem na nim oznaczeń Wolnych Kupców. Nie był to też statek badawczy ani patrolowy. Po co więc miałyby tu lądować prywatna jednostka? Słyszałem wprawdzie o bogatych namiestnikach, którzy urządzali sobie okrutne łowy na nieznanych planetach, z dala od tras odwiedzanych przez patrole. Jeśli już wcześniej wylądował tu taki łowca, to nic dziwnego, że tubylcy byli wrogo nastawieni do obcych. To jednak — schowałem się głębiej w cieniu wraku — oznaczałoby kłopoty również i dla mnie. Świadkowie nielegalnych operacji stają się z reguły wyjątkowo podatni na różnego rodzaju wypadki, a o mnie i tak nikt by później nie pytał.

Prywatna jednostka musiałaby jednak być zarejestrowana. Tylko jeden rodzaj statków mógł zachować anonimowość. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego promu, ale często opowiadano o nich w portach. A z pewnością znajomi Vondara, którzy o tym wspominali, mieli ku temu powody. Cech Złodziei miał takie statki, część z nich na fałszywych papierach. Figurowały jako normalne statki handlowe, jednak gdy zaszła konieczność, mogły posłużyć

do dokonania jakiejś nielegalnej misji. Takim statkiem, jak przypuszczałem, była „Vestris”. Podobno istniały też szybkie jednostki, przewoziły towary zupełnie nieznanne, kradzione lub wykupione po zaniżonych cenach.

Ludzie, którzy ich używali, nie byli piratami, bo piractwo to w kosmosie zbyt niepewny interes. Nie zawsze udawało się też ocenić z zewnątrz wartość ładunku, który przewoził ten czy ów statek. Zajmowali się raczej łupiestwem. Po prostu grabili planety, a Gwiazdne Wrota stanowiły ich legendarną bazę. Był to mały satelita lub niewielka, dobrze ukryta i ufortyfikowana planeta, na której znaleźć mogli schronienie ludzie wyjęci spod prawa. Opowiadano o tym miejscu tak niestworzone historie, że trudno było w sporą ich część uwierzyć. Jednak, według Eeta, tam właśnie miała mnie odtransportować załoga „Vestris”.

Taka łupieżcza jednostka nie miałaby żadnych znaków, a jeśli nawet, to takie, które łatwo dawały się zmienić lub usunąć. Ale rabusie z Cechu tutaj? Niemożliwe, żeby szukali mnie. Szlak mojej ucieczki był tak zagmatwany, że już pewnie dawno uznali mnie za martwego. Poza tym nie mieli szans znaleźć mnie wśród tylu innych planet.

To oznaczało, że przylecieli tu po coś innego. Nie wolno mi było, dopóki nie upewnię się co do statku, zdradzić swej obecności przed jego załogą lub pasażerami. Choć właz wciąż był zamknięty, nie miałem pewności, czy już nie jestem obserwowany przez kamery podglądowe. Skryłem się głębiej za skrzydło wraku i zacząłem wycofywać się równie szybko, jak wcześniej gnałem, żeby obejrzeć statek.

Usłyszałem dźwięk otwieranego włazu. Powoli, niczym wielki jęzor, wysunęła się rampa. Jej koniec bezwładnie opadł na wypaloną ziemię. Znajdowała się pod pewnym kątem i miałem nadzieję, że dzięki temu załoganci nie zauważą mnie tak łatwo.

Cofnąłem się jeszcze bardziej. Chciałem uciec teraz jak najdalej od wraku, który z pewnością przyciągnąłby uwagę załogi. Niedaleko dostrzegłem nie całkiem spalone krzewy. Nie byłem jednak pewien, czy nie kryją się za nimi jacyś tubylcy.

Ludzie, którzy pojawili się na rampie, nie nosili kombinezonów. Musieli znać atmosferę planety i wiedzieli też zapewne, czego szukają. Uzbrojeni byli nie w ogluszacze, ale w normalne lasery. Gotowi więc byli nawet zabić.

Choć ubrani byli jak wszyscy załoganci, na kołnierzach i piersiach nie mieli żadnych insygniów. Kolor odzienia nie sugerował też, że są żołnierzami. Dwaj pierwsi przypominali ludzi, ale za nimi pojawił się niski osobnik o czterech rękach, zwisających luźno po obu stronach ciała. Okrągłą głowę miał zupełnie łysą. Zdawała się wyrastać prosto z jego z ramion, zupełnie jakby nie miał szyi. Tam, gdzie u człowieka znajdowały się uszy, miał dwa pierzaste wyrostki, które nasłuchując poruszały się na wszystkie strony, jak u Eeta. Wiedziałem, że z tej trójki ten jest najgroźniejszy. Nigdy nie wiadomo, jakie zdolności mógł posiadać taki mutant. Skoro jednak ludzie korzystali z jego usług, musiał być naprawdę niebezpieczny.

O powrocie do wraku nie było mowy. Znow sam wpakowałbym się w pułapkę. Musiałem zrezygnować z jego wątpliwej ochrony i skierować się w stronę krzaków nad rzeką. Zdawało mi się, że tam właśnie będę bezpieczniejszy.

Jeszcze przez chwilę obserwowałem całą trójkę. Dotarli już na koniec rampy i rozdzielili się. Dwaj załoganci kroczyli tuż za mutantem, ubezpieczając tyły. Mutant szedł w środku. Jego pierzaste uszy nie poruszały się już tak gwałtownie, tylko wskazywały jeden punkt, tuż przed nim. Mogłem teraz przyjrzeć się uważnie jego twarzy. Była bardziej podobna do ludzkiej niż wstrętne gęby tubylców. Miał krótki nos, i, choć nie zauważyłem brwi, rozstawione szeroko oczy. Poza tym nie różnił się wiele od swoich towarzyszy.

Nagle zatrzymał się, błyskawicznie wy dobył z kieszeni skafandra dwa lasery i wystrzelił w stronę pobliskich zarośli. Usłyszałem przeraźliwy krzyk i w zaroślach coś upadło, prawdopodobnie jeden z tubylców. Obaj towarzyszący mutantowi mężczyźni przyklekli z laserami gotowymi do strzału. Nie wypalili jednak czekając, jak mi się wydawało, na to, co zrobi ich kompan.

Odczołgałem się do tyłu. Cała trójka znajdowała się teraz za statkiem. Gdy zbliżyłem się do rzeki, spostrzegłem, że w kilku miejscach woda podmyła i wyróciła skalne bloki. Jeden z nich przewrócił się w stronę kolejnego muru, tworząc tym samym coś w rodzaju tamy. Być może to właśnie było przyczyną niedawnej powodzi.

Teraz jednak woda przełamała i tę zaporę, i na rzece utworzyło się coś przypominającego most. Na drugim brzegu zobaczyłem wysokie urwisko i, tak jak powiedział Eet, jakieś pieczary czy wydrążenia. U stóp klifu, w miejscu, gdzie nie dochodziła już woda, stał zniszczony budynek.

Po tej stronie statku roślinność nie została wypalona doszczętnie. Być może panowała tu większa wilgoć. W kilku miejscach widać nawet było długie i poskręcane pnącza winorośli.

— Eet? — spróbowałem po raz kolejny w nadziei, że jednak udało mu się jakoś przeżyć lądowanie statku. A może zabili go tubylcy? Uważnie przyglądałem się skałom. Chciałem sprawdzić, czy nie leży tam gdzieś jego wąż i sponiewierane ciało.

— Eet...?

Odpowiedź przyszła, jednak nie taka, jakiej się spodziewałem. Wyczułem bardziej niż usłyszałem, że ktoś przechwycił moje myślowe zawołanie. Nie mógł wprawdzie ustalić, skąd pochodziło, z pewnością wzmogło to jego czujność.

Czyżby ten mutant mógł mnie jakoś „usłyszeć”? Zdałem sobie sprawę z własnej nieostrożności. Stałem teraz chwiejnie na jednym z bloków skalnych, wypatrując miejsca, w którym mógłbym przekroczyć rzekę. Wiedziałem, że ze zranioną nogą mam na to niewielkie szanse, i zawałem się.

To mnie zdradziło. Usłyszałem za sobą czyjś ostry głos:

— Ej, ty... ani kroku dalej!

Słowa te wypowiedziano w języku międzygalaktycznym. Powoli odwróciłem się, przytrzymując się przy tym skały. Przede mną stał człowiek, jeden z tych, którzy towarzyszyli mutantowi. Wyglądał na zwykłego załoganta. Wyglądał, bo normalni załoganci z reguły nie celowali do mnie z lasera.

Zdałem sobie wtedy sprawę, że swym zachowaniem być może zaprzepąściłem ogromną szansę. Gdybym przywitał przybyszy otwarcie i z radością, jak ktoś, kto został porzucony na odległej planecie, uwierzyliby od razu. Teraz jednak mogli nabrać podejrzeń do kogoś, kto krył się przed nimi. Z drugiej strony jednak, wybiegając na przywitanie, mogłem narazić się na poważne niebezpieczeństwo. Bardzo możliwe, że przybysze nie życzyli sobie żadnych świadków swojego lądowania. W tej niejasnej sytuacji pozostało mi tylko jedno. Zacząłem udawać, że jestem ranny poważniej, niż to było w rzeczywistości.

Chwiałem się i kurczowo trzymałem skały, zupełnie jakbym miał zaraz upaść. Czekałem, aż załogant podejdzie bliżej. Miałem nadzieję, że mój opłakany wygląd będzie świadczył o moim stanie. Może mógłbym go nawet przekonać, że wydano mnie ze statku w kapsule ratunkowej, żebym nie zaraził załogi chorobą, na którą cierpiałem wcześniej. Na dowód mogłem pokazać blizny i plamy po strupach.

Mężczyzna nie podszedł zbyt blisko, mimo iż widział moje ręce i że nie miałem broni. Nie przestał mierzyć do mnie nawet przez chwilę.

— Coś ty za jeden?

Miałem zaledwie parę sekund, żeby wybrać najbezpieczniejszy scenariusz. Zasłoniłem się rękami i kuląc się pod ścianą, wrzasnąłem najbardziej piskliwym i szalonym głosem, jaki byłem w stanie z siebie wydobyć:

— Nie... nie! Nie zabijaj! Już jestem zdrowy, nie kłamię! Gorączka minęła... już wyzdrowiałem...

Zatrzymał się i spod przymkniętych powiek obserwował mnie bardzo uważnie. Wiedziałem, że musiał dostrzec plamy na mojej twarzy i rękach.

— Skąd się tu wzięłeś? — zdawało mi się, że powiedział to już nieco innym tonem. Czyżby udało mi się go przekonać, iż wyrzucono mnie ze statku i bałem się, zarażony jakąś chorobą, że każdy normalny załogant zabije mnie przy pierwszym spotkaniu?

— Statek... Nie zabijaj! Mówię ci, jestem zdrowy... gorączka minęła! Pozwól mi odejść... nie zbliżę się do ciebie... do twojego statku... Tylko pozwól mi odejść!

— Stój! Ani kroku dalej! — krzyknął ostrym głosem. Przyłożył jedną dłoń do ust i powiedział coś do ukrytego w niej mikrofonu. Nie znałem języka, którym się posługiwał, ale z tonu, jakim mówił, wywnioskowałem, że musiał rozmawiać z przełożonym. Wiedziałem, że nadszedł decydujący moment, a moje życie wisiało na włosku.

— Ej, ty... — odezwał się po chwili — idź przodem...

— Nie... pozwól mi odejść... nie chcę zarazić...

— Idziemy!

Promień lasera przeszył powietrze i uderzył w skałę tuż koło mojej ręki. Czułem jego ciepło i krzyknąłem, udając przerażenie. Wiedziałem, że takiej reakcji oczekiwał.

Uśmiechnął się szyderczo.

— Połechtano cię, co? Mam poprawić? Idziemy! Kapitan chce cię widzieć.

Bez sprzeciwu wykonałem jego rozkaz. Wolnym krokiem i przesadnie kulejąc, zmierzałem w stronę statku.

— Co...? Oberwałeś? — spytał widząc, jak się wlokę.

— Tubylcy... mają maczugi... ścigali mnie... — wymamrotałem.

— Taa... Lubią mięsko. Szczególnie takie jak ty. Spotkanie z nimi to nic miłego.

Zabrzmiało to tak, jakby dobrze wiedział, o czym mówiłem.

Kuśtykałem więc dalej. Dotarliśmy do wraku, gdzie przywitał nas mutant i drugi mężczyzna. Mutant schował już broń, zamiast tego jednak wycelował we mnie swoje śmieszne, pierzaste uszy.

Nie wiem, czy mój mentalny kontakt z Eetem zwiększył moje zdolności psi — jeśli je w ogóle miałem — ale gdy zbliżyłem się do obcego, wyczułem, że zaatakował mój umysł. Czułem, że próbował odczytać moje myśli i poniósł klęskę. Nie było między nami takiej więzi, jak między mną i Eetem. Miałem nadzieję, że nie uda mu się to i później. Zależało mi, by wiedzieli o mnie tylko to, co miałem zamiar im powiedzieć...

— Wypłoszyłeś go... — powiedział drugi załogant. — Próbował zwiać?

— Z taką nogą? Poza tym coś z nim nie tak... Zobacz, co ma na twarzy.

Pytający przyjrzał mi się uważnie. Nie był zbyt zadowolony z tego, co zobaczył. Zastanawiałem się, czy pozostałości po dziwnej i wysypce wyglądały aż tak źle. Wydawało mi się, że na rękach plamy były już mniej widoczne. Pewnie przyzwyczailem się do nich na tyle, że nie zwracały mojej uwagi.

— Lepiej się do niego za bardzo nie zbliżajcie — powiedział. — I powiedzcie o nim kapitanowi.

— Kapitan już czeka... tam na górze. Rusz się!

Na rampie stał człowiek. Ktoś popchnął mnie lufą lasera. Zatoczyłem się, mając nadzieję, że wyglądam wystarczająco żałośnie.

Rozdział dwunasty

Doszliliśmy do rampy. Kazali mi się zatrzymać i otoczyli mnie ze wszystkich stron. Broń trzymali w pogotowiu. Człowiek, który tam stał, zbliżył się o parę kroków i uważnie mi się przyglądał.

Musiał pochodzić z jednego z najstarszych światów. Po przodkach, którzy jako pierwsi skolonizowali je i nawiązali kontakt z innymi rasami, odziedziczył pewne obce cechy. Widać je było na pierwszy rzut oka. Ubrany w mundur z insygniami kapitana, szczupły, skórą miał ciemniejszą niż większość kosmicznych podróżników. Ale najdziwniejsze wrażenie sprawiały oczy i włosy, wyraźnie różniące się od ludzkich. Głowę porastała mu szczecina grubych włosów o dziwnie niebieskiej barwie. Ścięto je bardzo krótko, by mógł wygodnie nosić hełm, i dlatego sterczały sztywno na wszystkie strony. Oczy miał jasnoniebieskie i większe od ludzkich. Najdziwniejsze jednak, że posiadały dwie pary powiek: zewnętrzną, grubą i ciężką, i wewnętrzną, która była przezroczysta i przypominała cienką błonę. Podniósł obie, żeby przyjrzeć mi się dokładniej, jednak światło słoneczne musiało go drażnić, bo szybko zamknął wewnętrzne.

Przecież... ja go znałem! Nie pamiętałem, jak się nazywał, ale musiałem go już wcześniej gdzieś widzieć. Nie wiedziałem, czy i on również mnie poznał. Miałem nadzieję, że nie. To on odwiedził kiedyś sklep mojego ojca. Był jednym z tych gości, których ojciec przyjmował na zapleczu. Nie miał wtedy na sobie ani kapitańskiej tuniki, ani niczego, co świadczyłoby o jego randze. Nosił długie, sięgające do ramion włosy i ubrany był jak dandys.

Nie miałem wątpliwości, że był członkiem Cechu. Czy jednak rozpozna we mnie syna Jerna? A jeśli tak, czy będzie to dla mnie korzystne?

Niedługo mogłem się nad tym zastanawiać. Podeszedł do mnie i roześmiał się głośno, po czym wznosił ręką i dwoma palcami pokazał znak „V”.

— Na święte ciało i boskie wargi Sorelli! Od dziś będę palił na każdym jej ołtarzu wonne kwiaty! Zguba się znalazła. I na pewno, panowie, nie pozwolimy jej zginąć po raz drugi. Skądże się tu wziął, Murdocu Jernie? Uwierzę dziś we wszystko, co mi powiesz.

Trzej strażnicy poruszyli się i stanęli bliżej mnie, jakby w obawie, że mógłbym gdzieś zniknąć. Teraz pozostało mi już tylko grać rolę ofiary dotkniętej jakąś chorobą. Wiedziałem, że będą chcieli użyć wykrywacza kłamstw i starałem się mówić głównie prawdę.

Odczekałem chwilę. Poruszyłem powoli nogą, jakby był to dla mnie potworny wysiłek.

— Nie... nie zabijajcie mnie! Gorączka... minęła... Jestem teraz całkiem...

— Jaka gorączka?

— Proszę mu się przyjrzeć, kapitanie — powiedział ten, który mnie złapał. — Ma jakieś plamy... lepiej uważać...

Kapitan powiedział coś do mikrofonu. Mówił tym samym językiem, co wcześniej załogant. Czekaliśmy przez chwilę w milczeniu, aż na rampie pokazał się inny mężczyzna. Trzymał przed sobą niewielką skrzynkę, z której wystawał kabel zakończony dyskiem. Wiedziałem, że to przenośny zestaw do diagnostyki. Statek musiał być naprawdę znakomicie wyposażony.

Nie dotykając mnie, medyk przesunął dysk po moim ciele, cały czas uważnie obserwując odczyt.

— No i...? — niecierpliwie zapytał kapitan.

— Jest czysty. Choć zawsze istnieje możliwość, że...

— Jak duża? — naciskał dowódca.

— Jedna na tysiąc... Trudno powiedzieć...

Był ostrożny, jak każdy lekarz.

— Wystarczy. — Kapitan oddalił lekarza. — Cóż — zwrócił się znowu do mnie — wygląda na to, że nic ci nie jest. Gorączka minęła i nie jesteś już źródłem zakażenia. Byłeś na pokładzie, gdy cię to dopadło?

— Na statku Wolnych Kupców... Lecieliśmy z Tanth — uniosłem ręce i potarłem nimi czoło, jakby coś sprawiało mi ból. — Byłem... nie wszystko pamiętam... Byłem na Tanth. Miałem kłopoty. Zapłaciłem klejnotami i Ostrend zgodził się wziąć mnie na pokład. Pamiętam inny świat... Jego mieszkańcy zniknęli... Potem się rozchorowałem. Powiedzieli, że to zaraźliwe... Wsadzili do kapsuły. Wylądowała tutaj... Tubylcy... ścigali mnie...

— Aż do tego miejsca? — uśmiechnął się kapitan. — Miałeś sporo szczęścia. Przerwaliśmy im polowanie, co?

— Znalazłem jakiś mur... Szedłem wzdłuż niego... Ci z lasu... bali się czegoś. Schroniłem się we wraku... Nie weszli za mną...

— Masz niesamowite szczęście, Jern! My zresztą też! Mogliśmy szukać cię jeszcze długo, a tu proszę, oszczędzimy sporo czasu. Widzisz... Od dawna już interesujemy się twoją osobą. Od dawna czekamy na to spotkanie.

— Nie... nie rozumiem...

— Co z nim? — Kapitan zwrócił się do medyka. — W raporcie nie ma wzmianki, że to kretyn.

Lekarz wzruszył tylko ramionami.

— Kto wie, co dzieje się z człowiekiem, gdy dotknie go zaraza. Nie jest niczym zainfekowany, ale nie można wiedzieć na pewno, że choroba nie dokonała jakichś zmian w jego umyśle.

— Zostawię go pod twoją opieką. — Uśmiech zniknął z twarzy kapitana. — Zrób odpowiednie testy i powiedz mi, czy to debil, czy też może udzielić nam potrzebnych informacji.

— Mam zabrać go na pokład? — zapytał niepewnie lekarz.

— A gdzie indziej? Powiedziałeś przecież, że jest czysty...

— Zawsze może cierpieć na jakąś nieznaną chorobę...

Wyczułem, że i kapitan zawahał się przez chwilę. Jednak szybko odzyskał pewność siebie.

— Dużo sprzętu potrzebujesz? Można wynieść to tutaj? — spytał.

— Większość rzeczy na pewno... Gdzie mamy go umieścić?

— W wyrobisku, oczywiście. Segal! Onund! Przyniesiecie sprzęt medyka. A ty, Tusratti, zabierz go do zachodniego tunelu.

Czułem się nie jak człowiek, lecz przedmiot, który można dowolnie przesuwać i przenosić. Jednak to właśnie mi w tej chwili odpowiadało. Chyba zaczęli wierzyć w moją historię. Mutant poprowadził mnie w stronę rzeki. Szedłem tak ociężale i wolno, jak tylko mogłem. Zastaliśmy już kilku pracujących załogantów. Oddelegowano tu cały oddział, którego zadanie polegało chyba na założeniu tymczasowej bazy. Wyglądało na to, że znali doskonale teren i byli tutaj już wcześniej.

Ponaglany przez mojego strażnika przeszedłem koło mostu i zrujnowanego budynku. Celem naszej wędrówki była prawdopodobnie jedna ze skalnych pieczar w urwisku. Nie szliśmy jednak do tej samej co załoganci, którzy nieśli w rękach narzędzia i maszyny używane na martwych księżycach i asteroidach do wydobywania klejnotów.

— Włącz! — rozkazał mutant. Jaskinia, którą wskazał, była wysunięta najdalej na lewo. Po obu stronach wejścia leżał gruz z ostatnich wykopów. To, czego szukali, musiało jednak znajdować się gdzie indziej. Kopali bowiem teraz w pieczarze, którą oddzielały od naszej dwie inne.

— Jestem... jestem głodny... — Zatrzymałem się jakby dla zaczerpnięcia tchu, ostrożnie opierając się o ścianę. — Jestem głodny... Muszę coś zjeść...

Twarz mutanta nie wyrażała żadnych uczuć. Górną parę ramion oparł na kolbach laserów i przyglądał mi się badawczo przez dłuższą chwilę. Wreszcie odwrócił się i krzyknął coś w kierunku idącego do sąsiedniej pieczary człowieka.

Ten odpiął od pasa jakiś pakunek i rzucił w moją stronę. Myślał pewnie, że złapię go bez trudu. Nagle jedno z ramion mutanta wystrzeliło do przodu na odległość, jakiej nigdy bym nie podejrzewał, szybkim ruchem złapało pakunek i podało mi go.

Chwyciłem rączkę żywnościową. Z nie udawaną zachłannością przegryzłem pojemnik i wypłułem zabezpieczenie, a potem wyssałem półpłynną substancję, która znajdowała się w środku. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że jedzenie może sprawiać taką rozkosz. Wiedziałem,

że miksturę tę przeznaczono dla robotników, była więc bardziej odżywcza niż normalne jedzenie.

— Wchodź! — Mutant patykiem popchnął mnie do przodu. Widziałem, że i on bał się choroby i nie chciał mnie dotykać.

Wszedłem do jaskini, cały czas ssąc pożywny płyn. Czułem, jak wracają mi siły.

W tunelu było ciemno. Mutant wyciągnął lampkę. Zauważyłem, że pieczara nie powstała w sposób naturalny. Z początku na ścianach było widać jedynie stare nacięcia i rysy. Dalej jednak dostrzegłem świeże bruzdy, które układały się w kształt przypominający kratę.

Wszędzie widziałem połyskujące kryształy. Część z nich wciąż tkwiła w ścianach, inne leżały porzrzucone na ziemi. Moje zainteresowanie kamieniami niemal mnie zdradziło. Przypomniałem sobie jednak w porę, że powinienem udawać otepiałego. Z całą pewnością jednak nie tych kamieni szukali załoganci. I choć połyskiem przypominały drogie klejnoty, porzucono je. Zdziwiło mnie to bardzo.

Wiedziałem, że ludzie z Cechu nie przeszliby obojętnie koło czegoś, co mogło stanowić jakąś wartość.

Doszliśmy do końca tunelu. Wgłębienia i rysy na ścianach były tutaj o wiele większe. Zupełnie jakby poszukiwacze sądzili, że właśnie w tym miejscu znajdował się cel ich pracy. Mutant wskazał na kupkę kamieni.

— Siadaj!

Usiadłem sztywno, wykonując posłusznie rozkaz. Cały czas wysysałem z tuby jedzenie. Mutant ustawił lampkę na kamieniu i nastawił ją na rozproszone światło tak, że oświetlała teraz całe pomieszczenie z wyjątkiem największych wgłębień w ścianach. Sam zajął miejsce między mną a wyjściem z tunelu.

Słyszałem odgłos kapiącej gdzieś wody, choć w tunelu nie było wilgotno. Przez skalne ściany docierały głosy ludzi pracujących w innej części klifu.

Czy to właśnie tutaj ciągnął nas kamień nicości? Porzrzucone na ziemi kryształy w niczym go nie przypominały. Jednak pierścień przez wiele lat był używany w kosmosie i mógł przez ten czas całkowicie zmienić swój wygląd.

Schyliłem się, żeby podnieść jeden z połyskujących kamieni. Strażnik położył rękę na kolbie lasera, ale nie próbował mnie powstrzymać. To z pewnością kwarc, pomyślałem, choć nie dałbym sobie za to uciąć głowy. Nie należało zbyt pochopnie oceniać znalezisk z obcych światów. Vondar z pewnością poddałby taki materiał wnikliwemu badaniu, zanim wyraziłby swoją opinię, ale ocena ta i tak, na ile go znałem, byłaby raczej wstrzemięźliwa. Woził ze sobą różne znaleziska, których natury, mimo wielu lat badań, nie udało mu się poznać do końca, choćby dlatego, że niektórych właściwości nie można określić przy użyciu znanych nam środków. Każdy handlarz klejnotami miał podobne kamienie. Gdy dochodziło do spotkania z kolegą po fachu, zawsze porównywało się takie klejnoty.

To zatem, co trzymałem teraz w ręce, mogło być jedynie bezwartościową bryłką kwarcu, ale mogło też być czymś zupełnie innym.

W tunelu usłyszałem kroki i po chwili dołączył do nas medyk. Pchał przed sobą małe pudełko na kółkach. Za nim podążało dwu innych załogantów, niosących resztę potrzebnego sprzętu. Poddano mnie testom.

Najpierw chyba chcieli się upewnić, że choroba, która pozostawiła tak wyraźne znaki, już minęła. Poza tym medyk naświetlił ranę na mojej nodze promieniami gojącego lasera i znów mogłem normalnie chodzić. Nie protestowałem, gdy założyli mi na głowę hełm wykrywacza kłamstw. Skoro jednak mieli na wyposażeniu takie urządzenie, musiało być im ono niejednokrotnie potrzebne i z pewnością używali go nielegalnie.

Z przysawkami na czole i szyi mogłem mówić tylko szczerą prawdę lub to, co wydawało mi się prawdą. Kapitana wezwali dopiero wtedy, gdy wszystko było przygotowane, i to on właśnie zadawał mi pytania.

— Jesteś Murdoc Jern, syn Hywela Jerna?

— Nie.

Kapitan, całkiem zaskoczony, spojrział na medyka. Ten sprawdził odczyt z maszyn i potwierdził prawdziwość moich słów.

— Nie jesteś więc Murdoc Jern? — spytał ponownie kapitan.

— Jestem.

— Zatem twoim ojcem był Hywel Jern...

— Nie.

Kapitan znów spojrział na lekarza i po raz kolejny otrzymał twierdzącą odpowiedź.

— Więc kto jest twoim ojcem?

— Nie wiem.

— Należałeś jednak do rodziny Hywela Jerna?

— Tak.

— Uważałeś się za jego syna?

— Tak.

— Co wiesz o swoich prawdziwych rodzicach?

— Nic. Powiedziano mi, że jestem dzieckiem przydzielonym z urzędu.

Na twarzy kapitana dostrzegłem wyraz ulgi.

— Jednak byłeś blisko z Hywelem Jernem?

— Uczył mnie.

— O kamieniach?

— Tak.

— I to on oddał cię pod opiekę Vondara Ustle'a?

— Tak.

— Po co?

— Chciał, jak sądzę, zabezpieczyć mi przyszłość. Wiedział, że po jego śmierci to nie ja dostanę sklep.

Czułem się, jakbym sam stał z boku i słuchał tego, co mówię. Teraz jednak wydaje mi się, że moja odpowiedź była zawiła i niejasna.

— Czy kiedykolwiek pokazał ci pewien pierścień, który można nosić na rękawicy skafandra?

— Tak.

— Powiedział ci, skąd pochodził klejnot?

— Mówił, że kupił go od człowieka, który potrzebował gotówki i że znaleziono ten przedmiot przy ciele obcego, w przestrzeni.

— Co jeszcze powiedział ci o pierścieniu?

— Nic poza przypuszczeniem, że może mieć jakieś specyficzne właściwości.

— I chciał, żebyś je odkrył w czasie podróży z Ustle'em?

— Tak.

— I co odkryłeś?

— Nic.

Kapitan usiadł na składanym stołku, który podał mu jeden z załogantów, po czym wyciągnął z kieszeni swojej tuniki podłużny, jasnozielony przedmiot, wsadził go do ust i żuł metodycznie, jakby zastanawiając się nad następnym pytaniem. Wreszcie odezwał się.

— Czy w ostatnich latach widziałeś ów pierścień?

— Tak.

— Gdzie i kiedy?

— Na Angkor, po śmierci ojca.

— Co zrobiłeś z klejnotem?

— Zabrałem ze sobą.

— Masz go teraz przy sobie? — Przysunął się bliżej, wpatrując się we mnie intensywnie. Obie pary powiek miał podniesione.

— Nie.

— Gdzie zatem się znajduje?

— Nie wiem.

Poirytowany, głośno wciągnął powietrze.

— Gdzie i w jakich okolicznościach widziałeś go po raz ostatni?

— Dałem go Eetowi.

— Eet! Kto to jest?

— Mutant zrodzony z kotki na statku „Vestris”.

Myślę, że gdyby nie zaufanie do wykrywacza, nigdy by w to nie uwierzył. Z pewnością była to ostatnia odpowiedź, jakiej się spodziewał.

— Czy miało to miejsce... — mówił teraz bardzo wolno — ... tu, na tej planecie, czy na „Vestris”?

— Tutaj.

— Kiedy?

— Tuż przed waszym lądowaniem.

— Gdzie teraz jest ten Eet? — Znowu wychylił się w moją stronę.

— Nie żyje, jak sądzę. Był na szczycie wraku, gdy podeszliście do lądowania. Musiał spłonąć w ogniu silników hamujących.

— Ty...! — Kapitan obrócił się gwałtownie. — Thangsfeld, zajmij się tym! Macie przeszukać każdy centymetr tego statku i każdą piędź ziemi wokół niego! Wykonać!

Gdy jeden z załogantów pobiegł w stronę wyjścia, kapitan znowu zwrócił się do mnie.

— Dlaczego dałeś pierścień Eetowi?

— Klejnot ciągnął nas bardziej w to miejsce, niż w stronę ruin statku. Eet chciał wiedzieć dlaczego.

— Eet chciał wiedzieć? — powtórzył kapitan. — Jak to? Powiedziałeś, że to zmutowana odmiana kota, a nie istota myśląca. — Znowu spojrzał na medyka, by ten potwierdził moją prawdomówność.

— Nie wiem, czym on jest — powiedziałem — ale zwierzę przypomina jedynie z zewnątrz.

— Dlaczego sam nie zaniósłeś pierścienia w to miejsce?

— Poza statkiem czekali na mnie tubylcy. Nie miałem szansy wyjść niepostrzeżenie. On tak.

— Dlaczego to takie ważne, żeby zabrać pierścień w miejsce, które wskazuje?

— Nie wiem. Eet chciał go zabrać.

— Gdzie dokładnie?

— Kawalek dalej... za rzekę.

— Wystarczy! — Kapitan gwałtownie wstał. — Jesteśmy na właściwym tropie — spojrzał na mnie z góry. — Wiesz, czym jest ten pierścień?

— To źródło energii, jak sądzę.

— Całkiem słuszna uwaga. — Patrzył na mnie nieprzyjemnym wzrokiem.

— Co z nim, kapitanie? — spytał jeden z załogantów.

— Na razie nic. Trzymajcie go tutaj. Potem możecie go wypuścić. I tak nigdzie nie ucieknie — zaśmiał się. — Jesteśmy mu przecież coś winni. Tym bardziej, jeśli uda się nam znaleźć pierścień.

Uwolnili mnie z więzów. Byłem wyczerpany i nie miałem siły, żeby dłużej walczyć ze zmęczeniem. Pamiętałem jednak, że nie zapytali mnie, dlaczego i jak opuściłem „Vestris”. Czyżby uwierzyli w moją historię i nie poddawali jej żadnym wątpliwościom? Wyglądało na to, że nie mieli kontaktu z Wolnymi Kupcami, przynajmniej od chwili mojej ucieczki. I jeśli

reprezentowali ludzi, którzy wykupili mnie na Tanth, to od jakiegoś czasu się z nimi nie porozumiewali.

Niestety, nie mogłem teraz otrzymać potwierdzenia od Eeta, a na myśl o nim czułem ból i gorycz. Miałem nadzieję, że nie cierpiał za bardzo i że podmuch zabił go na miejscu.

Czy znajdą ciało kota z pierścieniem wciąż zawieszonym na jego szyi? Do czego potrzebowali klejnotu? Żeby wskazał im miejsce, gdzie znajdowały się inne, tak jak mnie przywiódł do opuszczonego statku? Łatwo było zgadnąć, że te kamienie są rewolucją w wytwarzaniu energii. Dla Cechu stanowiły źródło mocy cenniejsze niż niejedna planeta.

Medyk wraz z pomocnikiem zebrali sprzęt i wyszli z tunelu. Jednak mutant wciąż siedział przy jego wylocie. On również, podobnie jak kapitan, wyjął z kieszeni coś jasnozielonego i żuł to teraz z przymkniętymi oczami. Wyczulone, włochate uszy cały czas skierowane były w moją stronę.

Usnąłem. Obudził mnie dopiero ryk silników. Gdzieś blisko lądował następny statek. Jeśli to „Vestris”, mogłem spodziewać się, że kapitan niedługo wróci z nowymi pytaniami. Nasłuchiwałem, obserwując jednocześnie mojego wartownika.

Wstał i patrzył na wylot tunelu. Jego dziwne uszy cały czas zwrócone były w moją stronę, a ręce oparł na kolbach laserów.

Widziałem po jego zachowaniu, że nie spodziewał się żadnego statku. Kto to mógł zatem być? Czyżby patrol? A może jakiś nieświadomy sytuacji skaut lub handlarz, który znalazł się tu w niewłaściwym czasie? Niezależnie od tego, kto to był, pakował się prosto w pułapkę. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Odgłos silników przycichł. Panowała kompletna cisza. Nawet załoganci w tunelu przerwali pracę.

— Co to? — spytałem niepewnie.

Czujne uszy mutantu poruszyły się gwałtownie, ale nie obrócił głowy. Wyciągnął za to oba lasery, jakby przygotowywał się na odparcie ataku.

Czekaliśmy w milczeniu. Próbowałem o coś zapytać, ale wymierzył we mnie broń. Po chwili usłyszałem kroki i czyjeś głosy w tunelu. Mutant schował jeden laser, drugi trzymał w pogotowiu.

Zobaczyłem trzech załogantów. Nieśli coś, co się szamotoła. Gdy stanęli przed nami, bezceremonialnie rzucili skrępowany kształt na posadzkę. W jednym z portów widziałem policjantów, którzy za pomocą wystrzelonej sieci schwyтали pijanego załoganta. Patrząc teraz na pojmanego, doszedłem do wniosku, że i jego musiał spotkać podobny los. Wśród płątaniny gumowych lin dostrzegłem czarny mundur, powszechnie znany w całym wszechświecie. To był strażnik. Cały i zdrowy.

Rozdział trzynasty

Miał na tyle rozumu, żeby nie szarpać się i nie walczyć. Dzięki temu pnącza nie spętały go jeszcze bardziej, żadne też nie oplotło mu się wokół szyi. Ci, którzy go pochwycili, byli tak pewni swego, że zostawili nas obu jedynie pod strażą mutanta. Ten przyjrzał się uważnie strażnikowi. Na jego twarzy nie było widać żadnych uczuć. Po chwili znów usiadł nieruchomo na stołku, który zostawił kapitan. Strażnik miał otwarte oczy i uważnie obserwował nowe więzienie i jego obecnych mieszkańców. Długo patrzył na mnie. Przesłuchanie i późniejsza drzemka sprawiły, że czułem się bardzo słaby. Poza tym zapadłem w jakiś przedziwny letarg, który odebrał mi wszelką chęć działania. Nawet gdyby mutant skierował na mnie lufę lasera, nie poruszyłbym się. Było mi już wszystko jedno.

Po jakimś czasie przyszedł jeden z załogantów i rzucił w moją stronę następną tubę z żywnością. Choć czułem przytłaczający głód, potrzebowałem sporo czasu i wysiłku, by sięgnąć po jedzenie. Przez jakiś czas trzymałem tubę w drżących dłoniach i zbierałem siły, żeby wysączyć z niej pożywienie.

Po przełknięciu kilku łyków pożywnej substancji poczułem się lepiej i trzeźwiej rozejrzałem się dookoła. Niestety, tylko po to, aby uzmysłwić sobie, że nie śnię, a wszystko w tym miejscu jest absolutnie i boleśnie prawdziwe. Związany strażnik leżał tam, gdzie go rzucili, i wpatrywał się we mnie. Dopiero gdy opróżniłem połowę tuby, zdałem sobie sprawę, że nie zostawiłem mu zbyt wiele. Poza tym nie mogłem sam jeść. Próbowalem do niego podpełznąć.

— Dzieeee... — zabrzmiało to bardziej jak warknięcie niż ludzki język. W rękę mutanta zobaczyłem laser. Wiedziałem, że nie zawaha się go użyć. Zatrzymałem się. Odganiał mnie z powrotem na moje miejsce.

— Nie ruszszsz sssie...

Wykonałem rozkaz. Ale nie wysączyłem zawartości tuby do końca. Wyglądało na to, że mutant wolał, żebyśmy trzymali się ze strażnikiem z dala od siebie.

Znów podchwyciłem spojrzenie strażnika. Sieć całkowicie krępowała mu ruchy. Zastanawiałem się, czy wylądował tu sam, czy też z innymi, którzy teraz może właśnie go szukali. Wiele bym dał, żeby móc komunikować się z nim tak, jak porozumiewałem się z Eetem.

Być może miałem jakieś ukryte zdolności psi i mój talent, choć niewielki, mógł jednak rozwinąć się poprzez kontakty z Eetem na tyle, żeby poinformować strażnika, że chcę się z nim porozumieć. Skoncentrowałem się więc i wysłałem mu sygnał.

Odpowiedź, którą otrzymałem, tak mnie zaskoczyła, że aby nie wydać się przed mutantem, musiałem przykryć twarz dłońmi, udając nagły atak bólu. Nie byłem jednak pewien, na ile udało mi się zamaskować własne zdziwienie. Mutant zerwał się na równe nogi. Jego śmieszne uszy poruszały się w tył i w przód.

Wiadomość, która do mnie dotarła, nie pochodziła od mężczyzny leżącego na posadzce tunelu, lecz od Eeta! Znikła równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawiła, zupełnie jakby ciemność bezksiężycowej nocy przeciął na moment promień światła.

Mutant wszedł głębiej do tunelu. Włochate uszy poruszały się nieprzerwanie, tak jakby próbował wykryć wiadomość, którą przesłał mi Eet. Tymczasem strażnik wpatrywał się zdziwionym wzrokiem to we mnie, to w mutanta.

Poza tą krótką informacją nie wyczułem już nic więcej i wiedziałem dobrze, dlaczego Eet musiał zachować daleko posuniętą ostrożność. Jeśli mutant był zdolny przechwycić wiadomość, to nie mogliśmy teraz komunikować się tym sposobem. Jednak sam fakt, że Eet żył, ucieszył mnie bardziej, niż gdyby ktoś przyniósł mi i dał do ręki laser.

Cały czas leżałem z twarzą zakrytą rękami i udawałem zboląłego. Wartownik zatrzymał się przy mnie i kopnął mnie w nogę. Metalowy czubek buta wbił się boleśnie w moje udo.

— Co jezzd...?

Mówił tak niewyraźnie i bełkotliwie, że trudno go było zrozumieć.

— Głowa... boli...

— Mowa... w myśli... — Nawet nie sformułował pytania.

Poczułem w głowie ucisk, dużo słabszy jednak niż w czasie rozmów z Eetem. Z łatwością wytrzymałem próbę, której mnie poddał. Mógł być w tym niezły, ale jego zdolności zapewne ujawniały się najsilniej w komunikacji z jemu podobnymi. Tak czy owak, nie udało mu się ode mnie nic wyciągnąć.

Wziął się teraz do przeszukiwania tunelu. Jego uszy były w ciągłym ruchu. Wiedziałem, że musiały być niezwykle wrażliwe i zastanawiałem się, czy pomogą mu wyczuć obecność Eeta.

Gdy zobaczyłem, że mutant zachowuje się coraz mniej pewnie, odetchnąłem z ulgą. Nie mógł namierzyć Eeta. W przeciwnym razie natychmiast przystąpiłby do działania.

Gdzie znajdował się Eet? Nie miałem pojęcia, z której strony nadeszła wiadomość. Ale sam fakt, że przeżył!... Miałem nadzieję, że nie będą mnie przesłuchiwać po raz drugi. Bałem się jednak, że gdy wartownik nabierze większych podejrzeń, powtórzą sesję z wykrywaczem kłamstw.

Mutant stał teraz obok strażnika. Jego uszy, niczym dwie anteny, badały przestrzeń dookoła. Powoli uniósł wzrok i spojrzał na sufit ponad sobą. Czy tam właśnie ukrył się Eet?

Coś wyraźnie przykuło uwagę mutantą i jedyne, co przychodziło mi do głowy, to że musiał jakoś wyłapać fale wysyłane przez Eeta. Tylko jak, skoro mój towarzysz milczał?

Mutant szybko wyciągnął laser i wymierzył w niszę pod sklepieniem tunelu. W dziurach sufitu mogło kryć się wiele rzeczy. W jednej z nich dostrzegłem bryłę kryształu, większą zapewne od mojej głowy. Tymczasem wartownik strzelił tuż nad sobą...

Jasny promień światła całkiem mnie oślepił. Krzyknąłem i zasłoniłem oczy. Usłyszałem głośne sapnięcie. Nie wiedziałem, czy wydał je strażnik czy mutant. Potem coś głośno uderzyło o ziemię i rozległ się odgłos spadających kamieni...

Nadal dręczyła mnie chwilowa ślepotą. Bałem się poruszyć. Byłem pewien, że za chwilę pogrzebią nas żywcem tony gruzu. Gdy po jakimś czasie nic się nie stało, odważyłem się otworzyć oczy. Niewiele to zmieniło.

— Żyjesz?

Nie była to ani wiadomość od Eeta, ani głos wartownika. Zdanie wypowiedziano w języku międzygalaktycznym. To pewnie strażnik.

— Gdzie jesteś? — spytałem, po omacku badając ręką przestrzeń dookoła siebie.

— Przed tobą, trochę na prawo! — odpowiedział szybko. — Musiałeś spojrzeć akurat, kiedy wystrzelił...

— Co się stało?

Nawet nie próbowałem wstać. Pełzałem na czworakach, badając rękami drogę.

— Strzelił tuż nad sobą i na łeb spadł mu wielki odłamek skały. Uważaj... leży tuż przed tobą.

Zdążyłem już namacać ciało mutantą. Obszukałem jego ubranie i znalazłem jeden z laserów. Cały czas panicznie się bałem, że oślepiłem na zawsze.

Ominąłem ciało mutantą i pełzałem dalej, dopóki nie dotarłem do strażnika. Nie mogłem po omacku przepalić więzów, które go kępowały.

— Poczekaj!

Przysiadłem na piętach, czując ogromną ulgę.

— Eet!

Nie widziałem, z której strony przyszedł. Dotknął mnie łapką, a ja dałem mu laser. Szybko uporał się z siecią i wkrótce strażnik był wolny. Poczułem ludzką dłoń na ramieniu i ktoś pomógł mi wstać. Przedtem udawałem niemoc przed kapitanem, teraz chwiałem się naprawdę. Eet po starym wdrapał mi się na ramiona, przytłaczając mnie swoim ciężarem. Na policzku czułem szorstki dotyk jego wąsów.

— Czekaj! Zobaczę, co z twoimi oczami... — odezwał się strażnik.

Uwolniłem się niechętnie z jego uścisku i pozwoliłem mu obejrzeć oczy. Rozszerzył mi powieki i chyba wpuścił jakieś krople.

— Nie otwieraj przez chwilę oczu — powiedział. — To z mojej apteczki... powinno pomóc.

— Musieli słyszeć hałas... — Pogłaskałem Eeta po grzbiecie. — Zaraz tu będą...

— Nie tak prędko — odparł krótko Eet. — Jest już noc. Wystawili warty, ale w tunelach jest pusto. Mamy szansę uciec. Ten tutaj jako jedyny mógł czytać w myślach.

Ktoś mocno chwycił mnie za ramię i zaczął ciągnąć. Eet pomagał mi przejść między zwałonymi kamieniami. Szliśmy tunelem, wprost do wyjścia.

— Kim jesteś? — spytał strażnik. — Zakładnikiem?

Opowiedziałem mu swoją historię w tej samej wersji, co ludziom Cechu.

— Złapałem jakąś nieznaną chorobę i wyleciałem w kosmos w kapsule ratunkowej. Miała zaprogramowane lądowanie na tej planecie. Gonili mnie tubylcy. Ukryłem się we wraku statku. A potem wylądowali oni. Uwięzili mnie, gdy ich medyk stwierdził, że nie mogę ich już niczym zarazić.

— Masz szczęście, że cię od razu nie zastrzelili. Ciekawe dlaczego?

Musiałem dać mu jakąś wiarygodną odpowiedź.

— Myśleli, że pomogę im znaleźć coś, czego tu szukają. Jestem uczniem znawcy kamieni.

— Kamienie! — zawiesił na moment głos. — No właśnie... przecież to ich tu szukają.

— Dlaczego ich śledziłeś? I gdzie twój statek? — zrewanżowałem się pytaniem.

— Jestem skautem. — Ze wszystkiego, co mogłem usłyszeć w obecnej sytuacji, to wyjaśnienie najbardziej mnie rozczerowało. — Zgarnęli mnie tuż po lądowaniu. Mój statek jest zamknięty. Nie wejdą do środka. Jeśli udałoby się nam do niego dotrzeć... Ale czym... kim... jest twój przyjaciel?

— Jestem Eet — odpowiedział sam za siebie Eet. — Zawarłem pakt obronny z tą istotą ludzką. Przydał się i tobie, strażniku. Żeby wydostać jego, pomogłem również tobie.

— Czyli ten zawałony strop to twoja sprawka? — spytałem.

Eet zaprzeczył.

— Nie, mutant sam był sobie winny. Ja tylko nieco go oszołomiłem. Podsunąłem jego wyobraźni nieistniejący obraz. Może posiadał spore zdolności, ale nie w zetknięciu z obcymi rasami. Stracił głowę i strzelił do cienia, którego tak naprawdę nie widział.

Przesunąłem ręką po grzbiecie Eeta. Zniósł to cierpliwie. Nie wyczułem nigdzie sznura, na którym powinien wisieć pierścień. Nie mogłem teraz o nic pytać. Im mniej wiedział strażnik, tym lepiej. Ludzie z patrolu często uważali, że dobro ogółu stoi ponad dobrem jednostki.

Czułem, iż Eet w pełni zgadzał się ze mną w tej kwestii i że umieścił pierścień w bezpiecznym miejscu. Choć nie przeczę, że nie bałem się trochę — wolałbym mieć go przy sobie.

— Spróbuj otworzyć oczy — powiedział strażnik.

Świeży podmuch wiatru świadczył o tym, że wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Otworzyłem oczy i gwałtownie zamrugałem. Zniknęła czerwona luna i choć miejscami jeszcze widziałem ciemne plamy, mogłem już patrzeć jak przez mgłę.

Nieopodal wzniesiono z gruzu prymitywną wartownię. Na jej szczycie zamontowano reflektor, który omiatał teraz światłem nie wejścia do tuneli, lecz ruiny i poprzewracane mury, niegdyś powstrzymujące rzekę.

— Boją się ataku tubylców — wyjaśnił Eet.

— Pałki przeciwko laserom? — rozbawiło mnie to.

— Tubylcy w ciemnościach mogą być bardzo groźni. Mają o wiele większą szansę, niż ci się wydaje.

— To dlaczego nie zamkną się po prostu na statku?

— Trzymają w tunelach cenne urządzenia. Już raz próbowali wycofać się na noc do statku. Tubylcy zniszczyli im sprzęt. Musieli ściągnąć taki sam z innej planety.

— Zdaje się, że dużo o nich wiesz! — stwierdził strażnik.

— O tobie też — warknął Eet. — Nazywałeś się Celph Hory, od dziesięciu lat w służbie. Pochodzisz z Loki. Miałeś trzech braci. Dwóch z nich nie żyje. Nie wysłano cię tu na skautowską misję. Miałeś sprawdzić prawdziwość pogłosek, że Cech znalazł coś, co da mu władzę nad całym wszechświatem. Miałeś działać w ukryciu i zdać raport, nie ujawniając swej obecności członkom Cechu. Nie popisałeś się, bo twój statek wykryto już, gdy wchodziłeś na orbitę tej planety. Nieprawda?

Hory głośno wypuścił powietrze.

— Czytasz w myślach.

Zabrzmiało to prawie jak oskarżenie.

— Idę tylko za głosem instynktu, podobnie jak ty. Powinieneś mi za to podziękować. Inaczej wciąż byłbyś więźniem kapitana Nactitla, który za jakiś czas kazałby cię usunąć. Jeszcze przed godziną zastanawiał się, dlaczego od razu nie kazał cię zabić. Myślę, że powinniśmy zabierać się stąd jak najszybciej. Ci ludzie nie znaleźli jeszcze tego, czego szukają, ale są już bardzo blisko...

— Ty to znalazłeś! — wybuchnąłem.

Mogłem teraz czytać nie tylko słowa, ale i uczucia Eeta. Wiedział, że panuje w pełni nad sytuacją i że znów udało mu się wyprzedzić tych większych i silniejszych.

— Jak dotąd szukali w niewłaściwym miejscu. Jednak prędzej czy później trafią na to, co chcą znaleźć. Nactitl nie jest głupi i z pewnością nie można go lekceważyć. Na razie nie udało mu się, bo miał niewłaściwego przewodnika.

Przewodnik! Pierścień, który zabrał ze sobą Eet i który mógł wskazać mu właściwe miejsce. W mojej głowie kłębiły się pytania, ale nie wolno mi było ich teraz zadać. Nie mogliśmy pozwolić na to, żeby Hory wiedział więcej, niż to absolutnie konieczne.

— Czego oni tu szukają?

Strażnik przerwał wreszcie ciszę i wiedziałem, że nie poprzestanie tylko na pytaniu. Wszystko zależało od tego, ile wiedział o klejnotach. Jeśli myliłem się co do niego i przeszedł

jakieś szkolenie, mój sekret był zagrożony. Jednak po raz kolejny Eet udzielił mi odpowiedzi za mnie.

— Czegoś bardzo cennego, co wiąże się z władzą i energią. — Czasem trudno mi było uwierzyć, że jest tylko małym futerkowym zwierzęciem. Nazbyt często zwracał się bardzo protekcjonalnym tonem. — Ta kopalnia powstała... tak dawno, że trudno to stwierdzić. Przymyślnie założyli ją przedstawiciele jednej z pierwszych rozwiniętych cywilizacji. Na nieszczęście dla obecnych poszukiwaczy, dokładnie ją wyczyszczono.

— Ale mówiłeś, że kapitan szukał po prostu w niewłaściwym miejscu...

— Penetruje tylko tunele. Gdyby sprawdził w ruinach, znalazłby nowe wskazówki. Niestety, nie mamy dość czasu na własne poszukiwania. Trzeba jak najszybciej dotrzeć do twojego statku — zwrócił się do Hory'ego — i odlecieć z tej planety. Nie ma sensu ukrywać się tu dłużej. Poza tym wyczuwam obecność włochaczy...

— Włochaczy?

— Owłosionych, człekokształtnych stworów, które kierują się węchem. Obecność ludzi Cechu przyciąga coraz większą uwagę tych tubylców. Otoczyli miejsce lądowania szczelnym pierścieniem. Nie są jeszcze gotowi do ataku, ale skutecznie ograniczają pole działania przybyszów z przestworzy. Możemy mieć nawet problemy z dotarciem do twojego statku. W pojedynkę nikt nie wpłynie na kapitana Nactitla na tyle, żeby zmienił swoje zamiary i...

Nagle Eet zeszywniał i wyprężył głowę, jakby nasłuchując.

— Co jest?

— Mamy mniej czasu, niż przypuszczałem! — powiedział szybko. — Próbują połączyć się z mutantem przez krótkofalówkę. Podnieśli alarm, bo nie odpowiada.

Mieliśmy zaledwie kilka chwil, żeby się ukryć. Szeroki snop światła z reflektora umieszczonego na prowizorycznej wartowni oświetlał dosyć skutecznie cały teren. Jego blask nie docierał jednak do załamań i wgłębień w ziemi. Przycupnęliśmy więc wśród ruin.

— Teraz na prawo... — Eet znów przewodził. — Do następnego załomu.

— Ale... — sprzeciwił się Hory — mój statek jest na lewo.

— To nie takie proste — rzucił krótko Eet — najpierw musimy odbić trochę na prawo. Więcej tam miejsc, gdzie można się ukryć. Możliwe, że później wyjdziemy na bardziej otwarty teren.

— Czeka nas przejście przez rzekę?

Wiedziałem, że taka przeprawa stanowiłaby najbardziej krytyczny moment. Narażeni bylibyśmy na ostrzał ze strony zaalarmowanego obozu.

— Dzięki bóstwom, które czcicie wy i wam podobni, ten człowiek wylądował po tej stronie rzeki. Musimy jednak obejść ich obóz od tyłu. Tu moglibyśmy natknąć się na oddział, który zapewne wysłał, żeby zobaczyć, co się stało z mutantem. Teraz... na prawo...

Snop światła znajdował się daleko od nas. Eet nie musiał nic mówić. Rzuciliśmy się w stronę kolejnego załomu, gdzie, jak zauważyłem wcześniej, nie docierało światło reflektora. Hory z początku chwilę zamarudził, ale szybko dopadł do nowej kryjówki zaraz po mnie.

Niestety, droga, którą obraliśmy, coraz bardziej oddalała nas od celu. Tymczasem w oddali nad rzeką dostrzeżliśmy światła latarek i głosy. Zbliżał się patrol wysłany ze statku. Zapalono inny reflektor — oświetlał teraz most i prawie cały teren, w stronę którego zmierzaliśmy. Pomyślałem, że znaleźliśmy się w pułapce.

— Pod, nie nad... w następnej kryjówce. — Eet konwulsyjnie wbił pazury w moje ramię. Szykowałem się do kolejnego skoku.

Nie rozumiałem, o co mu chodziło, dopóki nie wylądowałem w następnym załomie. A właściwie wpadłem do niego. Okazało się, że była tam dziura.

Rękami wyczułem ściany z trzech stron. W chwilę później Hory wylądował wprost na mnie, popychając mnie tam, gdzie powinna znajdować się czwarta. Nie znalazłem jednak oparcia, ślizgając się po mokrej posadzce. Znów wyciągnąłem przed siebie ręce, by zbadać teren. Po bokach, w niewielkiej odległości, natrafiłem na dwie ściany. Przede mną jednak była pustka. Usłyszałem za sobą Hory'ego.

— Naprzód... — ponaglił Eet.

— Skąd wiesz? — spytałem.

— Po prostu wiem — odparł — idź naprzód.

Po omacku badałem drogę przed sobą. Musieliśmy trafić na jakieś przejście. Czy był to rzeczywiście jakiś tunel lub droga ewakuacyjna, tego nie wiedziałem. Być może uformowały ją ruchy murów. Podłoga obniżyła się i wszedłem w sporą kałużę. Im dalej szliśmy, tym bardziej cuchnęło stęchlizną i wilgocią.

— Którędy idziemy? Pod rzeką? — spytałem.

— Nie, choć woda z rzeki przecieka tutaj. Popatrz teraz na prawo. Przed nami zobaczyłem słaby blask, który wzmagął się w miarę, jak podchodziliśmy bliżej. Przypomniałem sobie ciemne korytarze z wraku. Czy i tu były podobne? Zawsze jednak mogliśmy polegać na instynkcie Eeta...

Podszedłem do źródła blasku. Po prawej stronie, w ścianie, znajdowała się wnęka. Może usunięto stąd jeden ze skalnych bloków, a może sam wypadł. Przez to niby okno zajrzałem w głąb pomieszczenia średniej wielkości. Przez środek biegł jakby stół wykonany z tego samego kamienia co ściany, tylko mniej zniszczony. Na stole stały pudełka. Choć wykonane z metalu, były pordzewiałe, poobijane i bardzo uszkodzone. Po niektórych pozostał jedynie rdzawy pył. Jednak tuż koło okna stało jedno, prezentujące się całkiem dobrze. W środku zobaczyłem kamienie, które świeciły prawie niezauważalnym światłem. Mocny blask, jaki dostrzegłem z daleka, emitowało coś, co leżało tuż za pudełkiem. Eet błyskawicznie dał susa przez okno do środka. Po chwili pochwycił pierścień i założył go sobie na łapę niczym amulet. Wskoczył z

powrotem na skalny parapet, a stamtąd wspiał mi się ponownie na ramiona. Wrzucił pierścień do kieszeni mojej tuniki i poczułem prawie nieprzyjemne gorąco klejnotu.

— Co to? — O dziwo, głos Hory'ego dobiegł nie zza moich pleców, lecz skądś przed nami. — Gdzie jesteście? Dlaczego się zatrzymaliście?

— Tu jest okno — powiedział Eet. — Nic nam po nim. Ale droga przed nami jest pusta.

Zdziwiłem się. Byłem przekonany, że Hory mijając nas, musiał zobaczyć pokój, a zachowywał się tak, jakby zupełnie go nie zauważył. Nie zapytałem jednak o to Eeta.

Przejście prowadziło teraz w górę. Szło dokładnie w kierunku, w którym zmierzaliśmy. Poruszałem się bardzo powoli. Wiedziałem, że Hory robił to samo.

— Idźcie ostrożnie. Pełno tu pojedynczych kamieni — odezwał się Eet. — Ale kawałek dalej rozciągają się już ruiny. Tam będziemy musieli uważać jedynie na tubylców.

Weszliśmy między sterty gruzu. Widziałem już normalnie i dostrzegłem teraz, że jesteśmy w zrujnowanej kopalni. Ostrożnie przechodziliśmy między zwałami. Dawały nam osłonę przed penetrującym okolicę snopem reflektora. Przy klifie panował ogromny ruch. Tunele oświetlono tak, że było tam jasno jak w dzień.

Szczyście nam sprzyjało. Za ostatnimi usypiskami kamieni rosły gęste krzewy, które dawały doskonałą ochronę.

— Sądzę, że będziemy próbowali dostać się do statku patrolowego — powiedziałem do Eeta.

— Oczywiście. Jednak spodziewają się tylko was obu. Pewnie podjęli już jakieś kroki...

— Co?! — przerwał mu Hory. — Nie mogą dostać się do statku. Dostęp blokuje moje osobiste hasło.

— Myślisz, że to powstrzyma zdesperowanego specjalistę Cechu? — odparł Eet. — Nactitl nie spodziewa się mnie jednak i nie mógł przewidzieć kilku drobnych szczegółów. Mówię wam, idźmy dalej. Gdy już dotrzemy na miejsce, nie trzeba będzie martwić się o start.

Znałem Eeta i wiedziałem, że nie rzucał słów na wiatr. Hory wyglądał na mniej przekonanego. Nie miał jednak wyboru. Wiedział, że stawienie czoła Cechowi było samobójstwem, a błądzenie w ciemnościach groziło wielkim niebezpieczeństwem.

Rozdział czternasty

— Tubylcy!

Ostrzeżenie Eeta zatrzymało mnie w miejscu. Światła i hałasy musiały uświadomić włochaczom, że ludzie ze statku zaczęli poszukiwania.

— Gdzie?

Hory chyba zaczynał ufać instynktowi Eeta. Może nawet dojrzał do tego, żeby pójść za jego radą.

— Po lewej... na drzewie.

Drzewo, które wskazał, nie było tak okazałe, jak tamte z lasu, ale wznosiło się wysoko nad naszymi głowami. Nie mieliśmy nawet najmniejszej szansy, żeby dojrzeć to, co mogło się kryć w jego gęstej koronie.

— Skoczy, gdy będziemy przechodzić — powiedział Eet. — Możecie się uchylić. Nie ma miejsca na daleki rozbieg.

Tym razem byliśmy przynajmniej uzbrojeni. Obaj z Horym trzymaliśmy w rękach lasery, które zabraliśmy wcześniej mutantowi. Nie było jednak sensu strzelać w ciemno, nie widzieliśmy celu. Z laserem w dłoni zacząłem powoli obchodzić drzewo.

Spadło to na nas niczym cios prosto w twarz. Ból przeniknął w głąb głowy. Zatoczyłem się i usłyszałem obok głośny krzyk Hory'ego.

Eet mocno wtulił się we mnie i wbił pazury w materiał tuniki. Zapomniałem o czyhającym na drzewie tubylcu. Myślałem tylko, jak pozbyć się nieznośnego bólu w głowie.

— ... ręka... weź Hory'ego za rękę... trzymajcie się razem...

Ból zniekształcił wiadomość wysłaną przez Eeta. Kot chwycił mnie łapami za uszy i oparł się ciałem o moją głowę. Ból stał się nie do wytrzymania.

— Weź Hory'ego za ręką!

Wbił głębiej pazury. Chciałem podnieść rękę i strząsnąć nieznośny ciężar z głowy. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że nie panuję nad własnym ciałem. Moja ręka mimowolnie chwyciła dłoń strażnika i zacisnęła się na niej mocno. Hory szarpał się i próbował uwolnić ode mnie tak, jak ja próbowałem uwolnić się od niego, ale bezskutecznie.

— Szybko... przed siebie!

Eet znów wpił pazury w moje uszy. Otepliały z bólu, zatoczyłem się w stronę, którą wskazał. Ciągnąłem za sobą Hory'ego.

Nad nami coś zapiszczało i runęło z drzewa, twardo lądując na ziemi. Wkoło słyszałem innych tubylców, którzy opuścili swoje kryjówki i biegli w panice w kierunku klifu.

Ruszyłem w przeciwną stronę tylko dzięki Eetowi, który mocno ścisnął mi głowę i wykręcał uszy. Czułem się tak, jakbym szedł pod prąd. Wszystko spychało mnie w stronę ruin i statku Cechu, Musiałem użyć całej siły, żeby przeciwstawić się temu parciu.

Było całkiem ciemno, jednak Eet prowadził mnie pewnie, niczym jeździec swojego wierzchowca. Mogłem jedynie posłusznie wykonywać jego polecenia. Cały czas ciągnąłem za sobą Hory'ego, którego ręki nie mogłem puścić.

Wydawało mi się, że ten przedziwny marsz trwa całą wieczność. Poczulem wreszcie zapach zwęglonej roślinności i dotarliśmy do miejsca spalonego przez hamujące silniki. Przed nami stał teraz statek patrolowy Hory'ego.

Zobaczyłem ciemny, masywny kształt. Było zbyt czarno, by dostrzec gdzieś rampę czy właz. Wiedziałem, że jeśli Hory nie będzie w stanie odbezpieczyć samodzielnie wejścia do statku, utkniemy w martwym punkcie.

Wciąż czułem w głowie nieznośny ból. Odniosłem wrażenie, iż nieco zelżał. Możliwe że po prostu do niego przywykłem. Eet wciąż trzymał mnie za uszy, ale gdy dotarliśmy do statku, nie kazał mi iść dalej.

Zamiast tego zwrócił się do strażnika.

— Hory, zabezpieczenie... Możesz je usunąć?

Hory chwiał się, jakby tracił przytomność.

— Hory! — tym razem rozkaz Eeta zabolał równie mocno, jak sygnał wysyłany znad klifu.

— Co?... — wykrztusił strażnik.

Wolną ręką chwycił się za głowę. Nigdzie nie widziałem lasera. Musiał zgubić go podczas myślowego ataku, który przeżyliśmy.

— Zabezpieczenie... na statku... — Słowa Eeta spadały na nas jak ciosy, wbijały się w mózg jak ostrza. — Wyłącz blokadę... natychmiast...

Hory obrócił głowę. Widziałem go bardzo niewyraźnie. Wsadził rękę do kieszeni tuniki i wyjął niewielki nadajnik. Ruchy miał tak nieskoordynowane, że zacząłem wątpić, czy uda mu się cokolwiek zrobić.

— Kod! — powiedział ostro Eet. — Jaki jest kod?

Hory był tak oszołomiony, że ręką potarł kilkakrotnie usta, jakby chciał sprawdzić, czy jeszcze znajdowały się na swoim miejscu. Wybełkotał coś. Nie rozumiałem ani słowa. Nie miałem pojęcia, czy podał hasło, czy mamrotał tylko coś bez sensu. Ręka opadła mu luźno wzdłuż ciała. Wyglądało na to, że nie dał rady.

Chwilę później od strony statku usłyszałem hałas. Właz otworzył się i z wnętrza wysunęła się nieduża i wąska rampa, której koniec dotknął ziemi tuż przed nami.

— Do środka! — rozkazał ostro Eet.

Wciągnąłem za sobą Hory'ego. Rampa była rzeczywiście wyjątkowo wąska i stroma. Wejście do środka z półprzytomnym strażnikiem sprawiało trudności, ale w końcu znaleźliśmy się wewnątrz.

Gdy już byliśmy w środku, poczułem, jakbym wszedł do dźwiękoszczelnego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Ból i chaos momentalnie zniknęły. Oparłem się o ścianę tuż przy włączniku i czułem, jak pot płynie mi po plecach. Poczułem tak ogromną ulgę, że na dłuższą chwilę zupełnie opadłem z sił.

W świetle, które zapaliło się po naszym wejściu, zobaczyłem, że Hory też nie wyglądał lepiej. Cały spływał potem, a jego twarz przybrała nieprzyjemną, zielonkawą barwę. Musiał przygryźć wargę, bo na ustach zobaczyłem krople krwi.

— Użyli przechwytywacza myśli... — Z trudem wymawiał każde słowo, jakby bał się prawdy. — Oni...

Eet znów ułożył się na moich ramionach.

— Lepiej startujemy od razu.

Nawet jeśli przechwytywacz miał na Eeta jakiś wpływ, nie zauważyłem tego. A teraz łatwiej mi było wykonywać jego polecenia, niż wymyślić coś samemu.

Hory doszedł chyba do podobnego wniosku. Wczołgał się w głąb statku, przechodząc przez wewnętrzny właz. Gdy ruszyłem jego śladem, usłyszałem za sobą dźwięk wciąganej rampy. Drzwi zabezpieczyły się automatycznie. Znowu poczułem ogromną ulgę.

Żeby dostać się teraz do nas, musieliby użyć megadestruktora. Wiedziałem, że ich statek jest zbyt mały, aby dysponować takim sprzętem.

Teraz prowadził nas Hory. Pięliśmy się w górę po wewnętrznej drabinie. Potem Eet wyprzedził nas. Przeszliśmy przez dwa poziomy i weszliśmy do kabiny pilota. Strażnik opadł na jeden z foteli i zaczął się przypinać pasami. Poruszał się jakby we śnie. Nie byłem pewien, czy zdawał sobie w ogóle sprawę z mojej obecności. Z pewnością jednak czuł obecność Eeta.

Statki patrolowe w założeniu miały przewozić nie więcej niż jedną osobę. Ale na wypadek jakiejś awarii w kabinie umieszczono drugi fotel. Usiadłem w nim i zacząłem pospiesznie przypinać się pasami. Tymczasem Hory pochylił się nad panelem sterowania, żeby wprowadzić z góry ustalony kod lotu. Eet wskoczył mi na kolana i przywarł do mnie.

Na panelu zapaliły się lampki i statek zadrżał. Ciśnienie wcisnęło mnie w fotel. Wiedziałem, że na mniejszych jednostkach start i lądowanie zawsze były trudniejsze do zniesienia niż na dużych liniowcach. Czułem, jakby ogromna ręka wgniatła mnie w ciemność.

Gdy ocknąłem się z omdlenia, zobaczyłem, że światełka na panelu nie migotały już, tylko paliły się jasnym światłem. Hory leżał bezwładnie w fotelu. Poczułem, jak Eet poruszył się na moich kolanach. Spojrzałem w dół i zobaczyłem jego oczy utkwione we mnie.

— Jesteśmy w przestrzeni...

— Ustawił stały kurs — powiedziałem. — Do najbliższej bazy patrolu lub do najbliższego większego statku.

— Jeśli uda nam się tam dotrzeć — odparł Eet. — Być może zyskaliśmy tylko trochę na czasie.

— Jak to?

— Nactitl nie wypuści nas tak łatwo. Cech walczy teraz o najwyższą stawkę. Nigdy nie chodziło o coś równie cennego. Nie pozwolą, żeby jeden strażnik pokrzyżował im plany.

— Nie mogą nas przecież zniszczyć. Nie mają na statku odpowiedniej broni.

— Mają jednak inny sprzęt. Równie użyteczny. Poza tym, czy tak bardzo zależy ci, żeby wylądować w jednej z baz patrolu?

— To znaczy? — spojrzałem na Hory'ego. Jeśli był przytomny, musiał słyszeć naszą „rozmowę”.

— Śpi — zapewnił mnie Eet. — Nie mamy jednak zbyt wiele czasu. Nie wiem, ile jego nieprzytomny mózg może odtworzyć z naszej rozmowy. Prawda wygląda tak — Nactitl wciąż nie znalazł tego, czego szuka. Jedyne, co ma, to te kamienie w ruinach. I choć strażnik i kapitan wciąż nie mogą w to uwierzyć, nie wykopano ich na tej planecie.

— A ty skąd to wiesz? A co z tunelami w urwisku?

— Ci, którzy je wykopali, szukali czegoś innego. Te znalezione w ruinach były rodzajem paliwa, napędu. Nactitl i inni będą sądzić, że odkryto je w tunelach. Ktoś, kto znajdzie prawdziwe źródło ich pochodzenia, z pewnością stanie się panem własnego losu, jeśli tylko wykaże się sprytem i dyskrecją. Poza tym, te w ruinach wyglądały na martwe, prawda?

— Z całą pewnością.

— Twój kamień nieco je ożywił. Tak samo jak mógłby uaktywnić każdy z waszych statków. Masz w ręku silny argument przetargowy. Musisz tylko należycie go wykorzystać. Wielu jest takich, którzy bez chwili wahania zabiliby cię za ten pierścień. I nie mówię tu tylko o ludziach z Cechu.

Obrócił głowę i spojrzał znacząco na strażnika.

— Nie mam szans w konfrontacji ze strażnikami i patrolem — powiedziałem. To, że postępowałem nielegalnie, nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Pierścień dostałem w spadku. Wkurzała mnie myśl, że mogą odebrać mi go ludzie, których nigdy wcześniej nie widziałem, zasłaniający się prawami, o których nie miałem pojęcia. — Ale będę walczył o to, co mi pozostało — dodałem.

— Słusznie. — Widziałem, że był zadowolony z mojej odpowiedzi. — Możesz ustąpić, a jednak wygrać.

— Tylko co? Fortunę, gdy wszyscy jedynie czekają, żeby wydrzeć mi mój sekret i usunąć mnie jak najszybciej?

Być może przejąłem pewne cechy po Hywelu Jernie. Mógł sam zdobyć bogactwo i majątek, a jednak wycofał się i chciał żyć spokojnie. Pewnie też dożyłby w spokoju starości,

gdyby nie ciekawość, która go zgubiła. Z drugiej strony potrzebę wolności mógł zaszcześcić we mnie Vondar Ustle. Gnała go przecież przez wiele światów i planet.

— Możesz kupić sobie tę wolność. — Eet łatwo podążał moim tropem. — Jaki masz teraz pożytek z tego pierścienia? Żaden. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, targuj się umiejętnie, tak jak cię nauczono. Do tego czasu będziesz wiedział już bardzo dobrze, czego chcesz.

— A czego właściwie ty chcesz? — spytałem.

Obrócił głowę i spojrzał na mnie.

— Dobre pytanie. Czego ja mogę chcieć? Nasze ścieżki zbiegają się. Powiedziałem ci już. Osobno jesteśmy słabi, razem stanowimy silny zespół, który przy odrobinie odwagi i śmiałości może dokonać bardzo wiele...

— Eet, kim ty właściwie jesteś?

— Żywą istotą — odparł — o pewnych zdolnościach, które ofiarowuję ci od czasu do czasu dla twojej korzyści i z pewnością nie po to, by ci szkodzić. — Znow czytając w moich myślach. — Oczywiście, że wykorzystałem cię w pewien sposób, ale ty zrobiłaś dokładnie to samo. Gdyby nie nasza współpraca, już dawno byś nie żyła. A dla takich jak ty, śmierć oznacza absolutny koniec... przynajmniej większość z was tak uważa.

— Nie wszyscy.

— Nie wiem, jak jest naprawdę — odparł. — Jednak pakt, który zawarliśmy, przynosi korzyści nam obu i będzie lepiej, jeśli na razie pozostanie tak, jak jest.

Nie mogłem się z tym nie zgodzić, choć nadal drzemało we mnie jakieś podejrzenie, że Eet ma swoje własne cele i chce pokierować mną tak, bym pomógł mu je osiągnąć.

— Budzi się — Eet wskazał na Hory'ego. — Powiedz mu, żeby sprawdził prędkość.

Nie byłem pilotem, jednak zobaczyłem, że na konsoli paliło się czerwone światło ostrzegawcze. Hory chrapnął przeciągle i wyprostował się w fotelu tak, że oparcie zaczęło się bujać. Przetarł oczy i pochylił się nad panelem kontrolnym z miną kogoś, kto spodziewa się kłopotów.

— Eet mówi, żebyś sprawdził prędkość.

Hory wyciągnął rękę i wcisnął przycisk tuż pod czerwoną lampką, która zapaliła się teraz na żółto. Po chwili jednak znow zmieniała kolor na czerwony. Spróbował ponownie, ale tym razem czerwone światło nie zgasło ani na chwilę. Manipulował przy dźwigniach i wciskał inne przyciski, ale lampka ostrzegawcza wciąż uparcie się paliła.

— Co jest? — spytałem.

— Namierzyli nas — wypowiedział to jak słowa klątwy. — Wystartowali zaraz po nas i teraz próbują ściągnąć nas z kursu. Nie wiem tylko, jakim cudem. Przecież ich statek jest mały. Nie mogą mieć takiego wyposażenia. — Cały czas wciskał różne przyciski i na moment zapaliło się nawet białe światło. Szybko jednak zmieniło się znow na czerwone.

— Mogą nas ściągnąć z powrotem?

— Próbują. Ale nie mogą zmusić nas do lądowania. Jeszcze nie teraz. Mogą pilnować, żebyśmy nie weszli w nadprędkość. I pewnie mają nadzieję, że uda im się wejść na pokład. I tu się mocno zdziwią. Jednak mogą trzymać nas blisko planety.

— I czekać na posiłki? Dlaczego i ty nie wezwiesz pomocy?

— Nie mam połączenia. Zakłócają wszelkie fale wokół naszego statku. Musieli już wcześniej wiedzieć o przybyciu posiłków. To pewnie jeden z ich olbrzymich transportowców.

— To co mamy teraz robić? Siedzieć i czekać...?

— Nie, jeśli mamy choć trochę oleju w głowach — wtrącił Eet. — Spodziewają się posiłków i to na tyle dużych, że bez trudu poradzą sobie z tak małym statkiem. To, na co się tu natknąłeś, Hory, to olbrzymia operacja, w której uczestniczą znaczne siły Cechu... A może wcale nie jesteś tym zaskoczony?

— Masz jakiś pomysł, jak sądzę — uciął krótko Hory. — Mogę utrzymywać strefę ochronną, ale nie mogę oderwać się od nich całkowicie. To oznaczałoby, że pozbawiamy się ostatniej drogi ucieczki. Ściągnęliby nas, zanim zdążyłbym ich ostrzelać.

Eet nie odpowiedział mu. Zwrócił się za to do mnie.

— Murdoc, pierścień...

— Co?

Pamiętałem siłę, z jaką pierścień ciągnął mnie w kosmosie i na planecie włochaczy, ale nie pojmowałem, do czego mógłby przydać się teraz, na statku. Nie było chyba szansy, żeby zakłócił ściągające nas fale.

— Zabierz go do maszynowni — rozkazał Eet.

Z pewnością wiedział więcej od mnie. Zastanawiałem się tylko, jakim cudem. Czytanie w myślach nie stanowiło dla niego problemu, ale skąd wiedział tyle o istocie pierścienia, o którym nawet ja nie miałem bladego pojęcia? Czy wiedzę tę zdobył jeszcze w czasach swej niejasnej przeszłości, zanim, jak to określił, przyswoił sobie tymczasową powłokę? Czy był... mógł być w jakiś sposób związany z tymi, którzy użyli kiedyś energii kamienia jako siły napędowej? Jak długo Eet pozostawał w formie nasienia... kamienia lub czegokolwiek, czym był, gdy połknęła go Valcyr?

Myśląc o tym, rozpinalem pasy. Nauczyłem się już na nim polegać i wiedziałem, iż jeśli mówił, że istniała szansa, to trzeba było spróbować.

— Co ty robisz? — spytał ostro Hory.

Eet odpowiedział za mnie.

— Chcemy zwiększyć siłę twojego statku, strażniku. Nie mamy żadnej pewności. To tylko próba.

Choć powiedział „my”, i tak wiedziałem, że to ja wcielę w życie plany lub zamierzenia, które on mi podsunie.

Zeszliśmy po drabinie na najniższy poziom, do pomieszczenia, gdzie znajdował się reaktor. Eet obwąchiwał wszystko i zachowywał się tak, jakby dalej prowadził nas przez mroczny las. W końcu wskazał mi jedną z zamkniętych skrzynek.

— Tutaj. Ale musisz działać szybko. Użyj spawarki...

Z miną rozbawionego szaleńca Hory otworzył jedną z szafek i wyciągnął przyrząd, którego zażądał Eet. Powoli wyjąłem pierścień. Choć Eet jasno powiedział, co mam robić, jakoś nie byłem do tego przekonany. Poza tym nie bardzo chciałem pokazywać klejnot Hory'emu. Jeśli chodziło o pierścień, nauczyłem się, że nie należy ufać nikomu. Tym bardziej, że ciągnęło się za nim ponure pasmo nieszczęść dotykających ludzi, którzy byli mi najbliżsi.

Dlatego też z początku pomyślałem, że tym razem Eet się pomylił. Pierścień nie dawał żadnych oznak życia. Był tak martwy, jak wówczas, gdy ujrzałem go po raz pierwszy. Wbrew własnej woli położyłem go na pudełku, jak kazał mi Eet.

W chwilę później, jakby protestując, przebudził się do życia. Nie palił się jednak tak mocno jak w próżni, słabiej nawet niż w podziemnym pomieszczeniu, gdzie leżał koło innych, podobnych kamieni. Jego blask nie był bladoniebieski jak zwykle, lecz żółtawy. Hory wpatrywał się w klejnot tak intensywnie, że zapomniał, po co wyciągnął spawarkę.

— Przytwierdź go... szybko! — zażądał Eet. Machał ogonem, jakby ponaglając mnie do działania. Wyciągnąłem rękę, żeby Hory dał mi spawarkę. Hory wstał, sam przystawił koniec urządzenia do miejsca, w którym pierścień stykał się z powierzchnią pudełka, i połączył je razem.

— Patrzcie... — Eet nie zdążył jednak dokończyć. Hory błyskawicznie odwrócił się i zamachnął spawarką. Tylko cud sprawił, że jej rozżarzony koniec nie trafił Eeta. Ale cios był celny i mój towarzysz potoczył się na posadzkę z taką siłą, że padł nieprzytomny.

Byłem tak zaskoczony, że przez chwilę nie mogłem się ruszyć. I to mnie zgubiło. Gdy rzuciłem się w stronę Hory'ego, prawie się nadziałem na rozpalony czubek spawarki, którym machał mi przed oczami. W jego twarzy zobaczyłem taką determinację, że nie odważyłem się ruszyć dalej.

Cofnąłem się więc i starałem podejść do Eeta. Hory rzucił się do przodu, odganiając mnie. Cały czas wymachiwał spawarką. Jeszcze parę kroków i oparłem się plecami o ścianę. Nie miałem już dokąd uciekać.

— Dlaczego? — spytałem.

Stałem teraz pod ścianą z rozłożonymi rękami. Przed oczami miałem rozżarzony koniec spawarki.

Hory, trzymając spawarkę w jednej ręce, grzebał w kieszeniach swej tuniki. Po chwili wyjął tubę, z której wyciągnął gumową sieć podobną do tej, którą skrzypowali go ludzie Cechu. Ta jednak była o wiele mniejsza i nadawała się świetnie do związania rąk.

— Dlaczego? — powtórzył moje pytanie. — Bo wiem, kim jesteś. Zdradziłeś się sam lub zdradziło cię to zwierzę, gdy pokazaliście mi pierścień. Co tu się wcześniej działo? Czy nie zgodziłeś się na warunki Cechu? Tropimy cię od miesiący, Murdocu Jernie.

— Z jakiego powodu? Przecież nie jestem człowiekiem Cechu...

— W takim razie jesteś na tyle głupi, żeby planować coś na własną rękę. Albo liczysz za bardzo na pomoc tego stwora. Bez niego niewiele jesteś wart.

Kopnął bezwładne ciało Eeta, które potoczyło się pod ścianę. Próbowałem desperacko nawiązać telepatyczny kontakt z Eetem, ale bezskutecznie. Po raz drugi już uwierzyłem, że nie żyje; tym razem jednak ciało mojego towarzysza było tego niezbitym dowodem.

— Oskarżasz mnie o jakieś gierki. — Próbowałem ujarzmić narastający gniew. Wiedziałem, że łatwo mogę popełnić niewybaczalny błąd. Być może nie doprowadziłem do perfekcji sztuki panowania nad uczuciami, co powinien umieć każdy, kto chciał zyskać przewagę nad innymi, ale pilnie słuchałem rad, udzielanych mi przez ojca i miałem zamiar wcielić je teraz w życie. — O co ci chodzi?

— Twój ojciec przez całe życie utrzymywał kontakty z Cechem. — Hory zachowywał się jak nauczyciel, który zwraca uwagę uczniowi na ważny punkt wyświetlany na planszy w czasie wykładu. Zamiast wskaźnika jednak używał rozgrzanej do czerwoności spawarki. — Jeśli nawet nie jesteś jednym z nich, to musisz mieć z nimi powiązania dzięki byłym znajomościom ojca. Hywela zamordowano prawdopodobnie z powodu informacji, jakie posiadał — tu wskazał na pierścień — na temat tego przedmiotu. Byłeś w tym czasie na Angkor. Zaraz potem zniknąłeś, zrywając wszelkie kontakty z rodziną. Gdy mordowano Vondara Ustle, w okolicznościach, które jasno wskazywały na zaplanowany zamach, również byłeś w pobliżu. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Czy przypadkiem nie odkrył, że miałeś ze sobą pierścień i nie zagroził, że zawiadomi o tym władze? Cokolwiek się stało, sytuacja rozwinęła się nie tak, jakbyś sobie tego życzył. Nie mam racji? Nie udało ci się wprawdzie uciec ze skarbami, jakie uzbierał twój nauczyciel, ale mimo to bez trudu wydostałeś się z Tanth... Statek, którym uciekłeś, od dawna jest podejrzewany o kontakty z Cechem. Zostawili cię tutaj. Potem pokłóciłeś się z przełożonymi. Powinieneś był wiedzieć, że w walce z Cechem nie masz szans. Nie myślałeś chyba, że uciekniesz jedynie przy pomocy tego stworzenia? I tak wydobędziemy od ciebie prawdę, gdy użyjemy wykrywacza kłamstw...

— Jeśli uda ci się mnie dostarczyć do bazy!

— O! Nie sądzę, żebyś miał teraz szansę ucieczki. Sam przygotowałeś wszystko. Ale o ile sobie przypominam, nie masz doświadczenia w lataniu. Nie czujesz tego. Gdybyś czuł, już dawno zorientowałbyś się, że uwolniliśmy się od fal ściągających. A teraz... — Wciąż grożąc mi spawarką, Hory pochylił się i podniósł bezwładne ciało Eeta — ...wsadzę go do chłodni. Nasi naukowcy na pewno zechcą przyjrzeć mu się bliżej. Ty też pozostaniesz w zamknięciu do czasu, gdy będziesz znów potrzebny.

Wyprowadził mnie z maszynowni i poszliśmy wprost do drabiny prowadzącej na wyższe poziomy. Cofałem się powoli, szukając choćby najmniejszej szansy. I nawet jeśli zdecydowałbym się teraz na atak, wiedziałem, że wystarczy jeden ruch jego ręki, by ostudzić moje zapaly rozgrzanym przyrządem, który trzymał w ręce.

Ciało Eeta kiwało się na boki jak żalosne wahadło. Spojrzałem na niego i moja nienawiść i gniew zniknęły. Dostrzegłem teraz swoją szansę. Widziałem, jak Eet powoli wraca do życia. Zwinał się w kłębek i wpił ostre, długie zęby w rękę, która go trzymała. Hory wrzasnął z bólu i zaskoczenia. Zaatakowałem.

Rozdział piętnasty

Nie mogłem użyć rąk (a szkoda, bo ojciec nauczył mnie chwytów, które z pewnością okazałyby się przydatne podczas kosmicznej tułaczki), ale udało mi się zaatakować Hory'ego. Zepchnąłem go pod ścianę i uderzyłem głową w piersi. Gwałtownie wypuścił powietrze. Nie potrafiłem jednak w pełni wykorzystać niewielkiej przewagi, jaką uzyskałem. Mogłem jedynie przyciskać go z całej siły do ściany. Znaleźliśmy się w sytuacji, z której nie bardzo widziałem, jak wyjść.

Choć Eet rozpoczął walkę, nie sądziłem, żeby mógł teraz zrobić coś więcej. Nie doceniłem jego możliwości. Zwinnie skoczył przed siebie, lądując na pochylonej głowie Hory'ego. W locie musnął mnie cienkim ogonem. Chwytał Hory'ego za uszy, podobnie jak postąpił ze mną, gdy uciekaliśmy w stronę statku strażnika.

Hory wrzasnął i próbował podnieść ręce, ale przycisnąłem go mocniej, by dać Eetowi więcej czasu. W chwilę później cofnąłem się nieco i z jeszcze większym impetem natarłem na strażnika. Celowałem tak, żeby uderzyć go ramieniem w krtań. Wiedziałem, że jeśli trafię, mogę go nawet zabić.

Hory zacharczał, a kiedy odsunąłem się trochę, próbował złapać się za gardło. Nie pozwoliłem mu jednak na to i po chwili zaczął osuwać się na ziemię. Z pewnością spadłby w dół, gdybym nie przycisnął go do drabiny i nie przytrzymał nogami jego bezwładnego ciała.

Eet zwolnił uchwyt, pozostawiając na ciele strażnika głębokie zadrapania. Zeskoczył w dół, rozdarł tunikę Hory'ego i wyciągnął gumową sieć. Bardzo sprawnie skierował wylot tuby na strażnika i ten już po chwili leżał na posadzce, skrzepowany równie mocno jak w tunelu.

Eet dyszał ciężko. Przysiadł na tylnych łapach, wpatrując się w strażnika. W pysku wciąż trzymał pustą tubę po sieci. Hory z trudem łapał powietrze. Był purpurowy. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy cios, który zadałem, nie pogruchotał mu kości. Być może uszkodziłem go bardziej niż chciałem. Przypomniałem sobie, jak chciał postąpić z Eetem i ze mną, jednak teraz, gdy pierwsze emocje już opadły, zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę nie chciałem go zabić. Zabijałem wcześniej tylko w obronie własnej, jak na Tanth, nigdy jednak z chęci zabijania. Zresztą niewielu postępuje inaczej. Poza tym zabicie kogoś gołymi rękami też było czymś innym. Hory wykonywał rozkazy. Sądził, że prawo jest po jego stronie, choć czasami prawość i prawo nie idą w parze. Szanowałem zasady patrolu i czułem respekt przed jego ludźmi, ale nie oznaczało to, że bezwolnie poddam się czemuś, co ze sprawiedliwością

miało niewiele wspólnego. W słabo zaludnionych i nieucywilizowanych światach prawo musi być bardziej giętkie, niż na wysoko rozwiniętych planetach. A z tego, co powiedział mi Hory, wynikało, że zostałem z miejsca osądzony i skazany, bez możliwości jakiegokolwiek obrony.

— Twoje ręce... — Eet wskoczył teraz na drabinę i usiadł na wysokości moich ramion.

Wyciągnąłem przed siebie spętane dłonie, a on szybko i sprawnie przegryzł więzy. Znowu wolny, pochyliłem się nad Horym i ułożyłem go tak, żeby mógł swobodniej oddychać. Po chwili purpurowy odcień zaczął powoli znikać z jego twarzy.

— I tak wam się... nie... uda... Lecimy... ustalonym... kursem... — wyszeptał z trudem — prosto... do... bazy...

Widziałem, że mimo swego obecnego położenia jest zadowolony z siebie. Być może słusznie. Jeśli nastawił autopilota na określony kurs, nie mogliśmy nic na to poradzić, a nasza wolność miała się wkrótce znów skończyć. Wyglądało na to, że choć pokonaliśmy go w walce, zwycięstwo należało do niego.

Uśmiechnął się, widząc wyraz mojej twarzy. Być może odgadł moje myśli. Wiedział, że nie jestem pilotem i nawet jeśli istniał jakiś sposób na zmianę kodu, to i tak go nie znałem. Podobnie zresztą jak Eet.

— Przynies go... — Eet wskazał na strażnika, a potem na drabinę.

— Nie mogę wam pomóc — wtrącił Hory. — Po ustawieniu kursu niewiele można już zrobić.

— Tak? — Eet popatrzył przeciągle na strażnika. — To się okaże.

Pewność, z jaką to powiedział, nie zbiła Hory'ego z tropu, ale gdy popchnąłem go w stronę drabiny, nie protestował. Choć prawie w ogóle nie mógł się wspinać, zachowywał się tak, jakby sam chciał wrócić do kabiny. Gdy tracił równowagę, podtrzymywałem go. Ponieważ grawitacja na statku nie była duża, nie sprawiało mi to trudności.

Myślę, że chciał po prostu nacieszyć się naszą bezradnością, gdy przekonamy się sami, że nie damy rady zmienić kursu.

Dla mnie panel kontroli był prawdziwym rebusem. Ale Eet przebiegł przezabinę, wskoczył na fotel pilota, a stamtąd na panel. Obracał głowę we wszystkie strony. Czegoś szukał. Cokolwiek jednak to było, nie mógł tego znaleźć. Zszedł więc z panelu i przysiadł na siedzeniu pilota. Czuję, że szczelnie odgradził od nas swój umysł i intensywnie myślał.

Hory zaśmiał się.

— Twój superzwierz jest chyba w kropce, Jern. Mówię ci, lepiej, gdybyście się poddali i...

— ...zdali na łaskę patrolu? — dokończyłem.

Być może rzeczywiście za bardzo polegałem na Eecie i jego graniczących z cudem czynach. Wyglądało na to, że Hory miał rację i tylko pozornie pozostawał naszym więźniem.

— Pełna współpraca złagodzi twój wyrok — odparł Hory.

— Nie miałem jeszcze procesu i, jak na razie, nie skazano mnie — odpowiedziałem. — A oskarżenia, które przeciwko mnie wyciągnąłeś, są raczej mętne. Odziedziczyłem pierścień po

ojcu. Udało mi się obronić przed zamachem na Tanth, a za przewóz zapłaciłem kamieniami. Sam widziałeś, że nie działałem wspólnie z Cechem. O co więc mnie oskarżasz? Wygląda na to, że współpracuję z patrolem, z tobą. To dzięki Eetowi udało się nam uciec z tunelu, a mój pierścień wzmocnił twój statek i mogliśmy przełamać ściągnające nas promienie...

Choć Hory cały czas się uśmiechał, w jego twarzy nie zobaczyłem nic przyjaznego.

— Gdy byłeś na Tanth, musiałeś słyszeć ich powiedzenie: „Kto odda demonowi choćby jedną przysługę, staje się na zawsze jego niewolnikiem”. Jeśli rzeczywiście ten pierścień jest tym, o czym mówią plotki, to nie powinien znajdować się w posiadaniu tylko jednego człowieka. Mamy rozkaz zniszczyć pierścień i jego właściciela, jeśli okaże się to konieczne.

— Nawet łamiąc przy tym prawo?

— Czasem trzeba złamać prawo, żeby ocalić całą rasę czy gatunek...

— To bardzo ryzykowne podejście — wtrącił Eet. — Prawo albo jest, albo go nie ma. Murdoc uważa, że można je czasem nagiąć lub obejść, żeby chronić to, co uważa się za słuszne. A ty, który z urzędu powinieneś stać na straży prawa, mówisz nam teraz, że można je łamać wedle uznania i korzyści. Coś mi się wydaje, że ty i tobie podobni niespecjalnie szanujecie to wasze prawo.

— Co ty... — nawet ja odczułem dawkę nienawiści, którą Hory przesłał w stronę Eeta. Stałem między strażnikiem a fotelem pilota, gdzie siedział Eet.

— Co ja, zwierzę, mogę wiedzieć o waszych ludzkich sprawach? — dokończył za niego Eet. — Tylko tyle, ile się dowiem z twoich myśli. Nigdy nie pomyślisz, że jestem czymś więcej niż zwierzęciem, co? Nie wiem tylko, co takiego jest w tobie, że nie pozwala ci zobaczyć prawdy, którą widzisz. A może boisz się przyznać, że i ty czasem się mylisz? Masz wyjątkowo wysokie mniemanie... — Eet przerwał, by uważnie przyjrzeć się Hory'emu — ... o wszystkim, co robisz.

Hory zrobił się cały czerwony i mocno zacisnął usta. Żałowałem, że nie mogę czytać w jego myślach, jak robił to Eet. Nawet jeśli były w nich groźby, Eet nie dał tego po sobie poznać i szybko zmienił temat.

— Jeśli mój gatunek ma przetrwać, a to dla mnie najważniejsza kwestia, trzeba szybko podjąć pewne kroki. Masz prawdopodobnie rację, Hory, mówiąc, że statku nie da się skierować na inny kurs, ale nie byłbym taki pewien, czy nie da się go zawrócić.

Na twarzy strażnika zobaczyłem zaskoczenie. Eet musiał wyjątkowo łatwo czytać w jego myślach.

— Wielkie dzięki — Eet był wyraźnie zadowolony. — Więc tak, to można zrobić!

Wskoczył z powrotem na panel sterowania i na moment zawiesił łapy nad przyciskami, jakby przygotowując się do wykonania ważnego i delikatnego zadania.

— Nie! — wrzasnął Hory i rzucił się w jego kierunku. Stałem mu jednak na drodze i musiał skapitulować. Zadałem mu jeden z ciosów, jakich nauczył mnie ojciec. Hory momentalnie rozłożył się na ziemi.

Zaciągnąłem go na fotel pasażera i przypiąłem. Potem wróciłem do Eeta, który wciąż przyglądał się desce rozdzielczej. Głową nadal obracał na wszystkie strony, jednak łapami ani razu nie dotknął konsoli.

— Mamy mały problem — zauważył. — Podłączenie pierścienia może skomplikować sprawę. Można zawrócić statek, to prawda. Wyczytałem to w jego myślach, gdy był zaskoczony. W takim stanie często udaje się wyciągnąć od kogoś ważne informacje. Z tym, że przy naszej obecnej prędkości wylądujemy daleko od miejsca startu.

— A co da nam powrót? — Nie możemy zmienić kursu, dopóki nie wylądujemy. Nie jestem pilotem. Nie wystartuję, nawet jeśli się nam uda wprowadzić drugi kod.

— O to będziemy martwić się później — wtrącił Eet. — Nadal chcesz lecieć tam, dokąd teraz zmierzamy?

— A co ze statkiem Cechu? Znów mogą nas wytropić...

— Zastanów się dobrze... Czy będą się nas spodziewali? Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek, nawet tak sprytny jak kapitan Nactitl, przewidział nasz powrót. Jeśli uda nam się wylądować z dala od ich statku, zyskamy na czasie, a tego potrzeba nam teraz najbardziej.

Znowu miał rację, jak zwykle zresztą. Wolałbym nie kończyć podróży w miejscu, które zaplanował Hory. Nawet jeśli poprzednie zarzuty można było obalić, przejęcie statku stawiało mnie w sytuacji, w której raczej trudno bronić się przed oskarżeniami patrolu.

— To i to, i to...

Eet skończył już przegląd panelu sterowania i niezwykle szybko i zdecydowanie wciskał teraz kolejne przełączniki. Nie znałem się na tym i trudno mi było powiedzieć, czy robił coś dobrze czy źle. Obserwowałem tylko, jak poszczególne lampki gasły, a w ich miejsce zapalały się inne, i miałem nadzieję, że Eet wiedział, co robi.

— Co teraz? — zapytałem, gdy zeskoczył na fotel pilota.

— Pozostaje tylko czekać. Powinniśmy coś zjeść...

Gdy wspomniał o jedzeniu, poczułem, że po posiłku, który zjadłem w tunelu, nie pozostało już nawet wspomnienie. Czułem narastający głód i pustkę w żołądku. Przeszukałem rzeczy Hory'ego. Cały czas był nieprzytomny, ale oddychał regularnie. Potem, wraz z Eetem, który mógł schodzić znacznie szybciej niż ja, poszliśmy na dół. Znaleźliśmy tam niewielką kuchnię, a w niej, jak mi się wtedy zdawało, mnóstwo jedzenia. To była prawdziwa uczta. Przypomniałem sobie lambdacyjkie bankiety i smakowałem każdy kęs.

Eet zjadł razem ze mną, choć jedzenie to w niczym nie przypominało tego, na co miał zwyczaj polować. Gdy siedzieliśmy już obaj, najedzeni, zacząłem zastanawiać się nad przyszłością.

— Nie potrafię wystartować — powiedziałem po raz kolejny. — Możemy utknąć w świecie, w którym z pewnością nie mam ochoty zbyt długo przebywać. Jeśli przedstawiciele Cechu polecą za nami, wytropią nas. Nie wiem, jak używa się broni na tym statku. Choć jeśli

chodzi o systemy obronne, to możemy spokojnie zaufać Hory'emu. On będzie wiedział, jak je obsługiwać.

— Poza tym mogę czytać w jego myślach i zorientuję się, kiedy zacznie coś kombinować. — Eet starannie oblizywał łapy ciemnoczerwonym językiem. Dokładnie mył każdy pazur z osobna. — Nie spodziewają się nas. Za jakiś czas na pewno uda nam się wystartować. Nie powinieneś widzieć przyszłości wyłącznie w ciemnych barwach. Przekonasz się, że rozświetli ją słońce. Teraz powinniśmy się przespać. To wzmacnia ciało i pozwala umysłowi odpocząć. Obudzimy się lepiej przygotowani na to, co nas czeka.

Zeskoczył ze stołu i stanął na podłodze.

— Tedy... do koi... — Ruchem łba pokazał drzwi naprzeciwko wejścia. — O nic się nie martw, alarm obudzi nas, gdy wejdziemy w atmosferę planety.

Odsunąłem drzwi i zobaczyłem posłanie. Rzuciłem się na nie okrutnie zmęczony. Eet położył się koło mnie, zwijając się w kłębek. Zamknął oczy i wyłączył swój umysł. Nie pozostawało mi nic innego, jak zrobić to samo. Usnąłem.

Z błógiego stanu wyrwał mnie dokuczliwy odgłos dzwonka. Rozejrzałem się nieprzytomnie dookoła i zobaczyłem Eeta. Siedział na posłaniu i cesał wąsy.

— Wchodzimy w atmosferę — powiedział.

— Jesteś pewien? — Usiadłem i przeczesałem ręką włosy. Nie były zbyt miłe w dotyku. Za długo już podróżowałem bez kąpieli. Zobaczyłem, że ślady po strupach powoli znikają. Wiedziałem, że minie jeszcze trochę czasu i w ogóle nie będzie widać, że coś mi kiedyś dolegało.

— Wracamy do punktu wyjścia. — Eet był raczej pewny swego, ja mniej, przynajmniej dopóki nie zobaczę tego na własne oczy. — Możemy zostać tutaj — dodał.

— Ale statek...

— Całkowicie pod kontrolą autopilota. Przecież nie poprowadziłbyś go sam?

Znowu miał rację. Czułbym się zdecydowanie gorzej, gdyby to Hory pilotował teraz statek. Autopiloty ulepszano i poprawiano, aż stały się mniej zawodne od ludzi. Cały czas jednak istniało ryzyko awarii, w czasie której jedynie refleks i natychmiastowe działanie mogły ocalić statek. I choć teraz statki były sterowane automatycznie nawet podczas lądowania, zawsze czuwał nad wszystkim pilot, inżynier albo ktoś z załogi, kto dawniej zajmował się tym osobiście.

— Nie ufasz maszynom, co?

Eet położył się koło mnie, gdy opadłem ciężko na posłanie. Zdawało się, że chce porozmawiać, gdy ja wcale nie miałem ochoty na czcze pogaduszki.

— Myślę, że nie tylko ja. Nie jestem technikiem. Maszyny to dla mnie zagadka.

Żałowałem, że nie znam się lepiej na podróżach kosmicznych i statkach.

Nawet jeśli chciał to jakoś skomentować, nie usłyszałem jego słów. Podchodziliśmy do lądowania. W głowie zakotłowało mi gorzej niż poprzednio. Podziwiałem Hory'ego. Musiał

być naprawdę twardy, skoro ciągle narażony był na takie przyjemności. Ze strachem myślałem o nieudanym lądowaniu. Co się stanie, jeśli automatyczny system nie wybierze odpowiedniego miejsca i wpadniemy do jakiegoś jeziora albo utkniemy gdzieś bez możliwości startu? Zdawałem sobie sprawę, że nie mam na to żadnego wpływu.

Potem otworzyłem oczy. Bolała mnie głowa. Znowu poczułem siłę grawitacji. Wiedziałem, że się udało. Statek stał prosto, więc musieliśmy wylądować dosyć stabilnie.

Eet wyszedł spod pasa, którym przypiąłem nas obu do koi. Wkurzało mnie, że zawsze tak szybko dochodził do siebie. Mnie zajmowało to o wiele więcej czasu. Myślałem, że uderzenie spawarką zabiło go, a teraz nie było widać na nim choćby zadrapania.

— No to jesteśmy...

Szedł już w kierunku drzwi. Po chwili usłyszałem odgłos jego drapiących pazurów, gdy wspinał się po drabinie. Ruszyłem za nim, ale znacznie wolniej. Zatrzymałem się po drodze, żeby wziąć tubę z żywnością. Z pewnością Hory potrzebował jedzenia tak, jak my potrzebowaliśmy jego samego — przynajmniej do czasu, gdy nie dowiemy się, gdzie jesteśmy i co robić dalej.

Strażnik był już przytomny. Patrzył teraz na Eeta z widoczną niechęcią. A Eet siedział sobie w jego fotelu, na siedzeniu pilota. Po raz pierwszy, od kiedy się poznaliśmy, mój towarzysz wyglądał na zaskoczonego.

Jak zwykle, panel sterowania wyposażony był w podgląd tego, co znajdowało się na zewnątrz. Jednak przycisk włączający był za daleko, jak dla Eeta.

Eet wyciągnął się, jak tylko potrafił, ale wciąż nie mógł dotknąć przełącznika. Podszedłem, żeby mu pomóc.

Na ekranie pojawił się obraz. Statek wylądował naprzeciwko urwiska. Z całą pewnością nie widziałem tego miejsca nigdy wcześniej.

O ile mogłem porównać je z klifem nad rzeką, zbudowane było z podobnej, szarozółtej skały, jednak nigdzie nie dostrzegłem wydrążonych tuneli.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Hory odezwał się.

— Włącz ruchome kamery... to ta dźwignia, tam...

Był skrepowany, więc musiał pokazać mi ruchem głowy, co miałem włączyć. Posłusznie uruchomiłem mechanizm, o którym mówił.

Ściana klifu przesuwała się teraz wolno przed naszymi oczami. Potem zobaczyliśmy fragment otwartej przestrzeni — niebo i czubki drzew.

— Obniż trochę — domagał się Hory. — Przesuń dźwignię w dół. Chcemy zobaczyć, co dzieje się na ziemi.

Gdy obraz opuścił się gwałtownie, poczułem się prawie tak, jakbym spadał. Zobaczyłem drzewa i krzewy. Dookoła było pełno dymu. Ślad po naszym lądowaniu. Ziemia i rośliny wokół statku zostały doszczętnie spalone. Nigdzie nie widziałem tych ogromnych drzew, które powstrzymały kapsułę przed zderzeniem z ziemią.

Nie widziałem też żadnych ruin ani wraków. Nie było również tego, czego obawiałem się najbardziej, czyli statku Cechu. Im więcej widzieliśmy, tym bardziej dziki i nienaruszony wydawał się krajobraz. Nie miałem pojęcia, jak daleko znajdowała się kopalnia.

— Niedaleko. — Eet wszedł wyżej, żeby lepiej przyjrzeć się krajobrazowi. — Statek można namierzyć. Szczególnie na planecie, gdzie nic nie zakłóca fal. On już o tym pomyślał... — wskazał na Hory'ego.

Zwróciłem się do strażnika.

— Co ty na to? Jesteśmy z powrotem na tej planecie. Poznają po roślinności. Możesz namierzyć dla nas ich statek albo obozowisko?

— A z jakiej racji miałbym to robić? — Leżał teraz spokojnie, jakby nic go nie obchodziło. Nie próbował nawet uwolnić się z więzów. — Po co miałbym sam pakować się w łapy twoich kamratów? Teraz dopiero masz problem, co, Jern? Wystartuj na ustalonym kursie, a dotrzemy do mojej bazy. Zostań tu, a twoi koleżkowie szybko cię znajdą. Lepiej postaraj się z nimi dogadać. Możesz użyć mnie jako oferty przetargowej.

— Mało dajesz mi powodów, żebym postąpił z tobą inaczej — odparłem. — Ale to nie są moi kumple i nie zamierzam się z nimi targować.

Kusiło mnie, żeby go przekonać, że trafnie odgadł moje zamiary. Tylko po co miałem prowadzić z nim jakieś niejasne gierki, skoro niedługo jego pomoc mogła mi być bardzo potrzebna? Statek mógł przecież wystartować bez pilota. Musiałem się jednak dowiedzieć, czy Hory miał na pokładzie i inne kody kursów, których mógłbym użyć, i czy one również nie były nastawione na bazy lub większe statki patrolu. Czas uciekał. Być może Cech już nas namierzył.

Potrzebowałem... potrzebowaliśmy Hory'ego, choć nie wolno nam było zbyt uzależnić się od jego pomocy, przynajmniej do czasu, gdy tamci nie dobiorą się do nas. Musiałem przekonać go, że powinniśmy połączyć siły, przynajmniej na jakiś czas.

— Nie wiesz, czego oni tam szukają? — spróbowałem zmienić temat.

— Przecież to proste. Chcą się dowiedzieć, gdzie wydobywano kamienie.

— Coś, co udało się ustalić Eetowi, ale nie im — powiedziałem powoli.

Bąłem się, że Eet zaprzeczy, ale nie odezwał się. Cały czas przyglądał się ekranowi, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Rozgrywałem teraz swoją grę i pocieszyło mnie, że nie protestował.

— Gdzie jest to miejsce...?

Hory musiał wiedzieć, że nie odpowiem na to pytanie. Na ekranie pojawił się kawałek otwartej przestrzeni. Niedaleko od miejsca lądowania zobaczyliśmy łąkę żółtego piasku. Nigdy wcześniej w tym posępnym świecie nie widziałem piasku w tak jasnym i intensywnym kolorze. Za tą piękną plażą ciągnęły się jasnozielone wody jeziora. Jego czysta powierzchnia nie wróżyła niczego złego. Plaża i jezioro wyglądały razem tak, jak błyszczące klejnoty umieszczone pośrodku monotonnej i ponurej roślinności.

— W naturze tych kamieni leży to, że szukają podobnych sobie. — Staralem się powiedzieć wiele, nie mówiąc przy tym prawdy. — Jeden przywiedzie cię dokładnie do miejsca, gdzie znajduje się następny. Wystarczy tylko iść w kierunku, który pokazuje taki kamień. Eet wziął pierścień tuż przed lądowaniem ludzi z Cechu. Wcześniej szliśmy za nim i Eet poszedł dalej. Znalazł źródło przyciągania...

Eet zdawał się w ogóle nie słyszeć moich słów, zajęty oglądaniem obrazu na ekranie. Nagle wydał jeden z tych nielicznych dźwięków, jakie czasem u niego słyszałem. Wydał wargi, odsłaniając zęby i syczał. Zaskoczony, spojrzałem na monitor.

Rozdział szesnasty

Obraz powoli się przesunął. To, co teraz zobaczyliśmy, musiało się znajdować po drugiej stronie statku. Widziany przez nas poprzednio krajobraz wyglądał na zupełnie dziki, tu wyraźnie dostrzegaliśmy ślady czyjejś ingerencji.

Obserwując brzegi jeziora, ujrzelśmy małą zatoczkę. Na jej środku ustawiono platformę, na której stały skalne bloki. Opasywał ją niski mur, a na nim stały wąskie i podłużne kamienie w kształcie głów. Różniły się między sobą. Były to albo wizerunki bóstw, albo podobizny reprezentantów różnych ras. Nie ich wygląd jednak był najdziwniejszy. Bardziej zaskoczyło nas to, że z czubków głów stojących na rogach całej konstrukcji unosił się zielonkawy dym, kolorem przypominający barwę wody. Wyglądało na to, że rzeźby były w środku puste i palono tam ogień.

Poza snującym się leniwie dymem, dookoła nie zaobserwowaliśmy najmniejszego śladu życia. Widzieliśmy prawie całą platformę i jeśli nikt nie czołgał się teraz za niskim murem, to musiała być pusta. Eet cały czas syczał. Włosy na grzbiecie stanęły mu dęba.

Przyglądałem się rzeźbom i starałem się dostrzec w nich jakiegokolwiek podobieństwo do istot, które napotkałem już w swoich podróżach. Jedną z twarzy udało mi się rozpoznać.

— Deenal! — powiedziałem na głos, przypominając sobie wizytę w muzeum na Ionie, do którego zaproszono mnie wraz z Vondarem na prywatny pokaz skarbów znalezionych w kosmosie. Widziałem tam ogromny naramiennik, zbyt duży, żeby mógł go nosić człowiek. Wryto na nim tę samą twarz. Naramiennik pochodził jeszcze z czasów, kiedy ludzie podbijali kosmos. Człowieka nazwano Deenalem na podstawie legendy odtworzonej przez Zakathan. O samym naramienniku wiadomo było bardzo niewiele.

Mogłem jednak rozpoznać tylko tę jedną głowę. Pozostałe z pewnością przedstawiały inną rasę. Czy był to zatem monument wzniesiony na cześć jakiejś od dawna nieistniejącej konfederacji, która skupiała wiele różnych narodowości?

My również mieliśmy sprzymierzeńców i partnerów, którzy nie wywodzili się od ludzi. Weźmy na przykład spokrewnionych z gadami Zakathan, pochodzących od ptaków Trystian albo dziwacznych, przypominających smoki Wivernów, i cały szereg innych.

Z niektórymi rasami nie utrzymywaliśmy prawie żadnych kontaktów. A wśród ras humanoidalnych istniało wiele odmian i mutacji. Było ich podobno tyle, że podróżując nawet przez całe życie można było napotkać istoty, o których się wcześniej nie słyszało.

Reakcja Eeta bardzo mnie zaskoczyła. Syczał bez przerwy, wrogo przyglądając się temu miejscu. Zapytałem go wreszcie:

— O co chodzi? Ten dym... ktoś tam jest...?

Eet nadal syczał; wreszcie potrząsnął głową, jakby oprzytomniał.

— Storrrff...

Nie przypominało to żadnego znanego mi słowa. Nie wiem, czy był to w ogóle jakiś dźwięk. Eet poprawił się jednak błyskawicznie, jakby bał się, że pod wpływem emocji może powiedzieć zbyt wiele.

— Nieważne. To stare, martwe miejsce. Nie ma żadnego znaczenia...

Wyglądało na to, że bardziej uspokajał sam siebie, niż odpowiadał na moje pytanie.

— Dym — przypomniałem mu.

— Tubylcy... Nie rozumieją istoty tego miejsca, ale czczą je. — Sprawiał wrażenie, że jest pewien tego, co mówi. — Musieli uciec, gdy podchodziliśmy do lądowania.

— Storrrff... — Hory powtórzył słowo, które przed chwilą wymienił w myślach Eet. — Co... Kto to jest ten *storrrff*?

Eet jednak znów był sobą.

— Nic, co byłoby ważne przez ostatnie kilka tysięcy lat rozwoju waszej cywilizacji. To miejsce jest martwe i dawno już o nim zapomniano.

Ty nie zapomniałeś, pomyślałem. Ponieważ nie odpowiedział, wiedziałem, że to jeden z tych tematów, o których nie chciał rozmawiać. Stanowił dla mnie coraz większą zagadkę. Nie miał zamiaru wyjaśnić mi, czy jedna z figur przedstawiała kogoś zwanego *Storrrffem*, czy też może jest to nazwa tego miejsca. Byłem jednak pewien, że poznał to miejsce lub jego część, i że nie są to miłe wspomnienia. Kamera zatoczyła już koło i naszym oczom znów ukazało się urwisko. Eet ruszył w stronę drabiny.

— Pierścień — powiedział.

— Co z nim?

Znów nie przejawiał chęci, żeby wyjaśnić, o co mu chodziło. Odwróciłem się do Hory'ego, oderwałem zatyczkę z tuby i przystawiłem mu ją do ust. Wciągał zawartość łąpczywie. Zastanawiałem się, czy nadal musi być skrupowany. Doszedłem do wniosku, że na razie tak będzie lepiej. Gdy wysączył wszystko, zostawiłem go związanego na fotelu i ruszyłem za Eetem.

Pierścienia już nie było na pudełku. Został po nim tylko wypalony ślad. Eet stał przy ścianie, po drugiej stronie kabiny, i patrzył w górę, w miejsce, którego nie mógł dosięgnąć.

Znajdował się tam pierścień, przyklejony do ściany, jakby go przyspawano. Jednak to nie spaw tak go trzymał. Próbowałem klejnot oderwać i udało mi się dopiero, gdy użyłem całej siły. Kamień świecił wyjątkowo jasnym światłem.

— Platforma... — powiedziałem.

— Słusznie — Eet wspiał się na mnie. — Trzeba sprawdzić, co go przyciąga.

Zatrzymałem się przy półce z bronią. Ledwo mogłem utrzymać wrywający się klejnot. Z laserem w dłoni z pewnością będę czuł się o wiele pewniej.

Rampa opadła i wyszliśmy na zewnątrz. Świeciło słońce. Pierścień ciągnął mnie naprzód. Przeskoczyłem miejsce spalone podczas lądowania. Miałem zbyt cienkie podeszwy i rozgrzana ziemia parzyła mi stopy. U podnóża urwiska obróciłem się w stronę zatoczki i pozwoliłem pierścieniowi, żeby mnie poprowadził.

— Nie chodzi mu o klif — powiedziałem.

— Ten kamień nie pochodzi z tego świata — potwierdził Eet. — Ale tam — wskazał na platformę — znajduje się coś, co przyciąga go bardziej niż w ruinach. Spójrz na klejnot!

Nawet w słońcu jego blask był oślepiający. Nagrzewał się niemiłosiernie i zaczynał mnie parzyć, bałem się jednak, że gdy zwolnię uścisk, odleci i już nigdy go nie znajdę.

Brnąłem przez piach, sięgający mi aż do kostek. Rozstępował się pod stopami w sposób, który wcale mi się nie podobał. Dotarłem wreszcie do wody. Mimo jasnego koloru nie była przezroczysta, tylko mętna, i nie wiedziałem, jak głęboko jest w tym miejscu. Pierścień ciągnął mnie do przodu, ale bałem się zanurzyć. Nie wiedziałem też, jak dostać się na platformę, która wznosiła się wysoko ponad wodą. Nigdzie nie dostrzegłem wejścia.

Gdybym zdecydował się wejść do wody, zamiast sterczeć bezradnie na brzegu, mógłbym wpaść prosto w jedną z pułapek, w które z pewnością obfitował ten świat. Pułapka jednak zniecierpliwiła się i sama się o mnie upomniała. Szmaragdowa powierzchnia wody nagle rozstała się z pluskiem i wystrzeliła z niej ogromna głowa z rozdziawioną paszczą, uzbrojoną w ostre, sterczące kły.

Odkoczyłem i wyszarpnąłem z kieszeni laser. Promień przeciął powietrze i potwór, trafiony w głowę, zwinął się i skręcił, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Całe ciało okrywał mu twardy pancerz. Zupełnie przypadkiem trafiłem, jak mi się wydawało, w jego najczulszy punkt. Konwulsyjne ruchy spieniły wodę i jej powierzchnia buzowała jeszcze długo po tym, jak potwór zniknął w głębi. Po jakimś czasie cielsko wypłynęło i unosiło się zeszywniałe pomiędzy brzegiem a platformą.

Nie minęła chwila, gdy woda wokół ciała zagotowała się. Dostrzegłem kształty rozmaitych stworzeń, które błyskawicznie pożerały niedawnego drapieżcę. Takie ostrzeżenie było aż nadto wystarczające. Za nic nie wszedłbym teraz do tej wody.

Tubylcy, przypomniałem sobie słowa Eeta. Jeśli mają tu swoją świątynię, to jak się do niej dostają? Oczywiście mogli być odporni na wszelkiego rodzaju wodne paskudztwa, ale jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

— Nie widzieliśmy jeszcze, co jest po drugiej stronie — powiedział Eet. — Trzeba by to sprawdzić.

Cały czas musiałem walczyć z ciągnącym mnie pierścieniem. Teraz, kiedy trochę oddaliliśmy się od platformy, stało się to jeszcze bardziej uciążliwe. Gdy obeszliliśmy kawałek

jeziora i można było zobaczyć drugą stronę, okazało się, że i teraz Eet miał rację, tak jak wiele razy wcześniej.

Na piasku leżały, powiązane splecionymi sznurami, mocne, drewniane drągi. Ta prowizoryczna kładka była wystarczająco długa, żeby można po niej dojść do platformy. Należało ją tylko ustawić pod dość ostrym kątem.

Pierścień ciągnął mnie coraz mocniej, zupełnie jakby się niecierpliwił. Prawie biegłem w kierunku kładki, a raczej próbowałem biec, bo nogi grzęzły w miękkim piasku. W wyprostowanej ręce trzymałem pierścień. Czułem, jak powoli drętwieją mi zaciśnięte palce. Gdy dotarłem nad wodę, pojawił się kolejny problem. Nie wiedziałem, czy mam puścić pierścień, czy schować laser. Jakoś przecież musiałem przenieść kładkę. Wątpiłem, czy uda mi się to zrobić tylko jedną ręką. Kładka była wprawdzie wykonana z jasnego drewna, które mogło być lżejsze, niż wyglądało to na pierwszy rzut oka, ale...

Powoli, z trudem i pocąc się, zupełnie jakbym znów walczył z Horym, wepchnąłem pierścień do kieszeni i zapiąłem ją. Choć się wrywał, wiedziałem, że mocny materiał to wytrzyma.

Schowałem też laser i zabrałem się do ustawiania kładki. Nie była zbyt poręczna, ale tak, jak się spodziewałem, dosyć lekka. Podniosłem ją i przerzuciłem nad wodą, tak że jej drugi koniec oparł się o mur przy platformie. Ledwo zdążyłem to zrobić, a zapięcie w kieszeni, gdzie znajdował się pierścień, puściło.

Nie udało mi się pochwycić klejnotu. Z jasno świecącym kamieniem, jakby w geście triumfu, pierścień poleciał w stronę platformy. Teraz nie miałem już odwrotu.

Przeszedłem po kładce na czworakach. Eet popędził przede mną. Kiedy przechodziłem nad wodą, czułem się bardzo niepewnie. Kładka chwiała się i kołysała pod moim ciężarem. Bałem się, że w każdej chwili może się obsunąć i spadnąć razem z nią do wody.

Możliwe też, że zaraz pojawią się tubylcy, a na kładce nie bardzo mogłem się bronić. Wreszcie jednak udało mi się dotrzeć do celu. Chwyciłem za brzeg muru i wciągnąłem się na platformę.

Owiał mnie dym i zachłysnąłem się jego smrodem. Przez chwilę wydawało mi się, że pośrodku platformy również rozpalono ognisko, ale nie dostrzegłem nad nim dymu. W chwilę później zorientowałem się, że to klejnot. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby płonął takim blaskiem. Eet kręcił się dookoła kamienia, na którym leżał pierścień.

— Odsuń się! — ostrzegł mnie. — Jest zbyt gorący, żeby go teraz dotykać. Próbuje dostać się do tego, co go tak przyciąga. I albo sam się teraz zniszczy, albo dopnie swego. Nie mamy na to żadnego wpływu.

Przyklęknałem, żeby lepiej widzieć. Nie mamy wpływu? A kiedy mieliśmy? Przyspawaliśmy go przecież na statku, a uwolnił się bez trudu. Przez cały czas to ja podążałem za nim, a nie na odwrót.

Eet nie mylił się. Pierścień był tak nagrany, że nie dawało się podejść bliżej. Płomień oślepił mnie. Cofnąłem się i oparłem plecami o mur, tuż pod jedną z dymiących głów.

Eet miał rację, mówiąc, że pierścień chciał przepalić skałę, która blokowała mu drogę. Jeśli jednak miałby tutaj zakończyć swój żywot, byłaby to prawdziwie płomienna śmierć.

Musiałem zakryć nie tylko oczy, ale i całą twarz. Żar stał się nie do wytrzymania. Nie było koło mnie Eeta. Miałem nadzieję, że siedział gdzieś po drugiej stronie, bezpieczny i z dala od tego piekła. — Słusznie — zareagował na moje myśli. — Pierścień cały czas usiłuje się przedrzeć.

Nawet nie próbowałem przyglądać się tej walce. Blask klejnotu oślepiłby mnie. Spod przymkniętych powiek i z zasłoniętą rękami twarzą, czułem efekty zmagania kamienia. Bałem się, że nie wytrzymam tego dłużej. Jeśli temperatura podniesie się jeszcze trochę, spalę się tu żywcem albo będę musiał skoczyć do jeziora. Niewielki miałem wybór, bo obie możliwości przyniosłyby zapewne ten sam efekt. Nagle żar ustał. Pierścień zgasł... Podniosłem się powoli, ale nie śmiałem odsłonić twarzy i otworzyć oczu, dopóki nie stanąłem pewnie. Rozejrzałem się, ze strachem myśląc o tym, co zobaczę.

Spodziewałem się, że znajdę spalony pierścień, zwęgloną grudkę podobną do tych, które widziałem na porzuconym statku. Zamiast tego jednak ujrzałem przejście w kształcie kwadratu, jakby moc klejnotu wypaliła w platformie drzwi. Wewnątrz zobaczyłem blask pierścienia, słabszy jednak i nie tak rażący jak przed chwilą. Eet wyprzedził mnie i już stał przy otworze. Wsadził łeb do środka i uważnie penetrował podziemne pomieszczenie. Szedłem ostrożnie, badając drogę. Otwór przypominał pułapkę lub zapadnię i nie chciałem wpaść głębiej.

Powierzchnia platformy wydawała się jednak dosyć stabilna. Po kilku niepewnych krokach dotarłem do wejścia. Pierścień leżał na skrzyni podobnej do tej, jaką widzieliśmy na porzuconym statku. Jednak inne kamienie, które tam zobaczyłem, nie były martwe, jak we wraku w kosmosie. Miały w sobie nawet więcej życia niż te, które odkryliśmy w ruinach. Ich blask znakomicie oświetlał pomieszczenie.

Wyglądało na to, że platforma jest zaledwie zewnętrzną ścianą czegoś, co przypominało magazyn. Ujrzałem mnóstwo równo poukładanych pudeł; żadnego nie naruszył czas. Wszystkie były szczelnie zamknięte, bez śladu jakichkolwiek pęknięć czy prześwitów.

Gdy przyjrzałem się im bliżej, ich kształt i rozmiar sprawiły, że poczułem się trochę nieswojo. Miały w sobie coś szczególnego... Długie, wąskie, niezbyt głębokie. Co to takiego...?

— Jeszcze na to nie wpadłeś? — spytał Eet. — Ci, którzy zbudowali to miejsce, nie palili zwłok. Zamykali zmarłych w pudłach, jakby chcieli odciąć ich od rzeczywistości i upływającego czasu! — powiedział z zimną pogardą.

— A kamienie... Jeśli to rzeczywiście krypta, to po co je tu zostawili?

— Wiele ras chowa zmarłych wraz ze skarbami, aby mogli je ze sobą zabrać na ostatnią wędrówkę w Wieczny Mrok.

— Prymitywne ludy... tak — przyznałem.

Ale rasa, która opanowała zdolność kosmicznych podróży, na pewno nie była prymitywna. Poza tym zauważyłem coś jeszcze. Choć wiele pudeł rzeczywiście przypominało trumny lub sarkofagi, co potwierdzałoby wersję Eeta, część z nich miała jednak różne rozmiary.

Eet przerwał mi.

— Popatrz tam! — Uniósł głowę i badał coś, wachając intensywnie. Nosem wskazał głowy na platformie. — Różne rasy. Różne kształty ciał. To grób zbiorowy, z założenia miało tu leżeć więcej różnych istot...

— A jednak wszystkich pochowano w ten sam sposób — wtrąciłem. Nawet wśród istot tej samej rasy zdarzały się różne obrządku pogrzebowe i w różny sposób chowano zmarłych. A znalezienie jednego, wspólnego grobu...

— ... nie jest wcale wykluczone — odpowiedział Eet. — Załóżmy, że to członkowie załogi tego samego statku, którzy zostali tu porzuceni lub uwięzieni. Załóżmy, że nie mieli szansy na wydostanie się stąd. Może żywili nadzieję, że w przyszłości, już po śmierci, wrócą jednak do domu i zostaną pochowani tam, gdzie ich miejsce.

Wyciągnąłem raczej śmiały wniosek.

— A kamienie zostawili jako zapłatę za ewentualny transport do domu albo za właściwy pogrzeb.

— Słusznie. To może być pewien rodzaj wynagrodzenia.

Od jak dawna jednak czekali? Czy światy, z których przybyli, jeszcze istniały? Czy ich planety były teraz już tylko wymarłymi pustyniami, które paliło bezlitosne słońce? Dlaczego budowniczości tego miejsca zostali tutaj? Czyżby ich cywilizacja rozpadła się nagle w wyniku jakiejś gwałtownej i wielkiej wojny? Czy ratunek, na który czekali, nigdy nie nadszedł? Może przyleciał po nich statek, ale roztrzaskał się i pozostały po nim, zamiast ostatniej nadziei, tylko te ruiny? A statek, który napotkaliśmy w przestrzeni — czy to nie na jego przylot liczyli? Czy, gdy zrozumieli, że nie ma dla nich ratunku, zbudowali ten grobowiec, żeby przekazać swoją historię przyszłym pokoleniom?

Rozejrzałem się po ścianach krypty. Nie zauważyłem żadnych inskrypcji. Potem spojrzałem raz jeszcze na głowy ustawione na murze. Patrząc teraz z bliska, widziałem, że były mocno zniszczone. Musiały jednak powstać później niż ruiny nad rzeką. Czy wyobrażały tych, którzy spoczywali w zbiorowym grobie, czy przedstawicieli różnych ras w ogóle?

Sześć z nich z pewnością nie przedstawiało istot humanoidalnych. Z tej szóstki jedna, jak mi się wydawało, miała w sobie coś z owada, dwie bardziej przypominały gady, a jeszcze jedna żabę. Pozostałe miały na tyle ludzki wygląd, że mogłem od biedy uznać je za krewniaków mojej własnej rasy. Szczególnie dwie z nich przypominały dzisiejszych

kosmicznych włóczęgów, którzy ulegali różnym mutacjom. W sumie naliczyłem dwanaście głów i doprawdy nie wiedziałem, co sprowadziło na tę planetę taką różnorodność istot.

Spojrzałem na Eeta.

— To musi być źródło pochodzenia tych kamieni. Oni przylecieli tu, żeby je wydobyć.

— I zostawiliby tak kopalnię? Ten pierścień nie przywiódł ich tutaj. Nie wierzę w to. To mógł być rodzaj bazy. Albo coś, czego zastosowania nie potrafimy już odgadnąć. Tak czy owak, mamy teraz tyle kamieni, że moglibyśmy — jak zapewne powiedziałby strażnik — obalić gospodarkę całego wszechświata. Ktoś, kto da radę upilnować te kamienie, będzie rządził wszechświatem tak długo, aż ktoś inny mu ich nie odbierze.

Znów zbliżyłem się do otworu. Wewnątrz było teraz zdecydowanie ciemniej niż przed chwilą.

— Światło słabnie... może i kamienie też wygasają...

Eet przebiegł wzdłuż platformy i skoczył na murek. Przez chwilę zamarł na jego szczycie i widziałem, że całą uwagę skupił na naszym statku. Po chwili obrócił się i pomknął w moją stronę.

— Kryj się! — Skoczył i o mało mnie nie przewrócił. — Do krypty!

Błyskawicznie wskoczyłem przez otwór i na rękach spuściłem się w dół. Wylądowałem tuż koło skrzynki z kamieniami. Ich słaby blask wskazał mi miejsce, gdzie mogłem bezpiecznie postawić stopy.

Obejrzałem się w momencie, gdy platformę nad moją głową objęły płomienie. Ktoś strzelił do nas z lasera. Nie była to jednak broń ręczna, lecz olbrzymi pokładowy miotacz. Strzelano do nas ze statku!

Eet wspiął się na pudła. Przysiadł teraz w sporej odległości od wyjścia, blisko ściany, za którą znajdował się nasz statek. Przyłożył głowę do skały, jakby mógł przez nią coś usłyszeć.

Wziąłem do ręki pierścień. Wciąż czułem jego ciepło i widziałem słaby blask, mogłem jednak dotknąć go bez obawy. Ku mojemu zaskoczeniu nie przywarł do skrzynki i łatwo dał się podnieść. Na wszelki wypadek schowałem go do kieszeni i tym razem solidnie ją zapiąłem.

Znów spojrzałem na Eeta. Choć blask kamieni był coraz słabszy, widziałem go dość wyraźnie.

— Hory? — spytałem.

— Słusznie. Ma możliwości, których nie przewidzieliśmy. Jakoś zdołał się uwolnić. Próbował nas zabić i nie udało mu się. Spróbuje więc jeszcze raz. Tym razem postara się zrobić to skuteczniej.

— Odleci stąd i sprowadzi innych?

— Jeszcze nie. Uraziliśmy jego dumę. Ma tu ważniejsze zadanie. Wyczytaliśmy... wyczytałem w jego myślach. Może ma jakąś wewnętrzną blokadę. Poza tym będzie się bał, że

gdy odleci sam, z konieczności przyłączymy się do ludzi Cechu i nie znajdzie nas później. Nie, zanim odleci, chce nas zabić i dostać pierścień.

— Cóż, nie jesteśmy na razie martwi, ale z całą pewnością siedzimy w pułapce.

Wiedziałem, że jeśli tylko wystawimy głowę przez otwór wyjściowy, Hory znowu strzeli. Teraz mógł tylko czekać, czas pracował na jego korzyść.

— Niezupełnie — wtrącił Eet. — Jeśli Cech zostawił tu swoich ludzi, co jest raczej pewne, to musieli namierzyć nasze lądowanie. Z pewnością wyślą kogoś, by to sprawdził. Pamiętaj, że już raz go złapali. Prawie bez trudu. Dziwi mnie, dlaczego.

Zastanowiły mnie jego słowa.

— Przecież możemy znajdować się na drugim końcu planety.

— Mają na pewno jakiś nieduży pojazd patrolowy. To konieczne podczas takich wypraw. Tak, niedługo powinni się zjawić. Poza tym wydaje mi się, że ich obóz jest znacznie bliżej, niż ci się wydaje. Ruiny nad rzeką były kiedyś częścią jakiejś bazy. Ten grobowiec nie może leżeć daleko od nich.

— Zakładając, że to grobowiec. To co, mamy siedzieć tu i czekać, aż ludzie Cechu przegonią Hory'ego? Niewiele nam to pomoże.

— Rzeczywiście, jeśli będziemy siedzieć tu beczynnie, nic nam to nie da — odparł cicho Eet.

— Jak więc stąd wyjdziemy? Pomoże nam silna wola? — spytałem. — Jeśli zbliżymy się do wyjścia, spali mnie na wiór. Ty może przeżyjesz...

Eet zdawał się przez cały czas nasłuchiwać.

— Słusznie. Ciekawa sprawa, co?

— Ciekawa?!

Próbowałem powstrzymać gniew. Różne określenia przychodziły mi teraz na myśl, ale nigdy bym nie nazwał naszej sytuacji „ciekawą”.

Rozdział siedemnasty

Moja ręka co chwilę wędrowała w stronę ukrytego w kieszeni pierścienia. To przecież on doprowadził nas tutaj, do miejsca, w którym prawdopodobnie... obaj zginiemy. Rozejrzałem się po grobowcu. Światło było coraz słabsze i złowieszcze pojemniki rzucały teraz w naszym kierunku długie cienie. Ze wszystkich stron otaczały nas lite ściany. Nawet jeśliby się nam udało przez nie przedrzeć, musielibyśmy zanurzyć się w jeziorze.

Pierścień. Szukając swego przeznaczenia, ratował nas już wcześniej, choć być może całkiem przypadkowo. Czy i teraz mógłby nam jakoś pomóc? Hory chciał go mieć...

Spojrzałem na Eeta. Ciężko było go teraz dostrzec na tle ciemnych ścian.

— Możesz czytać w myślach Hory'ego z tej odległości?

— Jeśli będzie to konieczne... chyba tak. Jego umysł... przynajmniej na pozór... wydaje się łatwy do przeniknięcia. Podobnie zresztą jak twój.

— W jakim stopniu mógłbyś nawiązać z nim kontakt?

— W bardzo niewielkim. Coś takiego wymaga zaangażowania obu stron. On mi nie ufa i nie otworzy dla mnie swojego umysłu. Musiałbym przełamać jego psychiczny opór.

— Ze mną ci się udało...

Właściwie sam nie miałem pojęcia, o co mi chodzi. Błądziłem po omacku. Wiedziałem, że właściwa decyzja oznacza życie, a jeśli się pomyłę... cóż... gorzej i tak już być nie mogło.

— To możliwe, jeśli ktoś się na to zgadza. Wy, ludzie, bronicie się zaciekle przed jakąkolwiek formą zniewolenia. Nieważne, czy tego chcecie, czy nie, i tak muszę zawsze walczyć z waszym umysłem.

— Hory nie wie wszystkiego. Wie tylko, że potrafisz czytać w myślach. Wie też, choć się do tego nie przyzna, że nie jesteś tylko zwierzęciem. Może uwierzy, że przez cały czas byłem pod twoją kontrolą i spełniałem tylko twoje rozkazy. A gdybym wyszedł teraz i powiedział mu, że nie żyjesz, że chcę wrócić z nim i zabrać ze sobą pierścień?

— Ciekawe, w jaki sposób mu o tym powiesz? — spytał Eet. Odsunął się od ściany, przysiadł przy mnie i spojrzał mi prosto w oczy. — Spali cię na wiór, jak tylko wytkniesz czubek głowy.

— Czy możesz upozorować swoją śmierć tak, żeby to zobaczył? Zamiast odpowiedzi wyczułem ogromne zaskoczenie. Dopiero po chwili odezwał się:

— To znaczy co... mam chwycić się za gardło, wybiec na zewnątrz i po chwili paść plackiem na środku platformy? Laser też na nic się nie zda. Żeby wszystko wyglądało prawdziwie, musiałbyś mnie trafić, a wtedy to już nie będzie pozorowana śmierć. Założmy jednak, że uda nam się oszukać Hory'ego... i co dalej?

— Wytoczę się za tobą, otępiały, bezbronny i łatwy do pojmania...

— A potem ja wrócę, żeby cię uratować. Przypominam ci, że któryś raz z kolei działamy w ten sam sposób. Nie, Hory nie jest głupi. Nie nabierze się na to. Nie doceniasz go. Jest w tym lepszy, niż zakładamy.

— To znaczy?

— Sądzę, że ma jakąś blokadę. Nie mogę wniknąć w głąb jego umysłu. Wydaje mi się, że został zaprogramowany w taki sposób, żeby można było odczytać tylko część jego myśli. Przecież sam kiedyś powiedziałeś, że nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika. Warto się nad tym zastanowić. A gdybyśmy tak ciebie wystawili jako przynętę?

— Ale... on cię nienawidzi. Raczej nie będzie się z tobą patyczkował.

— Słusznie... Choć wasza rasa ma zakorzeniony pewien stereotyp. Wydaje wam się, że wzrost i siła fizyczna decydują o zwycięstwie. Hory nie cierpi mnie, bo go ośmieszyłem. Dlatego musi się ze mną rozprawić, dla własnej satysfakcji. Nie zabije mnie, tylko upokorzy, oddając w ręce swoich zwierzchników. Do tej pory udało nam się wyprowadzić go w pole. To go wkurza. Chciałbym wiedzieć więcej o jego uczuciach. — Eet zawahał się. — Ten człowiek to zagadka. Jest inteligentny. Wie, że ma mało czasu. Nie wydaje ci się, iż wie już o tym, że ludzie Cechu będą tu niedługo? Ta świadomość zmusi go do wyjścia ze statku. Musi mieć pierścien, żeby po raz drugi uwolnić statek spod ich kontroli. Chce też mnie... Ty nawinałeś się przypadkiem.

— A, dziękuję ci bardzo! — W głębi ducha wiedziałem jednak, że miał rację. — Zatem ja ginę.

— ...najbardziej widowiskowo jak tylko potrafisz, a ja postaram się przejąć nad nim kontrolę. Obiecuję ci słońce, księżyc i, oczywiście, wszystkie gwiazdy na niebie, które zdobędzie dzięki pierścieniowi. Myślę, że nie zabije mnie, tylko ogłuszy...

— Ale...

— Och... nie wydaje mi się, żeby ta broń miała na mnie taki wpływ, jak on myśli. Przeniesie mnie na statek i z pewnością zamknie w klatce. Wtedy już nic mu nie przeszkodzi, aby stąd odlecieć.

— I zostawić mnie? Tutaj...

Wyczułem jego rozbawienie.

— Powiedziałem ci już przecież, że nie opanuję jego umysłu, jeśli stawi wyraźny opór. Jedynie wtedy, gdy całkowicie poczuje się panem sytuacji, może się odprężyć i stracić czujność. Będzie miał mnie w swej mocy, ty będziesz leżał martwy na platformie. Nie potrwa to jednak zbyt długo. Muszę wtedy przeniknąć w głąb jego umysłu...

— A jeśli ogłuszacz zadziała skuteczniej, niż myślisz?

— Lepiej więc tkwić tu i czekać na śmierć? Nigdy nie da się przewidzieć wszystkiego. Wolisz siedzieć beczynn timer i czekać, aż dobiorą się do nas ludzie Cechu albo zjawi się Hory i za pomocą ciężkiego sprzętu zamieni nas w pył? Na podstawie tego, czego dowiedziałem się o was i waszych umysłach, wydaje mi się, że nie jesteśmy bez szans. Nie macie wielkich zdolności telepatycznych, a do klatki zawsze można znaleźć klucz.

Widocznie w czasie wspólnych przygód zacząłem całkowicie polegać na Eecie. Możliwe też, że po prostu przyjąłem jego plan, bo sam nie wymyśliłbym nic lepszego, a chciałem wierzyć w coś, co mogło się udać. Tak czy inaczej, gdy spytał mnie, czy się zgadzam, przytaknąłem bez słowa sprzeciwu.

— W jaki sposób mam zginąć od lasera i wyjść z tego bez szwanku? Wiesz, że ta broń nie rani, tylko zabija na miejscu. Hory nie będzie celował obok mnie, ale tak, żeby zabić mnie jak najszybciej!

W grobowcu panował już półmrok i niezbyt wyraźnie widziałem teraz Eeta. Jeśli odpowie rozsądnie, uznam jego racje.

— Będziesz miał cztery, może pięć sekund... — odpowiedział.

— Na co? Mam udawać, że chcę wskoczyć do wody? W jaki sposób...?

— Mogę podzielać trochę na wzrok Hory'ego. Wymierzy do czegoś, co uzna za cel, ale to nie będziesz ty.

— Jesteś pewien?

Czułem, jak cierpie mi skóra. Spłonąć żywcem? Nie miałem na to najmniejszej ochoty.

— Tak, jestem pewien.

— A jeśli zachce mu się sprawdzić, co ze mnie zostało?

— Znów mogę zmylić jego oczy... na moment. — Eet zamilkł na dłuższą chwilę. — A teraz... trzeba zająć się naszą ofertą...

— Czym? — w myślach wciąż roztrząsałem inne, mniej optymistyczne warianty, którymi mogła zakończyć się cała sytuacja.

— Kamieniami, które tu znaleźliśmy. Nie wydaje mi się, żeby je zobaczył, jeśli nie będą leżeć obok pierścienia.

— Właśnie, pierścień. — Wyciągnąłem klejnot z kieszeni. — Powinieneś chyba wziąć go ze sobą. Zostaw tu kamienie, żeby potem użyć ich jako przynęty.

Widziałem, że ta propozycja zastanowiła Eeta.

— Pod warunkiem, że będzie miał więcej czasu. W co nie wierzę. Daj mi pierścień. Gdy przyjdzie po mnie, nie powinien zobaczyć pozostałych.

Wyjąłem pudełko z kamieniami i schowałem je za rzędem sarkofagów.

— W porządku. — Eet usiadł na jednym z pudeł. — Wydaje mi się, że strzeli dopiero wtedy, gdy zbliżysz się do krawędzi platformy. Spudłuje minimalnie, więc możesz się trochę poparzyć. Reszta będzie zależeć tylko od ciebie.

Wspiąłem się bliżej wyjścia. Resztką zdrowego rozsądku krzyczała we mnie głośno. Zbyt wiele było w tym wszystkim przypadkowości i przypuszczeń...

Eet wyskoczył przede mną i rzucił się w stronę muru. Trwało to może kilka sekund. Upadłem. Przeszył mnie potworny, palący ból. Przez chwilę nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Zapachniało spalenizną. Eet wrócił i ciągnął mnie za nadpalone ubranie. Z boku musiało to wyglądać tak, jakby chciał mnie podnieść i popchnąć do dalszej ucieczki. Tak naprawdę jednak gasił ostatnie płomienie na moim ubraniu.

Czułem bliskość jego umysłu. Wiedziałem, że czekał na kolejny atak. Nagle zeszytniał, padł na ziemię i leżał koło mnie z otwartymi oczami. Widziałem, że wciąż oddychał. Stało się tak, jak przypuszczałem. Hory użył ogłuszacza. Tylko z jakim skutkiem? Teraz nie mogłem o to pytać.

Na jednej z łap Eeta zobaczyłem pierścień. Hory mógł uznać, że Eet zdążył mnie jeszcze przeszukać, zanim został unieszkodliwiony. Leżeliśmy teraz obaj, ja na brzuchu z twarzą zwróconą w kierunku Eeta, on na boku, całkiem zeszytniały. Tylko gdzie był Hory? Każda sekunda ciągnęła się niczym godzina. Nie mogłem się ruszyć. Na pewno byliśmy obserwowani. Po strzale upadłem inaczej niż zamierzałem i teraz czułem, jak zaczyna mi drętwieć prawa noga. Bałem się, iż nie będę mógł walczyć, gdy Hory stwierdzi, że jeszcze żyję. Właściwie to zrobiłby bardzo głupio, nie upewniając się, czy jesteśmy już całkiem nieszkodliwi.

Jednak Eet upadł zbyt blisko mnie, żeby Hory mógł teraz strzelić ze statku. Zabiłby nas obu. Jeśli rzeczywiście chciał dostać Eeta, wiedziałem, że nie odważy się strzelić z tak dużej odległości.

Nie mogłem podnieść głowy i zobaczyć, co dzieje się na plaży. Widok zasłaniał mi mur. Skądś pojawiły się jakieś latające stwory i zaczęły po nas pełzać. Nie mogłem się ruszyć. Po raz kolejny przekonałem się, że najtrudniejszą próbą, jakiej można poddać człowieka, jest oczekiwanie.

Potem usłyszałem zgrzyt. Ktoś, lub coś wspinało się po kładce na platformę. Mostek trzeszczał i trząsł się. Po moim policzku pełzło coś wstrętnego, podobnego do dużej stonogi. Wzdrygnąłem się z obrzydzenia.

Nie widziałem prawie nic. Leżałem tyłem do kładki, więc nie mogłem nawet podejrzeć, kto po niej szedł. Usłyszałem zgrzyt metalowych podeszew na platformie.

Czy Hory dokończy teraz dzieła i po prostu zastrzeli mnie z ręcznego lasera, czy też złudzenie, które wywołał Eet, będzie trwać na tyle długo, żeby strażnik dał się oszukać? A może strzał z ogłuszacza naprawdę unieszkodliwił Eeta i nie miałem teraz żadnej osłony?

To były najdłuższe chwile w moim życiu. I gdybym już po wszystkim ocknął się jako starzec, wcale by mnie to nie zdziwiło.

Tuż przed oczami zobaczyłem podeszwy butów. Pełzający owad zatrzymał się teraz na moim nosie. Hory pochylił się i chwycił Eeta. Przez moment widziałem rękaw jego munduru. Czekałem na strzał.

Trudno mi było w to uwierzyć, ale ku mojemu zdumieniu strażnik odwrócił się i odszedł. Wciąż jednak mógł zawrócić i zastrzelić mnie. Nie byłem jeszcze bezpieczny.

W chwilę później usłyszałem ponownie odgłos jego kroków i skrzywienie kładki. Mógł odciągnąć ją lub spalić i w ten sposób uwięzić mnie tutaj. Poszedł jednak dalej.

Nie wiem, jak długo leżałem. Chciałem wstać jak najszybciej, ale powstrzymywałem się siłą woli. W końcu usłyszałem dźwięk, który mnie przeraził. Hory wrócił na statek i wciągnął za sobą rampę. Czyżby chciał natychmiast wystartować?

Nie czekałem dłużej. Uniosłem się zeszywniały i poparzony i podczołgałem się w stronę muru. Kładka wciąż była na swoim miejscu. Hory nie zniszczył jej. Może chciał wrócić i zbadać to miejsce, gdy już upora się z Eetem.

Zsunąłem się po kładce. Drzazgi boleśnie poraniły mi ręce. Gdy tylko wylądowałem na plaży, podniosłem się i pobiegłem w stronę najbliższych krzewów. Cały czas byłem przygotowany na to, że Hory zobaczy mnie i zacznie strzelać.

Nie wiedziałem, co stanie się za chwilę i co zrobi Hory. Napięcie przytłaczało mnie jak telepatyczny atak. Musiałem całkowicie polegać na Eecie. Nie wiedziałem, czy w dalszym ciągu jest tylko bezradnym więźniem. Bezpieczniej było spodziewać się najgorszego.

Jedyne w miarę bezpieczne miejsce, gdzie mogłem się schować, było pod statkiem. Oczywiście, jeśli Hory nie włączy silników i nie wystartuje. Ich płomień spaliłby mnie na proch. Stawiając wszystko na jedną kartę, rzuciłem się w stronę statku. Udało mi się dobiec bez przeszkód. Strzał Hory'ego nie zranił mnie specjalnie. Promień padł jednak tak blisko, że spalił mi ubranie i pozostawił na żebrach czerwoną plamę.

Jak na razie, wciąż żyłem. Tylko co dalej? Statek był zaryglowany od wewnątrz. Eet zapewne siedział zamknięty w klatce, a Hory całkowicie kontrolował sytuację. Zastanawiałem się, czy od razu wystartuje, czy też ciekawość zwycięży i zechce jeszcze raz przyjrzeć się grobowcowi. Pierścień! A jeśli użyje go jako przewodnika, tak jak zrobiliśmy to my? Czy jednak będzie aż tak nieostrożny...?

— Murdoc!

To krzyczał Eet. Zabrzmiało to jak głos zaniepokojonego wartownika.

— Tutaj!

— Kontroluję go, jednak jak długo...

Nagle Eet zamilkł. Czekałem w napięciu. Byłem bezradny. Bałem się wzywać go teraz. Jeśli Hory wyzwolił się spod kontroli Eeta, mógł usłyszeć mój sygnał. Zbyt mało wiedziałem o możliwościach strażnika.

Na jednej z podpór statku zobaczyłem uchwyty na ręce i nogi. Nie wiedziałem jednak, czy prowadziły do włazu. Być może umieszczono je tu tylko dla potrzeb obsługi naziemnej. Nie należało jednak rezygnować. Ruszyłem w ich kierunku.

Poparzone miejsce bolało mnie przy najmniejszym ruchu. Siłą woli brnąłem jednak naprzód. Wspiąłem się na podporę. Stopnie nie kończyły się tutaj, tylko szły dalej. Były wprawdzie trochę mniejsze, ale w górze zobaczyłem już zarys włazu.

Zaryzykowałem.

— Eet! — Musiało to zabrzmieć równie dramatycznie, jak jego krzyk przed chwilą. To była moja ostatnia szansa. — Właz... niższy... możesz uruchomić?

Wiedziałem, że proszę o coś niemożliwego: Mimo to piąłem się uparcie. Przywarłem całym ciałem do powierzchni statku. Twarz i ręce miałem mokre od potu. Bałem się, że za chwilę spadnę.

Zobaczyłem, że zarys włazu stał się wyraźniejszy. Drzwi otwierały się powoli. Uwolniłem rękę i waliłem w nie z całej siły. Nie wiem, czy to mój wysiłek przyspieszył sprawę, czy też mechanizm włazu nagle puścił, ale pokrywa wpadła do środka.

Wpełzłem do wewnątrz i znalazłem się w pomieszczeniu większym od tego, do którego prowadziła wyższa rampa. W środku stał mały helikopter zwiadowczy. Zajmował prawie całe pomieszczenie.

Za jednym zamachem znalazłem nie tylko drogę do statku, ale i drogę ucieczki. Zanim ominąłem pojazd i poszedłem dalej, wyciągnąłem z niego duży pręt, urządzenie służące do badania ziemi, i zablokowałem nim właz, żeby się nie zamknął. Teraz Hory nie mógł wystartować. Właz należało wcześniej zamknąć i pilot będzie musiał zrobić to własnoręcznie. System bezpieczeństwa wykryje otwarty luk.

Wewnętrzny właz nie miał żadnego zamka i z łatwością otworzyłem drzwi. Szedłem teraz wzdłuż korytarza. Miałem ze sobą laser i apteczkę, które zabrałem z helikoptera. Oparłem się o ścianę i otworzyłem małe pudełko. Wyjąłem tubkę maści gojącej i posmarowałem palący bok. Po kilku chwilach maść zastygła, zmieniając się w twardą masę, i prawie od razu poczułem jej zbawienne działanie. Ból mijał. Poczułem znaczną ulgę.

Szybko odzyskiwałem siły i mogłem już iść dalej. Może gdybym wiedział więcej o budowie statków, wybrałbym bardziej odpowiednią drogę, teraz jednak po prostu szedłem w górę, po drabinie, nie kryjąc się specjalnie. Zmierzałem do kabiny pilota, gdzie, jak przypuszczałem, powinienem zastać Hory'ego i Eeta.

Nie próbowałem ponownie połączyć się z tym ostatnim. Jeśli moje ostatnie wezwanie zaalarmowało strażnika, Hory mógł zorientować się, że jestem na pokładzie, i przygotować jakąś niespodziankę.

Z moich butów pozostały już tylko wkładki, które i tak mocno się wytarły. Poruszałem się więc prawie bezszelestnie. Dawało mi to pewną przewagę. Piąłem się teraz w górę po

głównej drabinie. Stawiałem ostrożnie każdy krok. Nasłuchiwałem też uważnie jakichkolwiek odgłosów. Panowała kompletna cisza.

Dotarłem już do poziomu, na którym znajdowała się kuchnia. Nie słyszałem żadnych dźwięków. Eet również nie odezwał się ani słowem. Ta cisza nie wróżyła niczego dobrego. Wiedziałem, że Hory nie ruszy się z kabiny. Zdawałem sobie sprawę, że gdy tylko moja głowa pokaże się w otworze, gdzie kończyła się drabina, będzie miał większe szanse niż ja.

Zostało mi jeszcze tylko parę stopni. Zamarłem w bezruchu, cały zamieniając się w słuch.

— Wiem, że tam jesteś...

To był głos strażnika. Brzmiał jednak jakoś dziwnie cienko, jakby desperacko. Zupełnie jakby Hory tracił nad sobą kontrolę i miał się za chwilę załamać. Co mogło wpędzić go w taki stan?

— Wiem, że tam jesteś. Czekam...

Żeby wypalić mi dziurę w głowie, pomyślałem. Nagle wtrącił się Eet. Nie zwrócił się jednak do mnie.

— To na nic. Nie możesz go zabić.

— Ty... ty... — Głos strażnika zmienił się w przeraźliwy pisk. — Załatwię cię!

Usłyszałem świst lasera i przywarłem do drabiny. Nie kontrolując tego, co robię, wspiałem się wyżej. W powietrzu czułem zapach ozonu. Nad głową świsnęły mi wiązki wystrzelone z lasera.

Znów usłyszałem Eeta.

— Twój strach cię zniszczy. Udowodniłem ci to — mówił bardzo spokojnie. — Opanuj się. Nie jesteś przecież głupi. Nie widzisz, że w tej sytuacji pozostaje nam tylko połączyć siły? Spójrz na podgląd kamery... Spójrz!

Z góry dobiegł mnie nieartykułowany krzyk. Eet zwrócił się do mnie.

— Wchodź!

Pokonałem dwa ostatnie stopnie i wskoczyłem do środka. W rękę trzymałem laser, byłem gotów użyć go w każdej chwili. Nie było jednak takiej potrzeby. Hory stał plecami do mnie. Ręka, w której trzymał broń, opadła mu bezwładnie. Wpatrywał się w monitor. Zajrzałem mu przez ramię, żeby zobaczyć, co tak przykuwa jego uwagę.

W poprzek zatoczki, zmierzając w stronę platformy, przedzierał się przez busz jakiś kwadratowy, metalowy obiekt. Kierował się prosto na małą plażę. Nie wiedziałem, co to jest, ale na szczycie tego czegoś znajdował się nieduży otwór. I z pewnością nie kryło się tam nic przyjemnego.

Nie miałem pojęcia, jak uzbrojony był nasz statek, ale z pewnością istniała broń, której nie potrafi się przeciwstawić. W tej sytuacji mógł nas uratować jedynie szybki start. Ale... Przypomniałem sobie o pręcie, którym zablokowałem dolny właz... Nie było mowy o starcie, dopóki luk pozostawał otwarty.

— Eet. — Nie zwracałem uwagi na Hory'ego. — Muszę odblokować właz. Bez tego nie wystartujemy.

Rzuciłem się w stronę drabiny. Zsuwałem się po niej bardzo szybko. Parę razy upadłem. Dotarłem do najniższej położonego korytarza i pędem wpadłem do luku. Okazało się, że aż za dobrze zablokowałem właz. Musiałem uderzyć pręt kilka razy kolbą, żeby ustąpił. Naparłem na drzwi, które zamykały się przeraźliwie wolno. Zamknąłem je w końcu i zabezpieczyłem najlepiej, jak potrafiłem.

Dysząc ciężko, wróciłem do drabiny. Jeśli Hory również zdecyduje się na natychmiastowy start, muszę błyskawicznie dotrzeć do fotela. Poza tym nie wiedziałem, co działo się teraz w kabinie pilota.

Wchodziłem trochę wolniej niż schodziłem. Starłem się jednak wrócić do kabiny jak najszybciej. Byłem przygotowany na to, że Hory znów ostrzela mnie z lasera albo przynajmniej zacznie mi grozić.

Strażnik trzymał obie ręce na panelu. Nie był to jednak panel pilota, ale zestaw jakichś innych przycisków, nieco z boku. Na ekranie monitora zobaczyłem promień. Wystrzelił ze statku i leciał wprost na tajemniczy obiekt, który wynurzał się już z buszu. Promień przemknął ponad platformą i uderzył w metalową ścianę obiektu.

Wiązka lasera wniknęła w obiekt, nie robiąc mu żadnej krzywdy. Zdawało mi się nawet, że to coś po prostu pochłonęło promień wystrzelony z naszego statku.

Spojrzałem na Eeta. Zobaczyłem poszarpaną i wypaloną masę, która leżała obok upręży fotela. Jeśli to klatka Eeta, nie okazała się zbyt trwała. Eet siedział teraz w fotelu pilota i wpatrywał się w ekran równie intensywnie jak Hory.

W chwilę później statek zatrzęsł się, jakby otrzymał cios. Nie uderzył w nas jednak metalowy obiekt. Zajęliśmy się jednym przeciwnikiem, a tymczasem drugi zaatakował nas od tyłu. Nie było czasu na sprawdzenie, jaki charakter miał ten atak. Mogliśmy jedynie doświadczyć jego skutków. Utrzymałem się na nogach tylko dlatego, że w porę złapałem się fotela. Hory wpadł na panel z przyciskami, przy których manipulował, odbił się od niego i osunął na podłogę. Podświetlane przyciski na panelu sterowania oszalały.

Eet skoczył na konsolę. Statek przechylił się. Z pewnością nie staliśmy już na trzech podporach. Jeszcze jedno takie uderzenie i przewrócimy się, tracąc wszelkie szansę na start.

— Zapnijcie pasy! — krzyknął Eet. — Startujemy...!

Chwyciłem Hory'ego, wciągnąłem go na fotel pilota i przypiąłem mocno nas obu. Widziałem, jak Eet wciskał różne przyciski. Rzeczywiście odlecieliśmy... w nicość.

Rozdział osiemnasty

W ustach czułem smak krwi i kręciło mi się w głowie...

— Murdoc!

Próbowałem unieść głowę. Leżałem na gładkiej powierzchni. Jej drgania sprawiały, że czułem każdy siniak i zadrapanie. Podczołgałem się w stronę ściany, oparłem o nią i jakoś udało mi się wstać.

Walcząc z otępieniem, rozejrzałem się dookoła. Eet cały czas tkwił przy panelu sterowania. Hory, podobnie jak ja, próbował się podnieść. Poruszał się ociężale i z trudem. Z rany na policzku ciekła mu krew.

Odwróciłem się do Eeta.

— Jesteśmy w powietrzu?

— Nie mieliśmy najlepszego startu. Wyglądał tak, jakby nic mu się nie stało.

— Lecimy z góry ustalonym kursem... — zacząłem coś sobie przypominać.

Hory potrząsnął głową, jakby chciał wyrwać się z otępienia. Spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem. Nawet jeśli mnie zobaczył, moja obecność nic dla niego nie znaczyła. Wyciągnął rękę w stronę fotela, na który w chwilę później opadł ciężko.

— Lecimy zgodnie z kursem — powiedział słabym głosem. — Tym samym, co poprzednio. Wylądujemy w bazie patrolu. Chyba że jeszcze raz chcesz zawrócić?

Nie patrzył na mnie. Choć woła walki już w nim opadła, w jego głosie wciąż było słycać determinację. Wypowiedział te słowa dobitniej.

— Tam na dole ludzie Cechu mają przewagę — zauważyłem.

Właściwie nie wiedziałem, do czego zmierzam. Na pewno chciałem uniknąć nagłej i gwałtownej śmierci, czegoś, na co bez przerwy narażało mnie przeznaczenie. Może niektórym to odpowiada. Ja byłem inny. Na dodatek czułem się tak zmęczony, że marzyłem tylko o świętym spokoju. O jakimś miejscu, gdzie mógłbym odetchnąć od ludzi Cechu i od strażników. Problem w tym, że oni nie mieli zamiaru rezygnować. Przeklinałem dzień, w którym po raz pierwszy ujrzałem pierścień nicości. A jednak, gdy zobaczyłem go teraz na łapie Eeta, nie mogłem oderwać wzroku od kamienia. Wiedziałem, że gdyby znalazł się w moim zasięgu, nie odtrąciłbym go. Czułem się z nim tak silnie związany, iż miałem wrażenie, że łączy nas niemal fizyczna nić.

— I co z tego... — To był głos Eeta.

Przez krótką chwilę nie rozumiałem, o co mu chodzi. Moje myśli powędrowały zbyt daleko stąd. — Popatrz...

Wcisnął jakieś kontrolki i na monitorze pojawił się obraz.

— Nagrało się to podczas startu — wyjaśnił.

Zobaczyłem rzeźby na platformie, gdy nasz statek wzniósł się tuż ponad nimi. Pamiętam, że nie startowaliśmy z całkiem pionowej pozycji.

— Płomienie z silników musiały ogarnąć to miejsce — powiedział Eet.

Choć nie dodał nic więcej, zrozumiałem, o co mu chodziło. Płomienie z silników... Czy mogły z powrotem zasłonić wejście do krypty lub w ogóle wypalić jej wnętrze? Jeśli stało się to pierwsze, znalezione przez nas kamienie znowu są w ukryciu. I tylko my wiedzieliśmy o ich istnieniu. Czy mogą stać się naszym atutem w ewentualnej rozgrywce? Kamienie, które znaleźliśmy w ruinach, były prawie martwe, ale te z krypty wyglądały na nietknięte zębem czasu. Być może stanowiły największy skarb swoich poprzednich właścicieli. Jeśli ludzie Cechu chcieliby wykorzystać kamienie znalezione w ruinach, nie mieliby szans w konfrontacji z kimś, kto znalazłby kamienie z grobowca.

Wiedziałem, że Eet śledził moje myśli. Jednak nie odezwał się ani słowem. Bał się pewnie, że Hory dowie się o kamieniach z krypty i o przewadze, jaką nam dawały. Wpatrywał się więc w monitor do chwili, gdy nagranie się skończyło.

— Nie znajdą tego, czego szukają — powiedział do Hory'ego. Strażnik leżał teraz w fotelu. Wyglądał na skrajnie wycieńczonego. Krew na jego policzku powoli zasychała. Przymknął oczy.

— Co nie znaczy, że to my zwyciężyliśmy — odparł szybko.

— Nigdy nie mieliśmy takiego zamiaru — wtrąciłem. — Chcieliśmy po prostu odzyskać wolność.

Nagle poczułem w głowie coś dziwnego. Eet? Nie! Po raz pierwszy połączyłem się nie z Eetem, tylko z umysłem drugiego człowieka.

Próbowałem się wyrwać. Na początku z trudem godziłem się z faktem, że Eet mógł w ten sposób penetrować mój umysł, jednak z czasem przyzwyczaiałem się do tego, bo był wobec mnie obcą istotą. Uczucie, jakiego teraz doznałem, było jednak całkiem inne. Nagle, wbrew własnej woli, zostałem wrzucony w strumień wirujących i kłębiących się myśli innego człowieka. Nawet dziś nie potrafię opisać tego, co się stało. Dowiedziałem się czym... kim... Hory jest naprawdę, czyli rzeczy, o której nie powinien wiedzieć nikt oprócz niego samego. To przecież zbyt osobiste. On musiał dowiedzieć się podobnych rzeczy o mnie. Zdałem sobie sprawę, że chciał postawić mnie przed sądem i że pogardzał mną ze względu na mój związek z Eetem. Z każdą chwilą lepiej go poznawałem i zdawało się to nie mieć końca. Dostrzegalem, jakim jest teraz, ale i jakim był wcześniej, w ciągu całego życia. Widziałem proces, który uformował jego obecną osobowość. On musiał widzieć mnie podobnie...

Próbowałem oprzeć się sile, która właczała w mój umysł te wszystkie informacje. Bałem się, że bezpowrotnie zagubię się w obcym umyśle, że stanę się Horym, a Hory mną. Bałem się, że stracimy tożsamość, że nie będzie już Jerna i Hory'ego, tylko jakieś dziwne połączenie dwóch bytów uwięzionych w sobie nawzajem...

Nagle rozdzieliliśmy się i mój umysł poszybował gdzieś w szaleńczym pędzie. Leżąc na podłodze, prawie zwymiotowałem. Znowu czułem własne ciało i własną tożsamość. Z fotela pilota usłyszałem dźwięk, który potwierdził, że Hory doskonale wiedział, jak się teraz czuję, podobnie jak wiedział o mnie całą masę innych rzeczy.

Jakoś udało mi się podczołgać do ściany i po raz kolejny, wspierając się o nią, wstałem. Rozejrzałem się wokół i popatrzyłem na Hory'ego. On również spojrzał na mnie tęnym i niepewnym wzrokiem.

Tuż za nim, na podłodze, leżało wiotkie ciało...

Eet!

Przytrzymałem się ściany, bez której nie mógłbym zrobić nawet jednego kroku, minąłem Hory'ego i stanąłem nad Eetem. Opadłem na kolana, podniosłem ciało Eeta w górę i przycisnąłem do piersi. Przeszyło mnie to samo uczucie jak wtedy, gdy Hory chciał zabić Eeta w maszynowni. Dodało mi sił i wytrąciło z ośpienia.

To Eet uwolnił nasze umysły i sprawił, że się połączyły. I zrobił to celowo. Poglaskałem Eeta i potrząsałem nim delikatnie, żeby dał jakiś znak życia.

— Wiesz — spytałem Hory'ego — dlaczego...

— Wiem... — powiedział urywanym głosem. — Czy... on... nie żyje...?

Dotknąłem delikatnie Eeta. Chciałem sprawdzić, czy oddycha. Nie czułem uderzeń serca. Nie umiałem jednak uwierzyć w najgorsze.

Mimo to nie próbowałem połączyć się z jego umysłem. Teraz taki kontakt napawał mnie obrzydzeniem. Musiałem wyleczyć rany, najdziwniejsze rany, jakie można mi było zadać.

— Apteczka... — Hory uniósł prawą rękę. Trząsał się cały. Wskazał szafkę na przeciwległej ścianie. — Środek pobudzający...

Nie wiedziałem, czy skutek, jaki wywoływało to lekarstwo u człowieka, będzie podobny u Eeta. Trzymając jego wiotkie ciało, wstałem powoli i ruszyłem w stronę szafki. Minęła chwila, zanim otworzyłem zamek. W środku znalazłem pudełko, a w nim kapsułkę. Była tak śliska, że musiałem trzymać ją bardzo ostrożnie. Nie mogłem rozgnieść jej jedną ręką.

Opierając się o ścianę, z kapsułką w jednej i z Eetem w drugiej ręce, wróciłem do Hory'ego. Podąłem mu lekarstwo. Wziął je drżącą dłonią, a ja przytrzymałem lepiej Eeta. Hory rozłamał kapsułkę i przystawił ją Eetowi do nosa. Z wnętrza kapsułki wyleciał leczniczy gaz. Hory opuścił ręce, jakby ten niewielki wysiłek całkiem go wyczerpał.

Eet kichnął i z trudem złapał powietrze. Otworzył oczy i lekko przekrzywił głowę, jakby chciał zobaczyć, kto go trzyma. Nawet nie próbował się poruszyć. Był zbyt słaby.

Znów przytuliłem go do siebie, a on nieznacznie wyciągnął głowę i wsparł ją na moim ramieniu.

— Żyje — wyszeptał Hory. — Ale... to on... to zrobił...

— Tak.

— Bo musimy wiedzieć... i wiemy teraz... — Strażnik zawahał się.

— Wiemy teraz co...? — ponagliłem go. — Że jesteś oddany swojej sprawie, ale myliłeś się co do moich pobudek?

— Tak. Zrozum, że mam swoje obowiązki...

Wpatrywał się we mnie, znów jednak niewidzącym wzrokiem. Wydało mi się, że nie widzi mnie teraz i tutaj, tylko patrzy w moją przyszłość.

— Nie powinno było... — zaczął — do tego dojść. Niedobrze mi się robi na twój widok...

Wyglądał tak, jakby za chwilę rzeczywiście miał zwymiotować.

Wiedziałem bardzo dobrze, co czuł. Miał rację. Gdy patrzyłem na niego teraz... Człowiek nie jest z natury nikczemny ani zdeprawowany... przynajmniej większość ludzi... Nie jest też potworem. Nikt nie ma jednak prawa ingerować w tożsamość drugiej osoby w sposób, w jaki my to uczyniliśmy. To było coś zupełnie innego od komunikacji za pomocą umysłu Eeta i nie mieliśmy zamiaru tego powtarzać!

— Zrobił to, żebyśmy zrozumieli. Słowa tego nie wyrażą... Musieliśmy uwolnić nasze umysły — powiedziałem. Gdyby teraz zaprzeczył i wyparł się wszystkiego, zaprzepaściłby to, co uczynił dla nas Eet. Nie chciałem do tego dopuścić.

— Tak. Nie jesteś taki... jak myślałem. — Zdawał się mówić to wbrew własnej woli. — Ale... mam swoje rozkazy...

— Możemy się jakoś dogadać — powiedziałem. — Mam coś do zaoferowania... nienaruszone kamienie. Czy to też wyczytałeś?

Tego bałem się najbardziej. Bałem się, że mógł dowiedzieć się o tym, co miało zabezpieczyć mi przyszłość.

— Nie — odwrócił głowę. Widocznie nie mógł na mnie patrzeć. — Ale ludzie Cechu...

— Nie wiedzą o tym. Nie znajdują tego miejsca.

Nie byłem tego taki pewien. Mogłem jedynie mieć nadzieję. Wydawało mi się jednak, że mogę tak powiedzieć.

— Czego chcesz w zamian?

Jak każdy kupiec, chciałem na początek podać możliwie najwyższą cenę.

— Wolności... Tego przede wszystkim. Ponadto... Cóż, po śmierci Vondara Ustle nie mam już teraz nad sobą nikogo. Chcę mieć statek...

— Statek? — powtórzył Hory, jakby mnie nie zrozumiał. — Ty... statek...?

— Co...? Że niby nie jestem pilotem? — przerwałem mu. — Pilota można zawsze wynająć. Pragnę odzyskać wolność i chcę tyle pieniędzy, żebym mógł kupić statek. Powiem wam za to, gdzie ukryto kamienie.

Nagle wydało mi się, że zażądałem zbyt mało.

— Nie jestem upoważniony do podejmowania takich decyzji...

— Czyżby?

Przypomniałem mu pewien fakt, który poznałem, gdy nasze umysły stanowiły jedność.

Odwrócił powoli głowę i spojrzał na mnie. Był spięty.

— Więc i to o mnie wiesz... Umilkł i zamknął oczy.

Eet poruszył głową, jakby zgadzał się ze mną. Nigdy nie ufał Hory'emu. Wiedział, że strażnik ma osłonę myślową. Co leżało za nią...? Mógł jedynie przypuszczać. Czy odgadł już wcześniej, że Hory nie był zwykłym strażnikiem, tylko komandorem drugiego stopnia, wysłanym tu ze specjalną misją? Może opierał swoje domysły tylko na przypuszczeniach?

Drugi stopień, hasło, które pieczętowało ważność każdej umowy. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że Hory przyjmie moją ofertę. Jeśli tak, będziemy bezpieczni.

— Dostaniemy wszystkie kamienie — zaczął Hory. — Ten pierścień także.

Odnalazłem pierścień na łapie Eeta i zacisnąłem na nim dłoń. Nie! Jednak Eet po raz drugi pokiwał głową. Bał się przesłać mi wiadomość, którą mógł przechwycić Hory. Próbował więc dać mi znak w inny sposób. Bez pierścienia... nie mogłem...

Dostrzegłem błysk triumfu w oczach strażnika. Pewnie zdawało mu się, że znalazł mój słaby punkt i że teraz będzie mógł odzyskać pełną kontrolę nad nami i nad całą sytuacją. Byłem jednak gotów na to ostatnie starcie.

— Tak, pierścień też... Po tym, jak nagramy treść umowy na taśmę...

Hory wstał szybko i sięgnął do panelu sterowania. Otworzył małą skrytkę i wyjął z niej biało-złoty dyktafon do nagrywania zawieranych umów. Nie mogło być mowy o jakimś oszustwie. To, że Hory miał na pokładzie takie urządzenie, świadczyło o jego randze.

Podniósł dyktafon do ust. Zwilżył je i przez chwilę milczał. Potem zaczął nagrywać.

— W imieniu Rady, Czterech Konfederacji, Dwunastu Systemów oraz Wewnętrznych i Zewnętrznych Planet... — Musiał to robić wcześniej wiele razy, bo przychodziło mu to z łatwością. — ... uznaję tę umowę za ważną w świetle gwiazdowego i planetarnego prawa. — Teraz nagrał kilka symboli i liczb, które nic dla mnie nie znaczyły, a musiały być czymś w rodzaju kodu identyfikacyjnego, i znów wrócił do normalnego języka. — Murdoc Jern, status: pomocnik handlarza kamieni, starszy czeladnik u Vondara Ustle, zmarłego, zostaje teraz oczyszczony z wszelkich stawianych mu zarzutów...

— Niesłusznie — wtrąciłem, gdy przerwał dla nabrania tchu.

— ... stawianych mu niesłusznie zarzutów. — Nie patrzył na mnie, tylko na mikrofon, który trzymał w ręce. — Ponadto oczyszcza się również z zarzutów niejakiego Eeta, obcą, zmutowaną formę życia, istotę, która towarzyszy Jernowi.

Zapis ten oznaczał, że uznano wreszcie Eeta nie za zwierzę, tylko za istotę inteligentną, którą chroniło teraz prawo.

— W zamian za to Murdoc Jern zgadza się powierzyć patrolowi pewne informacje, numer — i tu znów podał jakieś symbole i liczby — które sam posiada. Umowa została zaakceptowana, zapieczętowana i zakodowana przez... — podał teraz imię, które z pewnością nie brzmiało jak Hory i nie znajdowało się zapewne na żadnej liście strażników.

— Zapomniałeś — przerwałem mu — o pieniądzach...

Bałem się, że teraz się sprzeciwi. Nasze oczy spotkały się i dostrzegłem w nich wrogość, którą, jak wiedziałem, będzie czuł do mnie już zawsze. W jego mniemaniu upokorzyłem go — albo raczej czuł się upokorzony — choć ja nie miałem wcale takiego zamiaru. Przecież obaj wniknęliśmy w nasze umysły. Mogłem więc czuć się równie pokrzywdzony, jak on. Spytałem go teraz:

— Myślisz, że dla ciebie było to gorsze przeżycie?

— Tak! — Wypowiedział to jak słowa przysięgi. — Bo jestem tym, kim jestem.

Myślał zapewne o swojej randze, wykształceniu i o tym, że na służbie znajdował się ponad pewnymi prawami i przepisami. Jeśli udało mu się uczciwie wspiąć tak wysoko, musiał być człowiekiem nietuzinkowym. Miałem nadzieję, że tak jest w istocie.

Choć powiedział „tak”, wyraz jego oczu zmienił się. Wciąż pełne były nienawiści, ale zdobył się na wielkoduszność.

— No, może dotknęło to nas tak samo... — oddał mi sprawiedliwość.

— I za to też należy mi się odszkodowanie — naciskałem. — Czy chcesz tego, czy nie, przez jakiś czas staliśmy po twojej stronie...

— Tylko po to, żeby ratować własną skórę! — krzyknął.

— I twoją przy okazji.

— Dobrze. — Znów podniósł dyktafon. — Murdoc Jern otrzyma za udzielone informacje również wynagrodzenie finansowe, którego wysokość ustali sąd. Suma wynagrodzenia nie może jednak być niższa niż dziesięć tysięcy i wyższa niż piętnaście tysięcy jednostek monetarnych.

Dziesięć tysięcy. Za taką sumę można spokojnie kupić starszy model statku. Eet po raz trzeci pokiwał głową. Podobał mu się taki układ.

— Zatwierdzone przez Murdoca Jerna — powiedział Hory i wyciągnął dyktafon w moją stronę.

Nachyliłem się i powiedziałem:

— Ja, Murdoc Jern, zgadzam się i akceptuję umowę...

— Obcy, zwany Eetem... — Po raz pierwszy Hory zawahał się. W jaki sposób mieliśmy nagrać głos Eeta, skoro nie potrafił mówić?

Eet poruszył się. Nachylił łeb w stronę mikrofonu i wydał dźwięk, który trochę przypominał słowo „tak”.

— Umowa zostaje zatwierdzona.

Pieczęć przybita na liście nie byłaby tak uroczysta, jak ton Hory’ego.

— Teraz — oznajmił Hory, wyciągając następny dyktafon — ty musisz złożyć zeznanie.

Wzięłem mikrofon i zacząłem swoje oświadczenie od tego, co chciałem mieć jak najszybciej za sobą.

— Ja, Murdoc Jem, oddaję w ręce strażnika patrolu pierścień z nieznanym kamieniem, klejnot o niezwykłych i jak dotąd nie poznanych właściwościach. Niniejszym zeznaję również, że na planecie, której nazwy nie znam, znajdują się dwa miejsca, gdzie złożono podobne kamienie. Można do nich trafić w następujący sposób... — Tu podałem dokładny opis ruin i krypty.

Fakt, że Hory był tak blisko prawdy i nie odkrył jej, musiał go zboleć. Nie dał jednak tego po sobie poznać. Teraz, gdy znaleźliśmy już jego prawdziwe imię i stopień, uspokoił się i lepiej kontrolował emocje. Gdy opisałem już najdokładniej, jak potrafiłem, miejsca, w których znaleźliśmy kamienie, oddałem mu mikrofon. Wziął go, nie dotykając mojej dłoni, jakby bał się tego dotyku, jakbym był nieczysty.

— Na lewo w korytarzu jest kabina pasażerska — powiedział w zamyśleniu. Nie nakłaniał mnie do wyjścia, tylko sugerował. Nie chciałem przebywać w jego towarzystwie, tak jak i on nie chciał w moim.

Z Eetem na ramieniu zszedłem po drabinie. Zanim jednak wyszliśmy, mój towarzysz zdjął z łapy pierścień i położył go na panelu sterowania. Nie chciałem nawet spojrzeć na klejnot po raz ostami. Może Hory miał zamiar zamknąć go razem z taśmami... Nie wiem.

Kabina pasażerska była mała i pusta. Położyłem się na posłaniu, ale choć mój organizm domagał się odpoczynku, nie mogłem uspokoić myśli. Oddałem pierścień i oba ładunki kamieni, które odkryłem. W zamian zwrócono mi wolność i ofiarowano pieniądze na zakup statku...

Statku? Dlaczego zażądałem właśnie tego? Nie byłem przecież pilotem i nie potrzebowałem statku. Dziesięć tysięcy można wydać na przykład na...

— Zakup statku! — odpowiedział Eet.

— Ale ja nie chcę... nie potrzebuję... nie umiem pilotować statku!

— To się zmieni, zobaczysz — zapewnił mnie. — Mam szerokie plany. Będziemy mieli ten statek...

Czułem się zbyt wyczerpany, żeby się z nim spierać.

— Tylko po co?

— O tym porozmawiamy później.

— Ale... kto go będzie pilotował?

— Nie zastanawiaj się nad tym, czego nie potrafisz robić. Myśl raczej o rzeczach, na których się znasz. Jeszcze jedno... przejrzyj zawartość wewnętrznej kieszeni, tej, gdzie trzymasz resztkę swego skarbcza.

Nie zaglądałem tam od bardzo dawna. Nie wiedziałem, po co kazał mi to zrobić. Przez materiał wyczułem kształt kamieni. Odpiąłem suwak, żeby przyjrzeć się mizernej i

przetrzebionej kolekcji. Ku memu zdziwieniu, pomiędzy innymi klejnotami leżał pierścień. Chwyciłem go szybko i obracałem w palcach.

— Przecież...!

Eet znów czytał w moich myślach.

— Nie złamałeś umowy. Oddałeś mu dokładnie to, co obiecałeś — pierścień i miejsce ukrycia pozostałych kamieni. Jeśli ktoś ci pomaga i wychodzisz na tym dobrze, nie zadawaj zbyt wielu pytań.

Czy Hory... tam na górze... słyszał nasze myśli? Czy wiedział, co trzymałem właśnie w ręce?

Eet pomyślał chyba o tym samym.

— On śpi. Był skrajnie wyczerpany, choć nie dał tego po sobie poznać. Nie wspominaj jednak o tym więcej ani słowa. Przynajmniej do czasu, gdy będziemy wolni.

Wsadziłem kamień do kieszeni, między inne — jedyną zdobycz, jaką udało mi się zachować po tak długiej podróży. Dla kogoś nie wtajemniczonego pierścień miał niewielką wartość.

Potem i ja zasnąłem. Posypiałem tak przez większą część drogi. Od czasu do czasu jednak gawędziliśmy z Eetem. Nie o kamieniach, ale o innych planetach. Przypominałem sobie wiele rzeczy związanych z handlem klejnotami. Nie zaskarbiłem sobie wprawdzie szacunku, jakim cieszył się Vondar, ale zdążyłem poznać jego metody. Teraz, gdy miałem dostać statek, nie widziałem niczego, co powstrzymałoby mnie przed dalszymi podróżami. Eet zachęcał mnie do tego, rozważając przy tym, jakie mam szansę. Cieszyłem się, że nie muszę wracać myślami do przeszłości. Poza tym podobało mi się, że wreszcie ja mogę czegoś nauczyć Eeta, który o klejnotach i handlu nimi miał raczej blade pojęcie.

Po jakimś czasie dostaliśmy przez interkom ostrzeżenie o lądowaniu. Hory kazał nam zapiąć pasy. Oznajmił też, że do wyjaśnienia pewnych kwestii muszę bezwzględnie pozostać w kabinie. Chciałem zaprotestować, ale Eet kiwnął uspokajająco głową.

Po wylądowaniu mój towarzysz pilnie nasłuchiwał. Usłyszałem odgłos kroków. Ktoś przeszedł obok naszej kabiny. Gdy kroki ucichły, Eet się odezwał:

— Nie ma go na statku. Wyniósł ze sobą wszystko, co od ciebie dostał. Zabrał też pierścień, by, jak miałem nadzieję, umieścić go w bezpiecznym miejscu. Teraz nie zdradzi obecności innego kamienia, gdybyś zbliżył się do niego za bardzo.

— Dlaczego nie zrobił tego w kabinie?

— Zrobił. Ale w tym czasie byliście obaj zbyt zajęci sobą, żeby cokolwiek zauważyć. Uwolnij się od opieki tego strażnika najszybciej, jak potrafisz. Będziemy mogli wtedy spokojnie zająć się własnymi sprawami...

— To znaczy?

Zaskoczyłem go tym pytaniem.

— Jak to czym? Handlem kamieniami. Powiedziałem ci już, że te kamienie nie pochodziły z tej planety, na której je znaleźliśmy. Przez jakiś czas patrol i Cech będą tak uważać. Zaczną tam szukać i prowadzić wykopaliska. Ale nie znajdą tego, czego naprawdę szukają. Przeszliśmy dopiero mały kawałek drogi. Przed nami jeszcze daleka podróż. Mamy jednak dobrego przewodnika.

— To znaczy... że chcesz dalej szukać kamieni nicości? Ale jak? Kosmos jest olbrzymi... tyle różnych planet...

— Dzięki temu nasze poszukiwania staną się ciekawsze. Mówię ci, jesteśmy do tego stworzeni.

— Eet, kim... czym ty właściwie jesteś? Czy jesteś... byłeś jednym z tych, do których należały kiedyś te kamienie?

— Jestem Eet — odpowiedział poirytowanym tonem, który znałem tak dobrze. — To tylko teraz się liczy. Jeśli jednak gnębi cię ta sprawa, to nie... nie byłem jednym z nich.

— Ale sporo o nich wiesz...

Przerwał mi.

— Strażnik wraca, idą z nim inni. Są wściekli, ale muszą dotrzymać umowy. Bądź jednak ostrożny. Każdy z nich z chęcią od razu by cię załatwił.

Spojrzałem na drzwi, gdy się otworzyły. Stał w nich Hory, a obok niego jakiś mężczyzna w mundurze. Po insygniach zorientowałem się, że musiał to być ktoś ważny. Obaj obserwowali mnie uważnie i chłodno. Czułem ich niechęć. Eet miał rację. Wykorzystają każdą szansę, żeby dobrać mi się do skóry. Musiałem zachować wyjątkową ostrożność.

— Pójdiesz z nami. Dotrzymamy umowy. — Towarzysz Hory'ego powiedział to jakby zbolalym głosem. — Jednak dla twojego własnego dobra będziesz uważnie obserwowany i chroniony.

W oczach Hory'ego dostrzegłem błysk.

— Tu jesteś bezpieczny. Choć ręce Cechu sięgają daleko, w bazie nie musisz się niczego obawiać.

Wypowiedział na głos swoje myśli. Wiedział, że mam dwóch wrogów. Z jednym udało mi się jakoś załagodzić sprawę, ale pozostawali jeszcze ludzie Cechu. Prawie odruchowo położyłem rękę na kieszeni z kamieniami. Czy pierścień dalej będzie wciągał mnie w niebezpieczeństwa? Przypomniałem sobie ojca, Vondara i... legendarną już potęgę Cechu.

Jak mówi przysłowie, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Nie da się, niestety, przewidzieć wszystkiego. Choć nie uważałem siebie za ryzykanta, to jednak los, w swej przekornej naturze, uparł się, by mnie w niego zmienić. Z Eetem na ramieniu wyszedłem z kabiny i wkroczyłem na nową ścieżkę życia.

Byłem teraz lepiej uzbrojony i przygotowany, niż poprzednio. Każdego dnia zdobywa się nowe doświadczenia, a taka wiedza może służyć zarówno jako miecz, jak i tarcza. Tak długo,

jak będziemy wędrować z Eetem wolni, życie będzie miało dla nas jakiś smak. A przyszłość... niech martwi się sama o siebie. Nie mieliśmy teraz na nią żadnego wpływu.

Cieszyłem się tą godziną, tym dniem i chwilą, zwycięstwem nad przeciwnościami losu, które zdawały się nas przytłaczać. Jeśli nawet nie byłem rodzonym synem Hywela Jerna, to odziedziczyłem po nim charakter. Wciąż miałem pierścień nicości, drzwi kabiny stały otworem, a za nimi czekał cały świat. Jeszcze przecież nie poznałem wszystkich jego niespodzianek.